KOLEKCJA LITERATURY KLASYCZNEJ

Juliusz Verne

Łowcy meteorów

Juliusz Verne

Łowcy meteorów

Konwersja:

ROZDZIAŁ PIERWSZY

w którym sędzia John Proth spełnia jeden z najprzyjemniejszych swoich obowiązków, a następnie wraca do swego ogrodu

Nie ma powodu ukrywać przed czytelnikami, że miasto, w którym zaczyna się ta szczególna historia, leży w stanie Wirginia, w Ameryce Północnej. Jeśli się czytelnicy na to zgodzą, nazwiemy to miasto Whastonem i umieścimy je w okręgu wschodnim, na prawym brzegu rzeki Potomak; wydaje nam się jednak zbyteczne opisywać dokładniej położenie geograficzne miasta, którego na próżno szukalibyśmy nawet na najlepszych mapach Stanów.

Owego roku, rankiem dwunastego marca, ci mieszkańcy Whastonu, którzy we właściwym momencie przechodzili ulicą Exeter, mogli zauważyć eleganckiego jeźdźca, który wjeżdżał pod górę i wracał stępa bardzo stromą ulicą, a następnie zatrzymywał się na placu Konstytucji, mniej więcej w środku miasta.

Jeździec ten, wyglądający na typowego Jankesa, co nie wyklucza pewnej swoistej dystynkcji, prawdopodobnie nie miał więcej niż trzydzieści lat. Był wzrostu powyżej średniego, pięknej i mocnej budowy; rysy miał regularne, włosy ciemne i kasztanowatą brodę, której klin wydłużał jego twarz o starannie wygolonych wargach. Szeroki płaszcz okrywał go aż do stóp i układał się koliście na końskim zadzie. Kierował swym dość rączym wierzchowcem ze zręcznością i zdecydowaniem.

Wszystko w jego postawie zdradzało człowieka czynu, energicznego oraz impulsywnego. Widać było, że dążąc do upragnionego celu nie zawaha się przed niebezpieczeństwem, jak to czynią charaktery chwiejne. Wreszcie bystry obserwator stwierdziłby, że jego wrodzona niecierpliwość z trudem kryje się pod pozorami chłodu.

Dlaczego jeździec ów znalazł się w tym mieście, gdzie nikt go nie znał, gdzie nikt go nigdy nie widział? Czy bawił tu tylko przejazdem, czy zamierzał zatrzymać się czas pewien? Jeżeli szukał hotelu, miałby w czym wybierać. Pod tym względem Whaston może służyć za przykład. W żadnym ośrodku Stanów czy innego kraju podróżny nie znalazłby lepszego przyjęcia, lepszej usługi, lepszej kuchni i takiego komfortu przy umiarkowanych cenach. Żałować doprawdy należy, że niedokładne mapy tak potraktowały miasto mające tyle dodatnich cech.

Ale nie! Nie wyglądało wcale na to, by przybysz był skłonny zabawić dłużej w Whastonie, a zachęcające uśmiechy hotelarzy nie miałyby zapewne żadnego na niego wpływu. Z miną zaabsorbowaną, obojętny na to, co go otacza, jechał ulicą biegnącą wokół placu Konstytucji, którego środek zajmował wielki, obmurowany taras, i nie przypuszczał nawet, że wzniecą powszechną ciekawość.

A Bóg tylko jeden wie, jak mocno owa ciekawość była napięta! Odkąd jeździec się ukazał, chlebodawcy i służba wymieniali na progach takie lub tym podobne słowa:

— Którędy przyjechał?

— Ulicą Exeter!

— A skąd?

— Podobno przez przedmieście Wilcox.

— Już od dobrych trzydziestu minut koń jego okrąża plac. — Czeka na kogoś.

— Prawdopodobnie. Nawet dość niecierpliwie.

— Nieustannie patrzy w stronę ulicy Exeter.

— Stamtąd ktoś przybędzie.

— Co za ktoś? On, czy ona?

— Ho, ho! To doprawdy przystojny chłop, słowo daję!

— Więc schadzka?

— Tak, schadzka… ale nie taka, jak pan myśli.

— Co pan może o tym wiedzieć?

— No, bo ten przybysz już trzeci raz zatrzymuje się przed bramą pana Johna Protha;

— A że pan John Proth jest sędzią w Whastonie…

— Więc ta osobistość ma zapewne jakiś proces…

— A jego przeciwnik się spóźnia.

— Ma pan rację.

— Słusznie! Sędzia Proth wysłucha ich i pojedna w mgnieniu oka.

— To człowiek zręczny.

— I zacny.

Być może, że taka właśnie była przyczyna obecności owego jeźdźca w Whastonie. Istotnie, kilka razy zatrzymał się, nie schodząc z konia, przed domem pana Johna Protha. Patrzył na drzwi i okna, potem stał nieruchomo, jak gdyby oczekiwał, że ktoś pojawi się na progu, aż do chwili, gdy jego koń, który przebierał niecierpliwie nogami, zmuszał go do ruszenia z miejsca.

Nagle, gdy raz jeszcze przystanął przed domem, drzwi otwarły się na całą szerokość i jakiś człowiek ukazał się na ganku.

Obcy dostrzegł go natychmiast.

— Pan John Proth, jak sądzę? — rzekł unosząc kapelusza.

— We własnej osobie — odpowiedział sędzia.

— Chciałbym zadać proste pytanie, które wymagać będzie z pańskiej strony tylko odpowiedzi: tak lub nie.

— Służę panu.

— Czy był już ktoś tutaj dziś rano i pytał o pana Setha Stanforta?

— Nic mi o tym nie wiadomo.

— Dziękuję!

Powiedziawszy to i uchyliwszy raz jeszcze kapelusza, jeździec zawrócił i oddalił się truchcikiem ulicą Exeter.

Od tej chwili — według ogólnej opinii — nie można było wątpić, że nieznajomy miał interes do pana Johna Protha. Ze sposobu, w jaki sformułował pytanie, wynikało, że to on sam był Sethem Stanfortem, który przybył pierwszy na umówione spotkanie. Lecz wyłaniał się inny problem, równie podniecający. Czy godzina wspomnianego spotkania już minęła i czy nieznany jeździec opuści miasto, by więcej do niego nie wrócić?

Czytelnicy uwierzą mi bez trudu (gdyż jesteśmy w Ameryce, a więc wśród narodu odznaczającego się największą na świecie manią zawierania zakładów), że zakładano się, czy przybysz wróci niebawem, czy też odjedzie ostatecznie. Stawki zakładów pomiędzy personelem hotelów i ciekawskimi na placu wynosiły zaledwie pół dolara czy nawet pięć lub sześć centów; ale były to stawki, które na pewno zostały zapłacone przez przegrywających i zainkasowane przez wygrywających, samych godnych zaufania ludzi.

Jeżeli chodzi o sędziego Johna Protha, ograniczył się jedynie do odprowadzenia oczyma jeźdźca, który jechał pod górę w stronę przedmieścia Wilcox. Sędzia John Proth był to filozof i rozumny urzędnik, który miał za sobą co najmniej pięćdziesiąt lat mądrości i filozofowania, choć liczył nie więcej niż pół wieku, co znaczy, iż przyszedłszy na świat, był już filozofem i mędrcem. Dodajcie do tego, iż jako kawaler — niezaprzeczalny dowód mądrości! — miał życie nie zamącone jakąkolwiek troską, co, przyznacie, ogromnie ułatwia uprawianie filozofii. Urodzony w Whastonie, nawet w najwcześniejszej młodości mało lub wcale nie opuszczał tego miasta i był równie szanowany jak kochany przez swych podsądnych, którzy wiedzieli, iż nie powodują nim żadne ambicje osobiste.

Kierował się zdrowym rozsądkiem. Był zawsze wyrozumiały dla słabości, a nawet czasem dla błędów bliźniego. Łagodzić sprawy, doprowadzać do pojednania przeciwników, którzy stawali przed jego skromnym trybunałem, zaokrąglać ostre kanty, naoliwiać tryby, łagodzić zgrzyty nieuchronne nawet w najlepszym ustroju społecznym — oto jak pojmował swą misję.

John Proth był człowiekiem dość zamożnym. Pełnił funkcje sędziego z zamiłowania i nie myślał piąć się ku wyższym urzędom sądowym. Cenił spokój własny i cudzy. Uważał ludzi za życiowych współtowarzyszy, z którymi najkorzystniej jest utrzymywać dobre stosunki. Wstawał wcześnie i wcześnie kładł się spać. Czytywał kilku ulubionych autorów zarówno Starego jak i Nowego Świata, lecz co do prasy, ograniczał się do zacnego i uczciwego dziennika lokalnego „Nowiny Whastońskie", gdzie ogłoszenia zajmowały więcej miejsca niż polityka. Codziennie odbywał godzinną lub dwugodzinną przechadzkę, podczas której kapelusze mieszkańców Whastonu zużywały się wskutek oddawania mu ukłonów; zmuszało to również jego samego do odnawiania nakrycia głowy co trzy miesiące. Prócz tych spacerów i czasu poświęconego pracy zawodowej przebywał w swym spokojnym, wygodnie urządzonym domu i hodował w ogrodzie kwiaty, które wynagradzały go za trudy, czarując świeżymi barwami i hojnie obdarzając miłym zapachem.

Skoro naszkicowaliśmy tę postać i umieścili portret pana Johna Protha we właściwych ramach, każdy zrozumie, że wspomniany sędzia nie przejął się zbytnio pytaniem postawionym przez obcego przybysza. Gdyby ten ostatni zamiast zwracać się do pana domu zapytał starej służącej Kate, być może, iż Kate zechciałaby dowiedzieć się czegoś więcej o tej sprawie. Próbowałaby dociec, kim jest ów Seth Stanfort, poinformowałaby się, co należy odpowiedzieć, w razie gdyby ktoś przyszedł i pytał o niego. A nawet zacna Kate dowiedziałaby się z niewątpliwą przyjemnością, czy przybysz rano lub po południu powróci, czy nie do domu pana Johna Protha.

Pan John Proth nie byłby sobie natomiast wybaczył takiej ciekawości i takich niedyskrecji, które można było darować jego służącej, jako należącej do płci niewieściej. Nie, John Proth nawet nie spostrzegł, że przybycie, obecność, a potem odjazd nieznajomego zwróciły uwagę gapiów na placu, i zamknąwszy drzwi wrócił, by podlać róże, irysy, geranium i rezedę w swoim ogrodzie.

Ciekawi nie poszli w jego ślady i pozostali na posterunkach obserwacyjnych.

Tymczasem jeździec był już na końcu ulicy Exeter, która wznosiła się nad zachodnią stroną miasta. Dotarłszy do przedmieścia Wilcox, które owa ulica łączy z centrum Whastonu, zatrzymał konia i nie schodząc z siodła rozejrzał się dokoła.

Z tego miejsca wzrok jego mógł objąć okolicę w promieniu dobrej mili i zapuścić się w krętą drogę, zniżającą się na przestrzeni trzech mil aż do osiedla Steel, którego wieże rysowały się na horyzoncie po drugiej stronie rzeki Potomak. Ale na próżno wzrok jego przebiegał ową drogę. Widocznie nie odnajdywał tam tego, czego szukał. Jego żywe, niecierpliwe ruchy udzieliły się koniowi, którego trzeba było nieustannie poskramiać.

Minęło dziesięć minut, po czym jeździec wrócił stępa na ulicę Exeter i skierował się po raz piąty ku placowi.

„Ostatecznie — powtarzał sobie spoglądając raz po raz na zegarek — nie ma jeszcze mowy o spóźnieniu… Miała być o dziesiątej siedem, a teraz jest dopiero wpół do dziesiątej… Przestrzeń dzieląca Whaston od Steel, skąd ma przybyć, jest równa tej, która dzieli Whaston od Brial, skąd ja przyjechałem, i można ją pokonać w ciągu niespełna dwudziestu minut. Droga jest dobra, pogoda piękna i nie słyszałem, by przybór rzeki zerwał most. Nie powinno więc być ani przeszkód, ani trudności. W tych warunkach jeśli nie przybędzie na spotkanie, to znaczy, że przybyć nie chce… Zresztą punktualność polega na tym, by stawić się co do minuty, a nie na tym, by znaleźć się na miejscu za wcześnie. W rzeczywistości to ja jestem niepunktualny, skoro ją uprzedziłem bardziej, niż przystoi człowiekowi dokładnemu. Prawda, że (pominąwszy nawet wszelkie inne uczucia) sama grzeczność nakazywała, abym pierwszy przybył na spotkanie!”

Ten monolog trwał bez przerwy, gdy przybysz wracał ulicą Exeter, i skończył się dopiero, kiedy kopyta końskie uderzyły na nowo o żwir placu.

Stanowczo ci, co stawiali na powrót nieznajomego, wygrali. Toteż gdy mijał hotele, patrzyli nań przychylnie, gdy tymczasem ci, co przegrali, witali go tylko wzruszeniem ramion.

Dziesiąta wybiła na miejskim zegarze. Zatrzymawszy konia przybysz policzył owych dziesięć uderzeń i upewnił się, że zegar zgadza się całkowicie z zegarkiem, który wyciągnął z kieszonki.

Brakowało tylko siedmiu minut do chwili spotkania.

Seth Stanfort wrócił do wylotu ulicy Exeter. Wyraźnie ani jego rumak, ani on sam nie mogli wytrzymać w spokoju.

Na ulicy panował ożywiony ruch, sunęli nią liczni przechodnie. Tymi, którzy szli w górę, Seth Stanfort nie zajmował się wcale. Całą uwagę skupił na ludziach, którzy schodzili w dół, i jego spojrzenie obejmowało ich od chwili, gdy ukazywali się na szczycie pagórka. Żeby przebyć ulicę Exeter, piechur zużyć musi około dziesięciu minut; lecz nie trzeba więcej jak trzy lub cztery minuty dla szybko jadącego powozu lub kłusującego konia.

Otóż nie o piechurów chodziło naszemu jeźdźcowi; nawet ich nie dostrzegał. Najbliższy przyjaciel mógłby przejść pieszo koło niego, a on nie byłby go zauważył. Osoba oczekiwana mogła przybyć tylko konno lub powozem.

Ale czy przybędzie o umówionej godzinie? Brakowało już tylko trzech minut, tyle, ile potrzeba, aby zjechać w dół ulicą Exeter, a żaden wehikuł nie ukazywał się w górze: ani motocykl, ani rower, ani auto, które robiąc osiemdziesiąt kilometrów na godzinę byłoby jeszcze przyśpieszyło chwilę spotkania.

Seth Stanfort rzucił ostatnie spojrzenie na ulicę Exeter. Ostry błysk rozjarzył jego źrenice; szepnął tonem niezachwianego postanowienia:

— Jeśli nie będzie jej tu o dziesiątej siedem, nie ożenię się z nią.

Jak gdyby w odpowiedzi na to oświadczenie zagrzmiał właśnie w górnej części ulicy tętent galopującego konia. Na wspaniałym rumaku siedziała młoda kobieta, kierująca nim

pewnie i z wdziękiem. Przechodnie rozstępowali się przed nią. Z pewnością nie natrafi na żadną przeszkodę aż do placu.

Seth Stanfort poznał tę, na którą czekał. Twarz jego przybrała znów obojętny wyraz. Nie wypowiedział ani jednego słowa, nie uczynił żadnego ruchu. Zebrawszy cugle wierzchowca podjechał stępa przed dom sędziego.

Zaintrygowało to na nowo gapiów, którzy zbliżyli się nie ściągając jednak na siebie uwagi przybysza.

W kilka sekund później amazonka wpadła na plac, a rumak jej, pokryty białą pianą, zatrzymał się o dwa kroki od bramy.

p>Przybysz zdjął kapelusz i rzekł:

— Witam pannę Arkadię Walker..

— A ja pana Setha Stanforta — odpowiedziała Arkadia Walker skłaniając się wdzięcznie.

Możecie wierzyć, że miejscowi nie spuszczali oka z tej pary zupełnie im nie znanej.

— Jeśli przybyli na sprawę, należy pragnąć, aby wszystko ułożyło się korzystnie dla obojga — mówili między sobą.

— Ułoży się, chybaby pan Proth nie był sobą!

— A jeśli oboje są wolni, byłoby najlepiej, gdyby się to skończyło małżeństwem!

Mielono językami, wymieniano uwagi. Ale ani Seth Stanfort, ani panna Arkadia Walker nie zdawali się dostrzegać tej raczej krępującej ciekawości, której byli przedmiotem.

Seth Stanfort zamierzał zeskoczyć z konia, by zapukać do drzwi Johna Protha, gdy drzwi te stanęły otworem. Pan Proth ukazał się na progu, a stara służąca Kate zjawiła się tym razem za jego plecami. Gdy usłyszeli tętent kopyt końskich przed domem, on porzucił swój ogród, a ona kuchnię i pobiegli zobaczyć, co się dzieje.

Seth Stanfort został więc w siodle i zwracając się do urzędnika powiedział:

— Panie sędzio, jestem Seth Stanfort z Bostonu, stan Massachusetts.

— Miło mi pana poznać, panie Stanfort.

— A to jest panna Arkadia Walker z Trenton, New Jersey.

— Czuję się zaszczycony sposobnością poznania panny Arkadii Walker.

I pan John Proth, przestając obserwować obcego młodzieńca, zwrócił całą uwagę na nowoprzybyłą.

Panna Arkadia Walker była czarującą osobą; wdzięczni nam będziecie za szybkie naszkicowanie jej sylwetki. Wiek: dwadzieścia cztery lata; oczy: bladoniebieskie; włosy: ciemnokasztanowate; cera: świeża, zaledwie odrobinę ogorzała od wiatru; zęby: niezwykle równe i białe; wzrost: nieco wyższy od średniego; kibić zachwycająca; chód: rzadkiej elegancji, równocześnie giętki i nerwowy. Ubrana w amazonkę, przystosowywała się wdzięcznie do ruchów konia, który rzucał się tak samo jak rumak Setha Stanforta. Bece, odziane w wykwintne rękawiczki, igrały cuglami, a znawca byłby odgadł, że świetnie jeździ konno. Cała jej postać była nacechowana wielką wytwornością.

Panna Arkadia Walker była rodem z New Jersey; miała tylko dalekich krewnych, posiadała więc całkowitą swobodę działania. Niezależna majątkowo, obdarzona zamiłowaniem do przygód, właściwym młodym Amerykankom, wiodła życie zgodne ze swymi upodobaniami. Podróżując od kilku lat, zwiedziła główne ośrodki Europy, orientowała się w tym, co się dzieje i o czym się mówi w Paryżu, Londynie, Berlinie, Wiedniu i Rzymie. O tym, co widziała i słyszała w czasie swych nieustannych wędrówek, mogła mówić z Francuzami, Niemcami i Włochami w ich własnym języku. Była to osoba wykształcona, której wychowanie, kierowane przez opiekuna już dziś nie żyjącego, było szczególnie staranne. Nawet prowadzenie interesów nie było jej obce i dawała dowody nadzwyczajnego zrozumienia własnych korzyści w administrowaniu swą fortuną.

To, co powiedziano o pannie Arkadii Walker, stosowałoby się dokładnie do pana Setha Stanforta. Cechy charakterystyczne zarówno jednej, jak i drugiej postaci wykazywały całkowitą symetrię — tak, to jest właściwe słowo. Wolny i bogaty, również lubił podróże, przewędrował cały świat, nie przebywając

niemal wcale w ojczystym Bostonie. Zimą był gościem Starego Kontynentu i wielkich stolic, gdzie często spotykał swą żądną przygód rodaczkę. Latem wracał do ojczystego kraju, na plaże, gdzie zbierają się wraz z rodzinami bogaci Jankesi. Tam również odnajdywał pannę Arkadię Walker.

Te same upodobania zbliżyły powoli do siebie te dwie młode i dzielne istoty, które ciekawi, a zwłaszcza ciekawe, zgromadzone na placu w Whastonie, uznały za tak dobrze do siebie dobrane. Bo i rzeczywiście, oboje rozmiłowani w podróżach, oboje śpieszący tam, gdzie jakieś wydarzenie polityczne czy wojskowe budziło powszechną uwagę — jakżeby nie mieli sobie odpowiadać? Nie można się zatem dziwić, że pan Seth Stanfort i panna Arkadia Walker powoli doszli do wniosku, że powinni połączyć swoje losy, co nie zmieniłoby w niczym ich trybu życia. Nie byłyby to już dwa statki płynące obok siebie, lecz jeden okręt, jak należało przypuszczać, lepiej zbudowany, omasztowany i dostosowany do pływania po wszystkich morzach globu.

A więc nie proces, spór czy konieczność załatwienia jakiejś sprawy sprowadzały Setha Stanforta i pannę Arkadię Walker przed sędziego tego miasta. Nie! Wypełniwszy wszystkie prawne formalności wobec kompetentnych władz w Massachusetts i New Jersey, umówili się w Whastonie tego właśnie dnia, dwunastego marca, o tej właśnie godzinie, dziesiątej siedem, by spełnić akt, który, zdaniem jego zwolenników, jest najważniejszym wypadkiem życia ludzkiego.

Gdy, jak wspomnieliśmy, pan Seth Stanfort i panna Arkadia Walker przedstawili się sędziemu, John Proth zapytał podróżników, co ich skłoniło do stawienia się przed nim.

— Seth Stanfort pragnie zostać małżonkiem panny Arkadii Walker — odpowiedział mężczyzna.

— A panna Arkadia Walker pragnie być żoną Setha Stanforta — dorzuciła kobieta.

Urzędnik skłonił się mówiąc:

— Jestem do pańskiej dyspozycji, panie Stanfort, a także do dyspozycji panny Arkadii Walker.

Młoda para skłoniła się z kolei.

— Kiedy odpowiadałoby państwu zawrzeć to małżeństwo? — podjął pan John Proth.

— Natychmiast… jeśli pan nie jest zajęty — odpowiedział Seth Stanfort.

— Gdyż opuścimy Whaston, gdy tylko będę panią Stanfort — oświadczyła Arkadia Walker.

Pan John Proth wyraził całą swą postawą, jak dalece on, a wraz z nim wszyscy inni obywatele żałują, iż nie mogą dłużej zatrzymać w murach Whastonu tej pięknej pary, która swą obecnością zaszczycała w tej chwili miasto.

— Jestem całkowicie na usługi państwa — powiedział sędzia cofając się parę kroków, by dać dostęp do bramy.

Lecz Seth Stanfort zatrzymał go ruchem ręki.

— Czy jest konieczne — zapytał — byśmy z panną Arkadią zsiadali z koni?

Pan Proth zastanowił się chwilę.

— Bynajmniej — stwierdził. — Można zawrzeć ślub na koniu, tak samo jak i pieszo.

Trudno byłoby znaleźć urzędnika bardziej dostosowującego się do okoliczności, nawet w tym niezwykłym kraju!

— Jedno tylko pytanie — podjął pan Proth. — Czy wszystkie formalności prawne zostały wypełnione?

— Tak jest! — odpowiedział Stanfort.

I podał sędziemu podwójne zezwolenie, ważne i formalne, zredagowane przez kancelarie sądowe Bostonu i Trentonu, po uiszczeniu właściwych opłat.

John Proth wziął papiery, włożył na nos okulary w złotej oprawie i przeczytał uważnie te dokumenty, odpowiednio zalegalizowane oraz zaopatrzone w oficjalne znaczki stemplowe.

— Papiery są w porządku — powiedział — i jestem gotów wydać państwu poświadczenie zawarcia ślubu.

Trudno się dziwić, iż ciekawscy, których liczba wzrosła jeszcze, oblegali młodą parą niby świadkowie związku zawieranego w warunkach, które by się. wydawały nieco

niezwykłe w każdym innym kraju. Lecz to ani nie krępowało narzeczonych, ani nie było dla nich przykre.

Pan John Proth wstąpił wtedy na stopnie swego ganku i rzekł głosem tak donośnym, że mogli go usłyszeć wszyscy:

— Panie Secie Stanfort, czy zgadza się pan pojąć za żonę pannę Arkadię Walker?

— Tak!

— Panno Arkadio Walker, czy zgadza się pani wziąć za męża pana Setha Stanforta?

— Tak!

Urzędnik skupił się na chwilę i, poważny jak fotograf w momencie sakramentalnego „nie ruszać się", wypowiedział słowa:

— W imieniu prawa, Secie Stanfort z Bostonu i Arkadio Walker z Trentonu, ogłaszam, że jesteście złączeni węzłem małżeńskim.

Małżonkowie zbliżyli się do siebie i wzięli się za ręce, jakby dla przypieczętowania aktu, którego właśnie dokonali.

Następnie każde z nich wręczyło sędziemu banknot pięćsetdolarowy.

— Jako honorarium — rzekł pan Seth Stanfort.

— Dla biednych — powiedziała pani Arkadia Stanfort.

I obydwoje, skłoniwszy się sędziemu, puścili cugle koniom, które pomknęły szybko w kierunku przedmieścia Wilcox.

— To ci dopiero! To ci dopiero! — zawołała Kate, którą zdziwienie sparaliżowało do tego stopnia, że na dziesięć minut zaniemówiła, co było rzeczą niebywałą.

— Co takiego, Kate? — zapytał pan John Proth.

Stara Kate puściła brzeg swego fartucha, który skręcała od dłuższej chwili jak zawodowy powroźnik.

— Po mojemu, panie sędzio, ci ludzie to wariaci.

— Bez wątpienia, moja Kate, bez wątpienia — zgodził się pan John Proth chwytając ponownie polewaczkę, symbol jego pokojowego nastroju. — Lecz cóż w tym dziwnego? Czyż ci, co się pobierają, nie są zawsze trochę szaleni?

ROZDZIAŁ DRUGI

który wprowadza czytelnika do domu Deana Forsytha i pozwala nam poznać jego siostrzeńca Francisa Gordona i jego służącą Mitz

— Mitz! Mitz!

— O co chodzi, synusiu?

— Co właściwie jest wujowi Deanowi?

— Nie mam pojęcia. — Może jest chory?

— Ani trochę! Lecz jeśli tak dalej pójdzie, rozchoruje się na pewno.

Te pytania i odpowiedzi wymieniali dwudziestotrzyletni młody człowiek i kobieta lat sześćdziesięciu pięciu w pokoju jadalnym domu przy ulicy św. Elżbiety, w tym samym mieście Whaston, gdzie właśnie zawarto na modłę amerykańską najbardziej oryginalne z małżeństw.

Dom przy ulicy św. Elżbiety należał do pana Deana Forsytha. Pan Forsyth miał czterdzieści pięć lat i wyglądał niewątpliwie na swój wiek. Wielka, rozczochrana głowa, małe oczka patrzące zza silnych szkieł, ramiona z lekka przygarbione, potężny kark, bez względu na porę roku okręcony podwójnie sięgającym aż pod brodę krawatem, surdut szeroki i pomięty, obwisła kamizelka, której dolne guziki nie były nigdy w użyciu, spodnie za krótkie, ledwo przykrywające zbyt szerokie buciki, czapeczka z chwaścikiem zsunięta do tyłu na czuprynie

siwiejącej i niesfornej; twarz poorana tysiącem zmarszczek, zakończona bródką typową dla mieszkańców Ameryki Północnej, charakter pobudliwy, skłonny do gniewu — taki był pan Dean Forsyth, o którym rozmawiali rankiem dwudziestego pierwszego marca Francis Gordon, siostrzeniec Forsytha, i Mitz, jego stara służąca.

Francis Gordon, sierota od dzieciństwa, został wychowany przez pana Deana Forsytha, brata swojej matki. Chociaż pewien majątek miał mu przypaść po wuju, nie uważał, aby fakt ten zwalniał go od pracy, a pan Forsyth podzielał jego opinię. Siostrzeniec, ukończywszy studia humanistyczne na sławnym uniwersytecie w Harvard, uzupełnił je na wydziale prawnym i był obecnie adwokatem w Whastonie, gdzie wdowy, sieroty i mury graniczne nie miały bardziej zdecydowanego obrońcy. Znał gruntownie ustawy oraz orzecznictwo; przemawiał z łatwością, głosem przenikliwym i ciepłym. Wszyscy jego koledzy, młodzi i starzy, szanowali go i z nikogo nie zrobił sobie wroga. Bardzo przystojny, obdarzony pięknymi kasztanowatymi włosami i ładnymi czarnymi oczami, maniery miał eleganckie. Był dowcipny bez złośliwości, usłużny bez ostentacji, nie pozbawiony zręczności w różnych rodzajach sportu, którym się namiętnie oddają wyższe sfery społeczeństwa amerykańskiego. Jakżeby nie miał zająć odpowiedniego stanowiska wśród najwytworniejszej młodzieży miasta i dlaczego nie miałby pokochać ślicznej Jenny Hudelson, córki doktora Hudelsona i jego żony Flory z domu Clarish?

Zbyt wcześnie jednak zwracać teraz uwagę czytelnika na tę panienkę. Wypada przecież, by ukazała się na scenie w otoczeniu rodziny, a moment odpowiedni jeszcze nie nadszedł. Nie będziemy zresztą długo na to czekali. Należy jednak zastosować rygorystyczną metodę w opowiadaniu tej historii, co wymaga najwyższej precyzji.

Co się tyczy Francisa Gordona, dodamy jeszcze, że mieszkał w domu przy ulicy św. Elżbiety i zapewne nie myślał go opuścić aż do dnia ślubu z miss Jenny. Ale, powtarzam raz jeszcze, zostawmy pannę Jenny Hudelson w spokoju i powiedzmy tylko,

że służąca Mitz była powiernicą siostrzeńca swojego pana i że kochała go jak syna lub raczej jak wnuka, gdyż babunie biją zazwyczaj rekordy czułości macierzyńskiej.

Mitz, służąca wzorowa, której równą trudno byłoby teraz znaleźć, należała do tego zanikającego gatunku, który równocześnie ma coś z psa i z kota; z psa, gdyż przywiązuje się do panów, z kota, gdyż przywiązuje się do domu. Jak sobie można łatwo wyobrazić, Mitz rozmawiała bez ogródek z panem Deanem Forsythem. Gdy nie miał racji, mówiła mu to wyraźnie, choć w języku osobliwym, którego smakowitość i fantazję można oddać zaledwie w przybliżeniu. Jeśli pan Forsyth nie chciał tego uznać, pozostawało mu tylko jedno: opuścić pole walki, wrócić do swego gabinetu i zamknąć się na cztery spusty.

Zresztą pan Dean Forsyth mógł nie lękać się, że pozostanie tam samotny. Miał pewność, że w swym gabinecie spotka zawsze inną osobę, która w taki sam sposób uchylała się od napomnień i karcących uwag panny Mitz.

Człowieka tego nazywano Omikron. Dziwaczne imię zawdzięczał swej niepozornej postawie; bez wątpienia nazwano by go Omega, gdyby nie był tak niski. Skończywszy piętnaście lat, wysoki na cztery stopy i sześć cali, przestał zupełnie rosnąć. Tom Wife, tak brzmiało jego prawdziwe nazwisko, wszedł w tym właśnie wieku do domu pana Deana Forsytha, za życia ojca tego ostatniego, jako młody służący; a ponieważ obecnie przekroczył pięćdziesiątkę, wywnioskujemy stąd, iż od trzydziestu pięciu lat był na służbie u wuja Francisa Gordona.

Trzeba koniecznie wyjaśnić, na czym polegały jego obowiązki. Oto na tym, aby pomagać panu Deanowi Forsythowi w jego badaniach, które pasjonowały Omikrona co najmniej w tym samym stopniu, co jego pana.

A więc pan Dean Forsyth pracował?

Tak, po amatorsku, lecz ocenimy wkrótce, z jakim zapałem i rozmachem..

Czym się zajmował pan Dean Forsyth? Medycyną, prawem, literaturą, sztuką, interesami, jak tylu obywateli wolnej Ameryki?

Nigdy w świecie!

— Czym więc? — zapytacie. — Naukami przyrodniczymi?

Nie zgadliście. Nie naukami przyrodniczymi w liczbie mnogiej, lecz nauką przyrodniczą w liczbie pojedynczej. Wyłącznie i jedynie tą wzniosłą nauką, która nazywa się astronomią.

Marzył bez ustanku o odkryciach dotyczących planet lub gwiazd. Nic lub prawie nie z tego, co się działo na powierzchni naszego globu, nie zdawało się go interesować; żył w nieskończonych przestrzeniach. Jednak, ponieważ nie podawano tam ani obiadów, ani kolacji, musiał zstępować na ziemię co najmniej dwa razy dziennie. Ale tego ranka nie zszedł o zwykłej godzinie i kazał na siebie czekać, na co właśnie wyrzekała Mitz krążąc dokoła stołu.

— Czyż on wcale nie przyjdzie? — powtarzała.

— Nie ma Omikrona? — zapytał Francis Gordon.

— Jest zawsze tam, gdzie jego pan — odpowiedziała służąca — ale ja nie wygrałam nóg na loterii — tak właśnie wyraziła się szanowna Mitz — by wspinać się aż na jego grzędę.

Wspomniana „grzęda” nie była niczym innym jak wieżą, której najwyższa galeria wznosiła się na dwadzieścia stóp nad dachem domu; było to, właściwie mówiąc, obserwatorium. Pod tą galerią mieściła się okrągła izba z czterema oknami skierowanymi na cztery strony świata. Wewnątrz obracało się na swych podstawach kilka lunet i teleskopów o dość dużym zasięgu i jeśli ich obiektywy się nie zużywały, to nie dlatego, że z nich rzadko korzystano. Raczej należało się lękać, by pan Dean Forsyth i Omikron nie zepsuli sobie oczu przykładając je zbyt często do szkieł instrumentów.

W tej właśnie izbie spędzali obaj większą część dnia i nocy, zastępując się, co prawda, wzajemnie. Patrzyli, obserwowali, bujali w sferach międzygwiezdnych, unoszeni wieczną nadzieją zrobienia jakiegoś odkrycia, z którym związane byłoby nazwisko Deana Forsytha. Gdy niebo było czyste, wszystko się jeszcze układało jako tako; lecz nie zawsze tak bywało nad odcinkiem 37 równoleżnika, który przecina stan Wirginia.

Chmur pierzastych, warstwicowych i kopulastych było co niemiara, na pewno więcej, niżby sobie życzyli pan i sługa. Toteż ile padało narzekań, ile gróźb przeciw firmamentowi, po którym wiatr rozciągał owe strzępy mgieł!

Właśnie podczas tych ostatnich dni marca cierpliwość pana Deana Forsytha była bardziej niż kiedykolwiek wystawiona na próbę. Od kilku dni niebo było uparcie zakryte, ku wielkiej rozpaczy astronoma.

Tego ranka, dwudziestego pierwszego marca, silny wiatr zachodni toczył wciąż, niemal przy samej ziemi, istne morze chmur rozpaczliwej gęstości.

— Jaka szkoda! — westchnął po raz dziesiąty pan Dean Forsyth po ostatniej i bezowocnej próbie zwyciężenia mgły.— Mam przeczucie, że tracimy jedyną okazję, że omija nas możliwość sensacyjnego odkrycia.

— Bardzo możliwe — odpowiedział Omikron. — To nawet bardzo prawdopodobne, gdyż przed kilku dniami, gdy się wyjaśniło, zdawało mi się, żem zauważył…

— A ja widziałem na pewno, Omikronie.

— A więc obaj, obaj równocześnie!

— Omikronie! — zaprotestował pan Dean Forsyth.

— Tak, pan pierwszy, bez wątpienia — przyznał Omikron znacząco potrząsając głową. — Ale gdy mi się zdawało, żem zobaczył wspomnianą rzecz, sądziłem, że to powinno być… że to było…

— A ja — oświadczył pan Dean Forsyth — twierdzę, że to był meteor zmierzający z północy na południe…

— Tak, proszę pana, prostopadle do kierunku ruchu słońca…

— Pozornego ruchu, Omikronie.

— Naturalnie, że pozornego.

— I było to szesnastego tego miesiąca.

— Szesnastego.

— O godzinie siódmej, trzydzieści siedem minut, dwadzieścia sekund.

— Dwadzieścia sekund — powtórzył Omikron — jak stwierdziłem na naszym zegarze ściennym.

— I nie ukazał się więcej! — zawołał pan Forsyth wznosząc gestem groźby rękę do nieba.

— Jakżeby mogło być inaczej? Chmury! Chmury! Od pięciu dni nie ma nawet tyle błękitu na niebie, by wykrajać z niego chustkę do nosa!

— Jakby umyślnie! — zawołał pan Dean Forsyth tupiąc nogą. — Naprawdę myślę, że takie rzeczy przytrafiają się tylko mnie.

— Nam — poprawił Omikron, który przyznawał sobie połowę zasługi w pracach swego pana.

Prawdę mówiąc, wszyscy mieszkańcy okolicy mieli takie samo prawo do uskarżania się na gęste chmury zalegające niebo. Słońce świeci lub nie świeci — dla wszystkich.

Lecz jakkolwiek powszechne byłoby to prawo, nikt nie mógł mieć szaleńczej pretensji, aby dorównać pod względem złego humoru panu Deanowi Forsythowi, gdy miasto okrywało się jedną z owych mgieł, przeciw którym nic zdziałać nie mogą najpotężniejsze teleskopy i najdoskonalsze lunety. A mgły takie nie są rzadkością w Whastonie, choć miasto opływa przejrzysty nurt rzeki Potomak, a nie błotniste wody Tamizy.

Tak czy owak, gdy szesnastego marca rozjaśniło się niebo, cóż zobaczyli, czy też sądzili, że widzą, pan Forsyth i jego służący? Ni mniej, ni więcej tylko meteor o kształcie kulistym, posuwający się wyraźnie z północy na południe z ogromną szybkością, o takim blasku, że walczył zwycięsko z rozproszonym światłem słonecznym. W każdym razie, skoro jego odległość od Ziemi musiała liczyć pewną określoną ilość kilometrów, byłoby rzeczą możliwą śledzić go, mimo rozwijanej szybkości, przez czas dość długi, gdyby niewczesna mgła nie udaremniła wszelkich obserwacji.

Od tej chwili płynęły potokiem żale wywołane nieszczęsnym zbiegiem okoliczności. Czy ów meteor wróci na widnokrąg Whastonu? Czy będzie można określić jego składniki, ustalić masę, ciężar i charakter? Czy jakiś inny astronom, bardziej uprzywilejowany, nie odnajdzie go w innym punkcie nieba? Czy Dean Forsyth, który tak krótko miał go w zasięgu swego teleskopu, będzie mógł nazwać owo odkrycie swym imieniem?

Czyż cały zaszczyt nie przypadnie ostatecznie jednemu z tych uczonych Starego lub Nowego Świata, którzy trawią, życie na przeszukiwaniu przestrzeni nocą i dniem?

— Rozbójnicy!— zżymał się pan Forsyth. — Piraci nieba!

Przez cały ranek dwudziestego pierwszego marca ani Dean Forsyth, ani Omikron nie mogli się zdecydować, mimo złej pogody, na to, by oddalić się od okna wychodzącego na północ. I gniew ich rósł w miarę, jak upływały godziny. Nic już do siebie nie mówili. Dean Forsyth przebiegał spojrzeniem rozległy horyzont, ograniczony z tej strony kapryśnym profilem wzgórz Serboru, ponad którymi dość silny wiatr pędził szarawe obłoki. Omikron wspinał się na palce, by zwiększyć swój zasięg widzenia, ograniczony przez niewielki wzrost. Pan Forsyth skrzyżował ramiona, przyciskając kurczowo do piersi zaciśnięte pięści. Omikron uderzał palcami w ramę okna. Kilka ptaków przeleciało z krzykiem, jakby drwiąc sobie z pana i sługi, których brak skrzydeł przykuwał do powierzchni ziemi. Ach, gdyby mogli towarzyszyć tym ptakom: w locie, kilku susami przebyliby warstwę chmur i być może, zobaczyliby wtedy asteroid kontynuujący swoją wędrówkę w oślepiającym świetle słonecznym!

W tym momencie zapukano do drzwi.

Dean Forsyth i Omikron, zaabsorbowani, nic nie usłyszeli.

Drzwi się otwarły i Francis Gordon ukazał się na progu.

Dean Forsyth i Omikron nawet się nie odwrócili.

Młody człowiek podszedł do wuja i dotknął lekko jego ramienia.

Pan Forsyth odwrócił się i rzucił na siostrzeńca spojrzenie tak odległe, że musiało chyba wracać z Syriusza lub co najmniej z Księżyca.

— Co takiego? — zapytał.

— Wuju, śniadanie czeka.

— Ach, doprawdy? — rzekł Dean Forsyth. — Śniadanie czeka? My także czekamy.

— Na co czekacie?

— Na słońce — oświadczył Omikron; odpowiedź tą potwierdził gestem jego pan.

— Ależ, wuju, nie zaprosiłeś chyba słońca na śniadanie i możemy bez niego zasiąść do stołu?

Co na to odpowiedzieć? Jeśliby promienna gwiazda nie ukazała się cały dzień, czy pan Dean Forsyth uparłby się pozostać na czczo do wieczora?

Być może, gdyż astronom nie zdawał się skłonny usłuchać zaproszenia siostrzeńca.

— Wuju! — nalegał Francis. — Mitz się niecierpliwi, uprzedzam cię.

W jednej chwili pan Dean Forsyth odzyskał poczucie rzeczywistości. Znał dobrze objawy niecierpliwości poczciwej Mitz. Skoro wysłała do niego specjalnego ambasadora, znaczyło to, iż sytuacja jest poważna: trzeba skapitulować bez zwłoki.

— Która to godzina? — zapytał.

— Jedenasta czterdzieści sześć — odpowiedział Francis Gordon.

Taką istotnie godzinę wskazywał duży zegar; a zazwyczaj wuj i siostrzeniec zasiadali naprzeciw siebie punkt o jedenastej.

— Jedenasta czterdzieści sześć! — zawołał pan Dean Forsyth udając żywe niezadowolenie, by ukryć niepokój. — Nie rozumiem, dlaczego Mitz jest tak niepunktualna!

— Ależ, wuju — zaoponował Francis — już trzeci raz pukamy na próżno do drzwi!

Nie odpowiadając pan Dean Forsyth skierował się na schody, gdy tymczasem Omikron, który zazwyczaj podawał do stołu, pozostał i czekał na powrót słońca.

Wuj i siostrzeniec weszli do sali jadalnej.

Mitz już tam była. Spojrzała swemu panu prosto w oczy, a on spuścił głowę.

— A Mokrynos? — zapytała Mitz, która w prostocie ducha w ten sposób wymawiała piątą samogłoskę alfabetu greckiego.

— Jest zajęty na górze — odpowiedział Francis Gordon. — Obejdziemy się dzisiaj bez niego.

— Z przyjemnością! — oświadczyła Mitz naburmuszonym tonem. — Może zostać w swoim serwatorium, jak długo mu się podoba. Wszystko pójdzie lepiej bez tego niedojdy.

Zaczęło się śniadanie. Wszyscy jedli w milczeniu. Mitz, która zazwyczaj chętnie rozmawiała przynosząc półmiski i zmieniając nakrycia, tym razem nie otwierała ust. Cisza była przygniatająca, atmosfera wielce naprężona. Francis Gordon, pragnąc przerwać ten nastrój, zapytał, aby coś powiedzieć:

— Jak spędziłeś poranek, wuju? Czy jesteś zadowolony?

— Nie — odpowiedział Dean Forsyth. — Stan nieba był niepomyślny i niepogoda dokuczyła mi dziś specjalnie.

— Czyżbyś był na tropie jakiegoś odkrycia astronomicznego?

— Myślę, że tak, Francisie. Lecz nie mogę nic twierdzić stanowczo, póki nowa obserwacja…

— Więc to to — przerwała Mitz sucho — nurtuje pana od tygodnia do tego stopnia, że tkwi pan jak przyrośnięty na swojej wieży i wstaje pan po nocach. Tak! Trzy razy ostatniej nocy! Dobrze pana słyszałam, nie mam, dzięki Bogu bielma na oczach — dodała w formie odpowiedzi na gest swego pana i zapewne, by dać do zrozumienia, że jeszcze nie jest głucha.

— Rzeczywiście, moja Mitz — przyznał pan Dean pojednawczym tonem.

Zbyteczna słodycz!

— Odkrycie astrokomiczne! — podjęła zacna gospodyni z oburzeniem. — Kiedy się w panu żółć obróci, kiedy przez patrzenie w te swoje rury dostanie pan łamania w krzyżu albo zapalenia płuc, to będzie dopiero bal. Czy wtedy gwiazdy będą koło pana chodziły, a doktor każe je zażywać w pigułkach?

Sądząc po sposobie, w jaki rozpoczął się dialog, Dean Forsyth zrozumiał, że lepiej będzie nie odpowiadać. Jadł dalej w milczeniu, tak jednak zmieszany, że kilkakrotnie mylił szklankę z talerzem.

Francis Gordon usiłował podtrzymywać rozmowę, lecz z takim skutkiem, jakby rozprawiał na pustyni. Jego wuj, wciąż jeszcze ponury, zdawał się go nie słyszeć. Francis zaczął więc

wreszcie mówić o pogodzie. Gdy się nie ma tematu, rozmawia się o pogodzie obecnej, przeszłej lub przyszłej.

Problem to niewyczerpany, dostępny dla każdego poziomu umysłowego. Atmosferyczne kwestie interesowały zresztą pana Deana Forsytha. Tak więc w pewnym momencie, gdy na skutek zagęszczenia chmur w pokoju zrobiło się jeszcze ciemniej, podniósł głowę, spojrzał w okno i zawołał wypuszczając widelec z ręki:

— Czyż te przeklęte chmury nie ustąpią wreszcie, choćby za cenę ulewy?

— Doprawdy — oświadczyła Mitz — po trzech tygodniach suszy ulewa by się przydała. Ziemia prosi o deszcz.

— Ziemia! Ziemia! — mruknął pan Forsyth z tak zupełnym lekceważeniem, że wywołał tym odpowiedź starej sługi.

— Tak, panie, ziemia. Wyobrażam sobie, że warta jest co najmniej tyle, co niebo, z którego pan nie chce nigdy zejść… nawet na śniadanie.

— Ależ, kochana Mitz — przerwał Francis Gordon przymilnie.

Na próżno. Mitz nie była usposobiona do czułości.

— Nie ma żadnej „kochanej Mitz” — ciągnęła tym samym tonem. — Doprawdy nie warto wyłazić ze skóry, aby oglądać księżyc, jeśli się nie wie, że na wiosnę padają deszcze. Jeśliby nie padało w marcu, kiedyby właściwie miało padać? Chciałabym to wiedzieć.

— To prawda, drogi wuju — potwierdził siostrzeniec — jest marzec, początek wiosny, i trzeba się z tym pogodzić. Ale niebawem przyjdzie lato i będziesz miał czyste niebo. Będziesz mógł wówczas kontynuować twoje prace w lepszych warunkach. Trochę cierpliwości, wuju!

— Cierpliwości, Francisie? — odpowiedział pan Forsyth, którego czoło było zachmurzone nie mniej niż niebo. — Cierpliwości! A jeśli on odsunie się tak daleko, że nie będzie go można dostrzec? A jeśli nie ukaże się więcej nad horyzontem?

— On? — przerwała Mitz. — Co za on?

W tym momencie usłyszano głos Omikrona:

— Proszę pana! Proszę pana!

— Coś nowego! — zawołał pan Forsyth odpychając szybko krzesło i kierując się ku drzwiom.

Nie dotarł jeszcze do nich, gdy jaskrawy promień wpadł przez okno, zapalając drobne iskierki w szklankach i butelkach na stole.

— Słońce! Słońce! — powtarzał pan Forsyth biegnąc po schodach.

— Skaranie boskie! — zawołała Mitz siadając na krześle. — Poszedł znowu, a kiedy się zamknie ze swoim Mokrymnosem w serwatorium, będzie go można wołać a wołać... Szukaj wiatru w polu! Śniadanie zje się samo, za sprawą Ducha Świętego. I to wszystko dla gwiazd!

Tak wyrzekała Mitz swym obrazowym językiem, choć pan już nie mógł jej słyszeć. Zresztą gdyby ją nawet słyszał, elokwencja jej poszłaby i tak na marne.

Pan Forsyth, zdyszany wchodzeniem po schodach, wkraczał właśnie do swego obserwatorium. Wiatr południowozachodni wzmógł się i przegnał chmury ku wschodowi. Szeroki pas błękitu odsłonił aż po zenit całą tę część nieba, gdzie został zauważony meteor. Izbę oświetlały promienie słońca.

— No i co? — zapytał pan Forsyth. — Co nowego?

— Słońce — odrzekł Omikron — ale nie na długo, gdyż chmury znów ciągną z zachodu.

— Nie ma chwili do stracenia! — zawołał pan Forsyth nastawiając lunetę, gdy tymczasem sługa czynił to samo z teleskopem.

Z jakąż namiętnością kierowali swymi instrumentami w ciągu mniej więcej czterdziestu minut! Z jakąż cierpliwością manewrowali śrubą, by utrzymać je we właściwej pozycji! Z jak drobiazgową uwagą przetrząsali wszelkie zakątki tej części sfery niebieskiej! Właśnie pod takim kątem wzniesienia na prawo i w takim pochyleniu meteor ukazał się po raz pierwszy, by przejść następnie dokładnie przez zenit Whastonu. Byli tego pewni.

I nic! Nic w tym miejscu! Pusty był cały obszar oczyszczony z chmur, który dawał meteorom tak wspaniały teren do przechadzki! Ani jednego punktu widzialnego w tym kierunku! Ani śladu asteroidu.

— Nic! — powiedział pan Dean Forsyth wycierając oczy zaczerwienione od krwi, która nabiegła do powiek.

— Nic — powtórzył Omikron jak płaczliwe echo.

Było już za późno na dalsze wysiłki. Chmury wracały, niebo ciemniało znowu. Koniec przejaśnienia, tym razem na cały dzień! Wkrótce nagły utworzyły jednolitą, brudnoszarą masę i skropliły się w drobny deszcz. Należało zrezygnować z wszelkich obserwacji, ku wielkiej rozpaczy pana i sługi.

— A jednak — rzekł Omikron — jesteśmy pewni, żeśmy go widzieli.

— Jeszcze jak pewni! — zawołał pan Forsyth wznosząc ramiona ku niebu.

I tonem, w którym niepokój mieszał się z zazdrością, dodał:

— Jesteśmy aż nazbyt pewni, gdyż i inni mogli go widzieć tak jak my. Obyśmy byli jedynymi odkrywcami! Brakowałoby tylko, żeby go dostrzegł także i Sydney Hudelson!

ROZDZIAŁ TRZECI

w którym jest mowa o doktorze Sydneyu Hudelsonie, jego żonie Florze i ich dwu córkach — Jenny i Loo

— Oby go tylko nie zobaczył ten intrygant Forsyth!

Tak mówił do siebie w swym gabinecie rankiem dwudziestego pierwszego marca doktor Sydney Hudelson.

Był bowiem doktorem, a jeśli nie praktykował w Whastonie, to dlatego, że wolał poświęcić swój czas i swą inteligencję na badania wznioślejsze i o większym zasięgu. Bliski przyjaciel Deana Forsytha, był równocześnie jego rywalem. Porwany identyczną namiętnością, patrzył jak i on jedynie w przestworza niebios, a umysł jego pracował tylko nad rozwiązaniem astronomicznych tajemnic wszechświata.

Doktor Hudelson posiadał spory majątek, zarówno własny, jak i żony Flory, z domu Clarish. Rozumnie zarządzany, majątek ten zapewniał przyszłość jemu i dwu córkom, Jenny i Loo Hudelson, liczącym osiemnaście i czternaście lat. Co do samego doktora, można by powiedzieć stylem literackim, że czterdziesta siódma zima ośnieżyła mu głowę. Lecz urocza ta metafora byłaby, na nieszczęście, źle wybrana, gdyż doktor Hudelson wyłysiał był dokładniej, niż gdyby go ogolił najzręczniejszy cyrulik.

Ukryta rywalizacja astronomiczna pomiędzy Sydneyem Hudelsonem a Deanem Forsythem mąciła nieco stosunki łączące obie rodziny, w gruncie rzeczy bardzo ze sobą zżyte. Oczywiście nie sprzeczali się o jakąś planetę czy gwiazdę,

ponieważ ciała niebieskie, których pierwsi odkrywcy są zazwyczaj nieznani, należą do wszystkich ludzi. Dość jednak często ich obserwacje meteorologiczne lub astronomiczne stanowiły temat dyskusji, która niekiedy przeobrażała się w kłótnię. Co mogłoby zaostrzyć takie kłótnie i doprowadzić w odpowiednim momencie do scen godnych pożałowania? Egzystencja pani Forsyth! Na szczęście pani taka nie istniała, gdyż ten, który mógłby ją zaślubić, został kawalerem i nigdy, nawet we śnie, nie pomyślał o małżeństwie. Tak więc, wobec braku żony Deana Forsytha, która by zatruwała wzajemne stosunki pod pretekstem usiłowań pojednawczych, istniały wszelkie szansę, by każda sprzeczka astronomów mogła się szybko załagodzić.

Istniała niewątpliwie pani Flora Hudelson. Ale pani Flora była wzorową żoną, wzorową matką i doskonałą gospodynią; usposobienia bardzo spokojnego, niezdolna była do powiedzenia o kimkolwiek złego słowa. Nie karmiła się obmową na obiad ani oszczerstwem na kolację, jak to czyni tyle poważanych dam Starego i Nowego Świata.

Pani Hudelson — ów nieprawdopodobny fenomen, ów wzór małżonek — starała się uspokajać męża, gdy wracał podniecony dyskusją ze swym najbliższym przyjacielem Forsythem. Rzecz zdumiewająca: uważała za zupełnie naturalne, że pan Hudelson zajmował się astronomią i żył w głębinach firmamentu, pod warunkiem, że z nich schodził, gdy o to prosiła. Nie naśladując Mitz, która gnębiła swego pana, nie dręczyła bynajmniej męża. Tolerowała fakt, że dawał na siebie czekać w godzinach posiłków. Nie złorzeczyła wcale, gdy się spóźniał, i starała się utrzymać potrawy w dobrym stanie. Szanowała zajęcia, które go zaprzątały, przejmowała się nawet nimi i dobre serce dyktowało jej słowa zachęty, gdy astronom zdawał się gubić w nieskończonych przestrzeniach tak, iż nie mógł odnaleźć drogi.

Oto żona, jakiej życzymy wszystkim mężom, zwłaszcza gdy są astronomami! Na nieszczęście, takie jak ona istnieją tylko w powieściach.

Co do Jenny, jej starszej córki, wyglądało na to, że wstąpi ona w ślady matki i w ten sam sposób będzie kroczyć drogą życia. Niewątpliwie Francis Gordon, przyszły mąż Jenny Hudelson, miał się stać najszczęśliwszym z ludzi. Nie obrażając panien amerykańskich, można powiedzieć, że trudno byłoby, znaleźć w całej Ameryce dziewczynę bardziej uroczą i pociągającą, hojniej obdarzoną wszelkimi doskonałościami. Jenny była miłą blondynką o niebieskich oczach, o świeżej cerze, z ładnymi rękoma, ładnymi nogami i zgrabną kibicią; była równie wdzięczna jak skromna, równie dobra jak inteligentna. Dlatego Francis Gordon cenił ją nie mniej niż ona jego. A ponieważ siostrzeniec pana Forsytha cieszył się poza tym szacunkiem całej rodziny Hudelsonów, wzajemna sympatia młodych znalazła po niedługim czasie wyraz w formie oświadczyn przyjętych bardzo życzliwie. Młodzi ludzie tak byli dobrani! Jenny ze swymi domowymi zaletami zapewniłaby szczęście małżeństwu. Co do Francisa Gordona, miał on być wyposażony przez wuja, którego cały majątek przypadnie mu w przyszłości. Lecz zostawmy na boku perspektywy spadkowe. Nie chodzi o przyszłość, lecz o teraźniejszość, która łączy w sobie wszelkie warunki najdoskonalszej pomyślności.

A więc Francis Gordon jest zaręczony z Jenny Hudelson, Jenny Hudelson z Francisem Gordonem, a ślubu, którego datę ustali się niebawem, udzieli wielebny O'Garth u świętego Andrzeja, w największym kościele szczęśliwego miasta Whastonu.

Możecie być pewni, że tłumy ludzi wezmą, udział w ceremonii ślubnej, gdyż obydwie rodziny są równie cenione, jak szanowane. Tak samo pewne jest, że najweselsza, najbardziej ożywiona i roztańczona będzie tego dnia milutka Loo (zdrobnienie od Luizy), druhna ukochanej siostry. Nie skończyła jeszcze piętnastu lat i ma prawo cieszyć się młodością. Korzysta z tęgo prawa — zapewniam was! Istne *perpetuum mobile* w sensie fizycznym i moralnym; mała figlarka nie waha się nawet żartować z „tatusiowych planet”. Lecz wybacza się jej wszystko, na wszystko pozwala. Doktor

Hudelson śmieje się pierwszy i za karę całuje tylko świeże policzki dziewczynki.

W gruncie rzeczy, pan Hudelson był człowiekiem zacnym, tylko bardzo upartym i drażliwym. Jedynie Loo pozwalał na niewinne żarciki; wszyscy inni musieli szanować jego zwyczaje i manie. Zapalony do studiów astronomiczno-meteorologicznych, uparty w swych dowodzeniach, bardzo zazdrosny o odkrycia, których dokonywał lub twierdził, że dokonuje, mimo istotnego przywiązania do pana Deana Forsytha, dziw, że nie zerwał przyjaźni z tak niebezpiecznym rywalem. Byli jak dwaj myśliwi na tym samym terenie łowów, kłócący się o rzadką zwierzynę! Wiele razy wynikało z tego oziębienie stosunków, które mogłoby się skończyć zupełnym ich zerwaniem, gdyby nie uspokajająca interwencja zacnej pani Hudelson, wspomaganej zresztą przez obie córki i Francisa Gordona. Ta pokojowo usposobiona czwórka żywiła nadzieję, że projektowany związek małżeński przyczyni się do zmniejszenia ilości utarczek. Gdyby ślub Francisa i Jenny mocniej związał dwie rodziny, przejściowe te burze byłyby mniej częste i mniej niebezpieczne. Kto wie nawet, czy dwaj astronomowie-amatorzy, zjednoczeni w serdecznej współpracy, nie poprowadziliby wspólnie swoich badań? Dzieliliby wtedy sprawiedliwie między siebie zwierzynę odkrytą — jeśli nie ustrzeloną — na wielkich obszarach międzyplanetarnych.

Dom doktora Hudelsona należał do najwygodniejszych w mieście. Na próżno szukalibyśmy lepiej utrzymanego w całym Whastonie. Ten ładny pałacyk w ogrodzie pełnym pięknych drzew i zielonych trawników znajdował się w połowie ulicy Morissa. Składał się z parteru i pierwszego piętra; miał siedem okien od frontu. Z lewej strony górował nad dachem rodzaj kwadratowej, trzydziestometrowej baszty, zakończonej tarasem z balustradą. Na jednym z rogów sterczał maszt, na który w niedzielę i dni świąteczne wciągano gwiaździsty sztandar Stanów Zjednoczonych. Wyższa izba tej baszty przystosowana była do badań. Tutaj pracował doktor z pomocą swych instrumentów, lunet i teleskopów, chyba że w czasie pięknych

nocy przenosił je na taras, skąd jego wzrok mógł obejmować swobodnie kopułę niebieską. Tam właśnie doktor, wbrew zaklęciom pani Hudelson, łapał swe najhałaśliwsze katary i najbardziej udane grypy.

— Dojdzie do tego — powtarzała chętnie miss Loo — że tatuś zarazi katarem swoje planety!

Ale doktor nie słuchał nikogo i nie zrażał się często siedmioma lub ośmioma stopniami poniżej zera w czasie wielkich mrozów zimowych, gdy firmament ukazywał się w całej swej czystości.

Z obserwatorium domu przy ulicy Morissa można było dostrzec bez trudu wieżę domu przy ulicy św. Elżbiety. Dzieliło je najwyżej pięćset metrów, a przy tym nie wznosiła się pomiędzy nimi żadna większa budowla, żadne drzewo nie rozpościerało gałęzi.

Nie uciekając się nawet do dalekosiężnego teleskopu, odróżniało się bardzo łatwo przez dobrą lornetkę osoby znajdujące się na wieży lub na baszcie. Pewnie, że Dean Forsyth miał co innego do roboty niż oglądać Sydneya Hudelsona, a Sydney Hudelson nie chciał tracić czasu na oglądanie Deana Forsytha. Ich obserwacje mierzyły wyżej, dużo wyżej. Lecz było rzeczą naturalną, że Francis Gordon chciał widzieć, czy Jenny Hudelson znajduje się na tarasie, i często ich oczy rozmawiały ze sobą poprzez szkła lornetek. Nie sądzę, by było w tym coś zdrożnego.

Z łatwością można by było stworzyć między dwoma domami komunikację telegraficzną lub telefoniczną. Drut przeciągnięty między wieżami przenosiłby bardzo przyjemne słówka od Francisa Gordona do Jenny i na odwrót. Ponieważ jednak Dean Forsyth i doktor Hudelson nie mieli nigdy do wymienienia słów tak słodkich, nie zaprojektowali owej instalacji. Być może, gdy narzeczeni staną się małżeństwem, luka zostanie zapełniona. Po węźle małżeńskim — węzeł elektryczny, by zjednoczyć jeszcze ściślej dwie rodziny!

Po południu tego samego dnia, gdy nieoceniona, lecz swarliwa Mitz dała czytelnikowi próbkę swej smakowitej

wymowy, Francis Gordon złożył zwykłą wizytę pani Hudelson i jej córkom („i jej córce”, jak poprawiła Loo robiąc obrażoną minę). Przyjęto go, wolno to powiedzieć, jakby był bóstwem tego domu. Nie był jeszcze mężem Jenny — na to zgoda! Lecz Loo chciała, by był już teraz jej bratem — a co raz zamieszkało w główce tej dziewczynki, pozostawało tam na stałe.

Co do doktora Hudelsona, to był on zamurowany na baszcie od godziny czwartej rano. Spóźnił się na śniadanie, zupełnie jak pan Dean Forsyth, i zupełnie tak samo wrócił z pośpiechem na taras, w chwili gdy słońce wyłoniło się zza chmur. Nie mniej przejęty od rywala, nie zdawał się mieć ochoty na to, by zejść na dół.

A przecież nie można było rozstrzygnąć bez niego wielkiego problemu, który miał być właśnie dyskutowany na ogólnym zebraniu rodzinnym.

— O! — zawołała Loo, gdy młody człowiek przekroczył drzwi salonu. — Oto pan Francis, wieczny pan Francis! Daję słowo, tylko jego się tutaj widzi.

Francis Gordon zadowolił się pogrożeniem dziewczynce. Gdy wszyscy usiedli, rozpoczęła się rozmowa, prosta, naturalna i pełna pogody, jak gdyby nie rozstawano się od wczoraj; i rzeczywiście — przynajmniej w myśli — dwoje narzeczonych nie rozstawało się nigdy. Panna Loo twierdziła nawet, że „wieczny Francis” był zawsze w domu i że, wyszedłszy główną bramą, wracał furtką ogrodową.

Rozmawiano tego dnia o tym, co zawsze; Jenny słuchała, co mówił Francis, z powagą, która nie zmniejszała jej czaru. Patrzyli na siebie, układali projekty na przyszłość, których urzeczywistnienie było już tak bliskie. Bo i czemu, doprawdy, mieliby przewidywać zwłokę? Francis Gordon znalazł już przy ulicy Lisiej ładny domek, który powinien odpowiadać jak najlepiej młodemu małżeństwu. Stał on w dzielnicy zachodniej, z widokiem na Potomak, niezbyt daleko od ulicy Morissa. Pani Hudelson przyrzekła obejrzeć ten dom i gdyby spodobał się przyszłej lokatorce, miał być wynajęty za tydzień. Oczywiście

Loo towarzyszyłaby matce i siostrze. Nie zgodziłaby się, by pominięto jej zdanie.

— A pan Forsyth? — zawołała nagle. — Czyż nie miał przyjść dzisiaj?

— Wuj przyjdzie około czwartej — odpowiedział Francis Gordon.

— Bo przecież jego obecność jest niezbędna dla rozstrzygnięcia sprawy — zauważyła pani Hudelson.

— Wie o tym i nie omieszka przyjść na spotkanie.

— Gdyby omieszkał — oświadczyła Loo, groźnie potrząsając rączką — miałby ze mną do czynienia i nie wywinąłby się z tego łatwo.

— A pan Hudelson? — zapytał Francis. — Potrzebujemy go nie mniej niż mojego wuja.

— Ojciec jest na baszcie. Zejdzie natychmiast, gdy go się zawoła — rzekła Jenny.

— Biorę to na siebie — dodała Loo. — Szybko wdrapię się na szóste piętro.

Rzeczywiście było rzeczą ważną, by pan Forsyth i pan Hudelson znaleźli się tutaj. Czyż nie chodziło o ustalenie daty ślubu? W zasadzie małżeństwo miało zostać zawarte w jak najbliższym terminie, lecz pod warunkiem, że druhna będzie miała czas dać do uszycia swoją śliczną suknię — długą suknię dorosłej panny, proszę was! Liczyła, że dostanie ją w podarunku w tym pamiętnym dniu. Stąd uwaga, na którą pozwolił sobie żartobliwie Francis.

— A jeśli ta sławetna suknia nie będzie gotowa?

— W takim wypadku odłożymy wesele! — zawyrokowała energiczna osóbka.

Tej odpowiedzi towarzyszył taki wybuch śmiechu, że pan Hudelson musiał go słyszeć z wysokości swej baszty.

Tymczasem wskazówka przesuwała się po tarczy zegarowej, a pan Dean Forsyth się nie zjawiał. Na próżno wychylała się Loo z okna, skąd widziała drzwi wejściowe — ani śladu pana Forsytha! Trzeba więc było uzbroić się w cierpliwość, broń, z którą Loo zupełnie nie umiała się obchodzić.

— Jednakże wuj przyrzekł mi to solennie… — powtarzał Francis Gordon. — Lecz od kilku dni nie wiem, co mu się stało.

— Mam nadzieję, że pan Forsyth nie jest cierpiący? — spytała Jenny.

— Nie, lecz zatroskany, przejęty… Nie można z niego wycisnąć dziesięciu słów. Nie wiem, co mu utkwiło w głowie.

— Pewno odłamek jakiejś gwiazdy! — zawołała dziewczynka.

— Tak samo i mój mąż — rzekła pani Hudelson. — W tym tygodniu wydawał mi się bardziej zaabsorbowany niż kiedykolwiek. Nie można go wyrwać z obserwatorium. Widocznie dzieje się coś nadzwyczajnego na niebie.

— Doprawdy — odpowiedział Francis — byłbym skłonny w to uwierzyć obserwując zachowanie wuja! Nie wychodzi już i nie śpi, prawie nic nie je, zapomina o godzinach posiłków,

— Ale Mitz musi być zadowolona! — zawołała Loo.

— Wścieka się — oświadczył Francis — lecz to nic nie pomaga. Wuj, który lękał się dotychczas kazań starej sługi, nie zwraca teraz na nie najmniejszej uwagi.

— Zupełnie jak u nas — rzekła z uśmiechem Jenny. — Moja siostra widocznie utraciła wpływ na tatusia… a wiadomo, że był to wpływ niemały!

— Czy to możliwe, panno Loo? — zapytał Francis tym samym tonem.

— Aż nadto możliwe! — odpowiedziała dziewczynka. — Ale cierpliwości… cierpliwości! Ostatecznie Mitz i ja zwyciężymy ojca i wuja.

— Ale — podjęła Jenny — cóż im się mogło obu przydarzyć?

— Zgubili jakąś wartościową planetę! — zawołała Loo. — Oby ją tylko odnaleźli przed weselem!

— My tu żartujemy — przerwała pani Hudelson — a tymczasem pan Forsyth nie przychodzi.

— A za chwilę wybije wpół do piątej — dorzuciła Jenny.

— Jeśli mój wuj nie przyjdzie za pięć minut — zdecydował Francis Gordon — biegnę go szukać.

W tej chwili zabrzmiał dzwonek u drzwi wejściowych.

— To pan Forsyth — stwierdziła Loo. — Tak! Dzwoni bez przerwy. Jaki hałas! Założę się, że wsłuchuje się w lot komety i nie zauważył, że dzwoni!

Rzeczywiście, był to pan Dean Forsyth. Wszedł prawie natychmiast do salonu, gdzie Loo przyjęła go gradem wymówek:

— Spóźnialski! Spóźnialski! Chce pan widocznie dostać burę!

— Dzień dobry pani, dzień dobry, kochana Jenny! — rzekł pan Forsyth całując młodą pannę. — Dzień dobry! — powtórzył i poklepał dziewczynkę po policzku.

Wszystko to czynił z roztargnieniem. Jak przypuszczała Loo, pan Dean Forsyth był, jak się to mówi, myślami o sto mil od nich.

— Wuju kochany — zaczął Francis Gordon — gdyś nie przychodził, myślałem, że zapomniałeś o naszym spotkaniu.

— Omal nie zapomniałem, przyznaję i przepraszam panią, pani Hudelson. Na szczęście Mitz przypomniała mi o tym w dobitny sposób.

— Dobrze zrobiła! — oświadczyła Loo.

— Nie pognębiaj mnie, moja mała! Miałem ważne zajęcia… Jestem może w przededniu interesującego odkrycia.

— Jak tatuś… — zaczęła Loo.

— Co! — zawołał pan Dean Forsyth zrywając się jednym susem, jakby jakaś sprężyna pękła w jego fotelu. — Mówicie, że doktor…

— Nic nie mówimy, drogi panie Forsyth — pośpieszyła z odpowiedzią pani Hudelson lękając się zawsze i nie bez racji, by nie powstała nowa przyczyna rywalizacji między jej mężem a wujem Francisa Gordona.

Po czym dodała, by ostatecznie położyć kres niemiłemu incydentowi:

— Loo, poproś ojca.

Lekka jak ptaszek, dziewczynka skoczyła na wieżę. Nie można było wątpić, że jeśli weszła na schody zamiast wyfrunąć oknem, to tylko dlatego, że nie chciała użyć swych skrzydeł.

W minutę później pan Sydney Hudelson wkraczał do salonu. Minę miał poważną, oko zmęczone, a twarz tak nabiegłą krwią, iż można się było obawiać ataku apopleksji.

Wymienili z panem Forsythem bez przekonania uścisk dłoni, mierząc się równocześnie krzywym spojrzeniem. Obserwowali się ukradkiem, jakby odczuwali wzajemną nieufność.

Lecz ostatecznie dwie rodziny zebrały się, by ustalić datę ślubu — lub (używając języka Loo) połączenia gwiazd Francisa i Jenny. Należało więc tylko określić dzień.

Wszyscy byli zdania, że ceremonia ma się odbyć w możliwie najkrótszym terminie: rozmowa nie trwała więc długo.

Czy Dean Forsyth i pan Hudelson słuchali jej z wielką uwagą? Wolno sądzić raczej, że wyruszyli w pogoń za pewnym asteroidem zagubionym w przestrzeni i każdy z nich zadawał sobie pytanie, czy konkurent nie odnajdywał go właśnie.

W każdym razie nie czynili żadnych obiekcji co do tego, by ślub odbył się za kilka tygodni. Było to dwudziestego pierwszego marca; przyjęto więc datę piętnastego maja. Zostało zatem dość czasu, by, przy pewnym pośpiechu, urządzić nowy apartament.

— I skończyć moją suknię! — dodała Loo z najpoważniejszą w świecie miną.

ROZDZIAŁ CZWARTY

w którym dwa listy wysłane do obserwatorium w Pittsburgu i do obserwatorium w Cincinnati zostają zarejestrowane w kartotece bolidów

Do Pana Dyrektora Obserwatorium w Pittsburgu
(Pensylwania)
Whaston, 24 marca…
Panie Dyrektorze!

Mam zaszczyt podać do Pańskiej wiadomości fakt następujący, który może zainteresować astronomów. Rankiem szesnastego marca br. odkryłem meteor, który ze znaczną szybkością przebiegał północną strefę nieba. Droga jego, o kierunku wyraźnie północno-południowym, tworzyła z południkiem kąt 3°31', który mogłem zmierzyć dokładnie. Była godzina siódma, trzydzieści siedem minut, dwadzieścia dwie sekundy, gdy ukazał się w obiektywie mojej lunety, a siódma minut trzydzieści siedem, dwadzieścia dziewięć sekund, gdy znikł. Nie zdołałem ujrzeć go powtórnie mimo najstaranniejszych poszukiwań. Dlatego proszę Pana o zanotowanie tej obserwacji i potwierdzenie odbioru niniejszego listu, które to potwierdzenie — w wypadku, gdyby wspomniany meteor znów stał się widoczny — zapewniłoby mi pierwszeństwo w dokonaniu tego cennego odkrycia.

Proszę przyjąć, Panie Dyrektorze, wyrazy najgłębszego szacunku. Uniżony sługa

Dean Forsyth ulica św. Elżbiety

Do Pana Dyrektora Obserwatorium w Cincinnati

(Ohio) Whaston, 24 marca…

Panie Dyrektorze!

Rankiem szesnastego marca, między godziną siódmą, trzydzieści siedem minut, dwadzieścia sekund a godziną siódmą, trzydzieści siedem minut, dwadzieścia dziewięć sekund, miałem szczęśliwą sposobność odkrycia nowego meteoru, który dążył z północy na południe, w strefie północnej nieba, pod kątem 3° 31' do południka, o ile mogłem zaobserwować. Nie udało mi się uchwycić powtórnie drogi tego meteoru. Jeśli jednak ukaże się znów na naszym horyzoncie, w co nie wątpię, uważam za słuszne uznanie mnie za odkrywcę tego zjawiska, które zasługuje na zarejestrowanie w rocznikach astronomicznych naszego stulecia. W tym właśnie celu pozwalam sobie wystosować obecny list, prosząc o potwierdzenie jego odbioru.

Zechce Pan przyjąć, Panie Dyrektorze, wyrazy prawdziwego poważania

Doktor Sydney Hudelson

ulica Morissa 17

ROZDZIAŁ PIĄTY

w którym pan Dean Forsyth i doktor Hudelson, mimo najusilniejszych starań, dopiero z gazet dowiadują się o swoim meteorze

Odpowiedź na powyższe listy, polecone i potrójnie opieczętowane, wysłane pod adresem dyrektorów obserwatoriów w Pittsburgu i Cincinnati, polegała na zwykłym potwierdzeniu odbioru i zawiadomieniu o zarejestrowaniu doniesień. Zainteresowani nie żądali nic więcej. Obaj spodziewali się, że odnajdą niebawem meteor. Nie chcieli przypuścić, że asteroid zapędzi się w przestworza dość daleko, aby się wyzwolić spod przyciągania ziemskiego i że nigdy nie powróci w pole widoczności podksiężycowego świata. Przenigdy! Posłuszny nieubłaganym prawom, wróci na widnokrąg Whastonu; będzie można uchwycić go w przejściu, zasygnalizować na nowo, określić jego współrzędne. I będzie figurował na mapach nieba, ochrzczony sławnym nazwiskiem swego odkrywcy.

Ale kto był tym odkrywcą? Problem ten, ogromnie delikatny, wprawiłby w kłopot samego Salomona. W dniu powrotu meteoru dwaj ludzie będą rościć prawa do tej zdobyczy. Gdyby Francis Gordon i Jenny Hudelson znali grożące im niebezpieczeństwo, na pewno błagaliby niebo, by ich ślub został zawarty przed powrotem nieszczęsnego meteoru.

I na pewno pani Hudelson, Loo, Mitz i wszyscy przyjaciele obu rodzin byliby się z całego serca przyłączyli do ich modlitwy.

Ale nikt nic nie wiedział i mimo rosnącej troski obu rywali (troski, którą dostrzegano nie rozumiejąc jej), żaden mieszkaniec domu przy ulicy Morissa, prócz doktora Hudelsona, nie niepokoił się tym, co się działo w głębiach firmamentu. Nikt się o to nie troszczył, każdy miał dość własnych zajęć. Wizyty, odbieranie i składanie życzeń, wysyłanie zaproszeń i zawiadomień, przygotowania do ślubu i wybór podarków weselnych — wszystko to, według małej Loo, dałoby się porównać do dwunastu prac Herkulesa. Nie wolno było stracić ani godziny..

— Wydawać za mąż pierwszą córkę to trudna sprawa — mówiła Loo. — Brak przyzwyczajenia! Z drugą to rzecz łatwiejsza: wobec nabytej rutyny nie ma obawy, że się czegoś zapomni. Ze mną pójdzie już łatwo...

— Doprawdy? — żartował Francis Gordon. — Czyżby panna Loo myślała już o małżeństwie? Czy można wiedzieć, kto jest tym szczęśliwym śmiertelnikiem...

— Niech pan lepiej myśli o własnym małżeństwie... — odpowiadała dziewczynka. — Temu trzeba się poświęcić bez reszty. A do mnie niech się pan nie wtrąca.

W myśl obietnicy, pani Hudelson udała się do domu przy ulicy Lisiej. Co do doktora, byłoby szaleństwem liczyć na niego.

— Co zrobisz, to będzie dobre! Zdaję się na ciebie! — odpowiedział na propozycję obejrzenia przyszłego mieszkania młodej pary. — Zresztą to obchodzi przede wszystkim Francisa i Jenny.

— Ależ, papo — rzekła Loo — czy nie zamierzasz zejść z twojej baszty w dzień ślubu?

— Ależ tak, Loo, oczywiście!

— I pokażesz się w kościele świętego Andrzeja pod ramię z córką?

— Naturalnie, że tak!

— We fraku, w białej kamizelce i białym krawacie?

— Tak jest, Loo.

— I zapomnisz o swoich planetach, żeby posłuchać wielebnego O'Gartha wygłaszającego z głębokim wzruszeniem

swoje przemówienie?

— Tak, tak, Loo. Ale jeszcze nie doszliśmy do tego punktu.

A skoro niebo jest dziś czyste, co zdarza się rzadko, idźcie beze mnie.

Pani Hudelson, Jenny, Loo i Francis Gordon pozwolili więc doktorowi manewrować lunetą i teleskopem, gdy tymczasem pan Dean Forsyth — nie można o tym wątpić — manewrował równocześnie swymi instrumentami na wieży przy ulicy św. Elżbiety. Czy ten podwójny upór zostanie wynagrodzony? I czy meteor, ujrzany raz jeden, przejdzie po raz drugi przed obiektywem ich aparatów?

Aby dojść do domu przy ulicy Lisiej, czwórka spacerowiczów przebyła ulicę Morissa i plac Konstytucji, gdzie pozdrowił ich w przejściu miłym ukłonem sędzia John Proth. Później przez ulicę Exeter, którą jechał przed kilku dniami Seth Stanfort oczekujący Arkadii Walker, przyszli na ulicę Lisią.

Dom był bardzo miły i dobrze rozplanowany według wszelkich reguł nowoczesnego komfortu. Gabinet do pracy i pokój jadalny wychodziły na ogród, liczący tylko kilka akrów, lecz ocieniony pięknymi bukami i ożywiony klombami, na których zaczynały się rozwijać pierwsze wiosenne kwiaty. Kuchnia i pomieszczenia służbowe były w suterenie według mody anglosaskiej.

Pierwsze piętro dorównywało parterowi. Jenny mogła pogratulować narzeczonemu odkrycia tej pięknej rezydencji, w rodzaju willi o tak czarownym wyglądzie. Pani Hudelson podzielała zdanie córki i zapewniała, że nie można by było znaleźć nic lepszego w żadnej innej dzielnicy Whastonu.

Ta pochlebna ocena wydała się jeszcze bardziej uzasadniona, gdy doszli do ostatniego piętra. Królował tam szeroki taras ogrodzony balustradą, z którego roztaczał się wspaniały widok. Można było rzucić stąd okiem w górę i w dół Potomaku i dostrzec poza nim osadę Steel, skąd wyruszyła miss Arkadia Walker, by się spotkać z Sethem Stanfortem.

Widać było całe miasto wraz z dzwonnicami kościołów, wysokimi dachami budynków publicznych i zieleniejącymi

wierzchołkami drzew.

— Oto plac Konstytucji — rzekła Jenny podziwiając widok przez lornetkę, w którą się zaopatrzono za radą Francisa — oto ulica Morissa… Widzę nasz dom z basztą i flagą na wietrze! Patrzcie, ktoś jest na baszcie.

— Tatuś! — określiła Loo bez namysłu.

— To może być tylko on — oświadczyła pani Hudelson.

— Na pewno on — potwierdziła dziewczynka, która zawładnęła bez ceremonii lornetką. — Poznaję go, manewruje lunetą… I zobaczycie, że nie pomyśli o tym, by ją skierować w naszą stronę! Ach, gdybyśmy tak byli na księżycu!

— Skoro dostrzega pani swój dom, panno Loo — przerwał Francis — może potrafi pani zobaczyć i dom mojego wuja?

— Tak — odpowiedziała dziewczynka. — Lecz niech mi pan pozwoli poszukać… Poznam go łatwo po wieży… To powinno być w tej stronie… Czekajcie… Dobrze! Oto on! Mam go.

Loo nie pomyliła się. Był to istotnie dom pana Deana Forsytha.

— Jest ktoś na wieży… — podjęła po chwili obserwacji.

— Na pewno mój wuj — odrzekł Francis.

— Nie jest sam.

— Omikron jest z nim razem.

— I nie potrzebujemy pytać, co robią — dodała pani Hudelson.

— Robią to samo, co ojciec — rzekła z odcieniem smutku Jenny, w której ukryta rywalizacja pana Forsytha i doktora Hudelsona budziła zawsze trochę niepokoju.

Gdy skończono oględziny i gdy Loo raz jeszcze wyraziła swą pełną aprobatę, pani Hudelson, jej córki i Francis Gordon wrócili do domu przy ulicy Morissa. Nazajutrz miała być zawarta umowa z właścicielem willi, po czym trzeba było zająć się umeblowaniem, aby zdążyć na piętnastego maja.

W tym czasie pan Dean Forsyth i doktor Hudelson nie tracili ze swej strony ani chwili. Ileż zmęczenia fizycznego i moralnego miały ich kosztować przedłużające się obserwacje w

ciągu jasnych dni i pogodnych nocy: poszukiwanie meteoru, który uparcie nie pojawiał się powtórnie ponad horyzontem!

Do tej chwili mimo usilnych starań dwaj astronomowie nie osiągnęli żadnych wyników. Ani w dzień, ani w nocy nie zdołali uchwycić meteoru podczas jego przejścia przez pole widzenia Whastonu.

— Czy w ogóle przejdzie? — wzdychał czasem Dean Forsyth po długim wystawaniu przy szkłach teleskopu.

— Przejdzie! — odpowiadał Omikron z niezachwianą pewnością. — Powiem nawet: już przechodzi.

— A więc dlaczego go nie widzimy?

— Ponieważ jest niewidzialny.

— Rozpacz! — wzdychał na nowo Dean Forsyth. — Lecz ostatecznie, jeśli jest niewidzialny dla nas, musi być również niedostępny dla wszystkich innych… przynajmniej w Whastonie.

— To jest absolutnie pewne — stwierdzał Omikron.

Tak rozumowali pan i sługa. A pogwarki ich powtarzał, w formie monologu, doktor Hudelson, równie zrozpaczony niepowodzeniem.

Obaj otrzymali z obserwatoriów w Pittsburgu i Cincinnati odpowiedzi na swe listy. Przyjęto do wiadomości oświadczenie o ukazaniu się meteoru dnia szesnastego marca w północnej części horyzontu w Whastonie. Dodawano, że do tej pory nie można było odszukać bolidu, lecz jeśli zostanie znów dostrzeżony, pan Dean Forsyth i doktor Hudelson zostaną natychmiast zawiadomieni.

Oczywiście oba obserwatoria odpowiedziały oddzielnie, nie wiedząc, że każdy z dwóch astronomów-amatorów sobie przypisywał zaszczyt tego odkrycia i upominał się dla siebie o prawo pierwszeństwa.

Od chwili otrzymania tej odpowiedzi wieża z ulicy św. Elżbiety i baszta z ulicy Morissa mogły zwolnić się z obowiązku kontynuowania męczących poszukiwań. Obserwatoria posiadały instrumenty i potężniejsze, i dokładniejsze, i gdyby meteor nie był błądzącą masą, gdyby poruszał się po

zamkniętej orbicie, gdyby wreszcie powrócił w takich samych warunkach, w jakich został dostrzeżony — lunety i teleskopy Pittsburga i Cincinnati umiałyby go na pewno pochwycić w chwili przejścia. Dean Forsyth i Sydney Hudelson mądrze by więc zrobili, gdyby zaufali uczonym z tych dwóch sławnych instytucji.

Lecz obaj panowie byli astronomami, a nie mędrcami. Dlatego ciągnęli z uporem dalej swoje dzieło. Wkładali w nie nawet coraz więcej zapału. Nic sobie nie mówiąc, mieli jednak przeczucie, iż polują obaj na tę samą zwierzynę, i obawa prześcignięcia przez rywala nie zostawiała im ani chwili spokoju. Zazdrość gryzła ich serca, co dawało się odczuć we wzajemnych stosunkach obu rodzin.

Rzeczywiście, istniały powody do niepokoju. Podejrzenia stawały się z każdym dniem bardziej uzasadnione, toteż pan Dean Forsyth i doktor Hudelson, niegdyś tak sobie bliscy, nie bywali teraz u siebie.

Co za przykra sytuacja dla obojga narzeczonych! Widywali się jednak codziennie, gdyż ostatecznie dom przy ulicy Morissa nie został bynajmniej zamknięty dla Francisa Gordona. Pani Hudelson okazywała mu zawsze to samo zaufanie i życzliwość; lecz czuł wyraźnie, że doktor znosił jego obecność z pewną przykrością. Sytuacja pogarszała się jeszcze, gdy mówiono wobec Sydneya Hudelsona o panu Deanie Forsycie. Doktor bladł, potem czerwieniał, jego oczy rzucały błyskawice, rychło gaszone spuszczeniem powiek. A te pożałowania godne objawy, demaskujące wzajemną antypatię, można było stwierdzić w identycznej formie u pana Deana Forsytha.

Na próżno pani Hudelson usiłowała poznać przyczynę tego oziębienia stosunków, a nawet wzajemnego wstrętu dwóch dawnych przyjaciół. Jej mąż odpowiedział tylko:

— Niestety! Nie zrozumiałabyś tego... Ale nie spodziewałem się takiego postępowania po panu Forsycie.

Jakiego postępowania? Nie można było zdobyć wyjaśnień. Nawet Loo, rozpieszczone dziecko, któremu wszystko było wolno, nic nie wiedziała. Proponowała wprawdzie, by

przyprzeć do muru pana Forsytha na jego wieży, ale Francis jej to odradził.

Nie, nigdy nie posądziłbym Hudelsona o to, że jest zdolny do takiego wobec mnie postępku!” — to byłaby bez wątpienia jedyna odpowiedź, którą, na wzór doktora, zgodziłby się dać wuj Francisa.

Dowodem tego mógł być sposób, w jaki pan Forsyth przyjął Mitz, która próbowała go wypytywać.

— Proszę się nie mieszać do nie swoich sprawi — zbył ją sucho.

Jeśli pan Dean Forsyth ośmielił się mówić tak do budzącej postrach Mitz, sytuacja była rzeczywiście poważna.

Co do Mitz, wpadła ona w szewską pasję, by użyć jej mocnego wyrażenia, i zapewniała, że — by nie odpowiedzieć ostro na obrazę — musiała ugryźć się w język „aż do kości”. Co do pracodawcy, opinia jej o nim była ustalona i Mitz nie czyniła z tego tajemnicy. Dla niej pan Forsyth był skończonym wariatem; tłumaczyła to sobie najprościej w świecie niewygodną pozą, którą musiał przyjmować patrząc w instrumenty, szczególnie wtedy, gdy pewne obserwacje w bliskości zenitu zmuszały go do przechylania głowy w tył. Mitz przypuszczała, że w tej postawie panu Forsythowi pękło coś W „kręgach mózgowych”.

Nie ma jednak sekretu tak dobrze tajonego, żeby się wreszcie nie wydał. Dowiedziano się w końcu, o co chodzi, wskutek niedyskrecji. Omikrona. Jego pan odkrył nadzwyczajny meteor i lękał się, że mógł tego dokonać również i doktor Hudelson.

Oto jaka była przyczyna tego śmiesznego sporu! Meteor, bolid, aerolit, gwiazda spadająca, kamień, wielki kamień, jeśli chcecie, ale ostatecznie tylko kamień, zwykły kamyczek, o który mógł się rozbić rydwan weselny Francisa i Jenny.

Loo nie krępowała się więc, wysyłając do diabła meteory i, razem z nimi, całą mechanikę niebios!

Czas jednak upływał. Dzień za dniem cofał się marzec, ustępując miejsca kwietniowi. Niebawem nadejdzie ustalona data ślubu. Ale czy nic nie zdarzy się przedtem? Do tej chwili owa pożałowania godna rywalizacja opierała się tylko na

przypuszczeniach i hipotezach. Co by się stało, gdyby jakiś nieprzewidziany wypadek uczynił ją czymś oficjalnym i pewnym, gdyby jakiś gwałtowny wstrząs zderzył ze sobą obu rywali?

Te obawy, aż nazbyt uzasadnione, nie przerywały przygotowań do ślubu. Wszystko miało być gotowe, nawet piękna suknia panny Loo.

Pierwsza połowa kwietnia minęła w warunkach atmosferycznych wręcz haniebnych: deszcz, wiatr, niebo pokryte gęstymi chmurami, które napływały bez przerwy. Nie ukazywało się ani słońce, które zakreślało wtedy krzywą dość wysoko nad horyzontem, ani księżyc — prawie w pełni, który powinien by oświetlać przestrzeń swymi promieniami, ani tym bardziej — niemożliwy do odszukania meteor.

Pani Hudelson, Jenny i Francis Gordon nie myśleli się skarżyć na niemożność dokonywania obserwacji astronomicznych. I nigdy Loo, która nie cierpiała wiatru i deszczu, nie cieszyła się do tego stopnia jasnym niebem, jak teraz uporczywą niepogodą.

— Niech trwa co najmniej do wesela — powtarzała — i niech nie będzie widać jeszcze przez trzy tygodnie ani słońca, ani księżyca, ani najmniejszej gwiazdki!

Na przekór życzeniom Loo niepogoda się skończyła i warunki atmosferyczne zmieniły się w nocy z piętnastego na szesnasty kwietnia. Wiatr północny rozpędził wszystkie chmury i niebo ukazało się na powrót w całej swej czystości.

Pan Forsyth ze swej wieży i doktor Hudelson ze swej baszty podjęli przetrząsanie firmamentu nad Whastonem, od horyzontu aż do zenitu.

Czy meteor powrócił w zasięg ich lunet? Sądząc po ich kwaśnych minach, należało przypuszczać, że nie. Ich jednakowo zły humor dowodził podwójnego i podobnego niepowodzenia. Istotnie, opinia ta byłaby słuszna. Pan Sydney Hudelson nic nie zobaczył na obszarze niebios, a pan Forsyth był w tej samej sytuacji. Czyż więc nie mieli do czynienia z meteorem błądzącym, który wyrwał się na zawsze z zasięgu przyciągania ziemskiego?

Notatka, która ukazała się w dziennikach dziewiętnastego kwietnia, oświeciła ich w tym względzie.

Notatka ta, zredagowana przez obserwatorium w Bostonie, brzmiała następująco:

„Przedwczoraj, w piątek siedemnastego kwietnia wieczorem, o dziewiątej minut dziewiętnaście i dziewięć sekund, meteor nadzwyczajnej wielkości przeszył z zawrotną szybkością powietrze w zachodniej części nieba.

Meteor ten został, jak się zdaje, odkryty tego samego dnia i o tej samej godzinie przez dwóch wybitnych obywateli Whastonu. Jest to okoliczność ciekawa, która powinna pochlebić miłości własnej mieszkańców tego miasta.

Według doniesień obserwatorium w Pittsburgu wspomniany meteor byłby identyczny z tym, który dwudziestego czwartego marca został zasygnalizowany przez pana Deana Forsytha, a według obserwatorium w Cincinnati — byłby to ten sam, którego przejście zasygnalizował tego samego dnia doktor Sydney Hudelson. Otóż obaj ci panowie, Dean Forsyth i Sydney Hudelson, mieszkają w Whastonie, gdzie cieszą się ogólnym szacunkiem”.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

który zawiera kilka uwag mniej lub więcej fantastycznych o meteorach w ogóle, a w szczególności o tym, o którego odkrycie spierają się panowie Forsyth i Hudelson

Jeśli istnieje na świecie kontynent, który może być dumny z jednego ze swych obszarów, jak ojciec bywa dumny z syna, to jest nim Ameryka Północna. Jeśli istnieje republika federalna, która może być dumna z jednego z wchodzących w jej skład stanów, to jest nią republika Stanów Zjednoczonych. Jeśli wśród pięćdziesięciu jeden stanów, których pięćdziesiąt jeden gwiazd lśni na państwowym sztandarze, istnieje jakiś stan, który może być dumny z jednego ze swych miast, to jest nim stan Wirginia (stolica Richmond). Jeśli wreszcie istnieje w Wirginii jakieś miasto, które może być dumne ze swych synów, to jest nim Whaston, gdzie dokonano właśnie głośnego odkrycia, które miało zająć poczesne miejsce w rocznikach astronomicznych naszego stulecia.

Takie przynajmniej przekonanie żywili jednomyślnie mieszkańcy Whastonu.

Można sobie łatwo wyobrazić, że dzienniki — a przynajmniej dzienniki Whastonu — ogłosiły jak najbardziej entuzjastyczne artykuły o panu Deanie Forsycie i doktorze Hudelsonie. Czyż sława tych dwóch znakomitych obywateli nie rzucała blasku na

całe miasto? Któryż z jego mieszkańców nie miał w tym swego udziału? Czyż imię Whastonu nie będzie nierozdzielnie związane z tym odkryciem?

Dytyramby te wywarły wkrótce odpowiednie wrażenie na ludności amerykańskiej, wśród której nastroje rodzą się z taką łatwością i gwałtownością. Czytelnik nie będzie więc zdumiony — a nawet, gdyby był zdumiony, niech będzie tak uprzejmy i uwierzy nam na słowo — jeśli go zapewnimy, że od tego dnia hałaśliwe, roznamiętnione tłumy ciągnęły ku domom przy ulicy Morissa i ulicy św. Elżbiety. Nikt nie wiedział o rywalizacji między panem Forsythem a panem Hudelsonem. Ogólny entuzjazm łączył ich obu w tych okolicznościach — o tym nie można było wątpić. Dla wszystkich ludzi ich dwa nazwiska były i miały pozostać nierozdzielne aż do końca świata, nierozdzielne do tego stopnia, że po tysiącach lat przyszli historycy będą może twierdzili, że nosił je jeden człowiek.

Zanim czas miał pozwolić na sprawdzenie tych hipotez, pan Dean Forsyth musiał się ukazać na tarasie swej wieży, a pan Sydney. Hudelson na swej baszcie, by odpowiedzieć na aklamację tłumu. Podczas gdy wiwatowano na ich cześć, pochylali się obydwaj w pełnych wdzięczności ukłonach.

Bystry obserwator byłby jednak stwierdził, że ich postawa nie zdradza niczym nie zamąconej radości. Jakiś cień kładł się na ich triumfie jak chmura, która przysłania słońce. Jeden rzucał krzywe spojrzenia na wieżę, drugi na basztę. Każdy z nich widział, jak rywal odpowiada na oklaski publiczności whastońskiej, i uważał, że przeznaczone dla niego wiwaty nie dźwięczą harmonijnie, a oklaski na rzecz przeciwnika brzmią wręcz fałszywie.

W rzeczywistości oklaski te były identyczne. Tłum nie robił żadnej różnicy między astronomami. Dean Forsyth nie był bardziej oklaskiwany niż doktor Hudelson i odwrotnie, ci sami obywatele wiwatowali kolejno przed obydwoma domami.

Cóż mówili sobie Francis Gordon i służąca Mitz z jednej strony, a pani Hudelson, Jenny i Loo z drugiej, podczas tych owacji, które wypełniły hałasem obydwie dzielnice? Czy lękali

się, że notatka wysłana do dzienników przez obserwatorium w Bostonie będzie miała niepożądane następstwa? To, co było dotychczas tajemnicą, zostało obecnie ujawnione. Pan Forsyth i pan Hudelson wiedzieli teraz oficjalnie o swej rywalizacji. Czyż nie można było przypuszczać, że będą się obaj domagali jeśli nie zysków, to przynajmniej zaszczytów związanych z odkryciem i że wyniknie z tego jakiś skandal, bardzo szkodliwy dla obu rodzin?

Nie trudno sobie wyobrazić uczucia, jakich doznawały pani Hudelson i Jenny, gdy tłum manifestował przed ich domem. Choć doktor wyszedł na taras baszty, one nie chciały ukazać się na balkonie. Obie ze ściśniętym sercem oglądały spoza spuszczonych firanek manifestację, która nie wróżyła nic dobrego. Jeśli pan Forsyth i pan Hudelson powodowani absurdalnym uczuciem zazdrości będą się spierali o meteor, czyż publiczność nie opowie się za jednym lub za drugim? Każdy z nich miałby wówczas swoich zwolenników i wśród powszechnego w mieście wzburzenia jakież byłoby położenie przyszłych małżonków? W tym sporze naukowym, który może przeobrazić ich rodziny w Kapuletów i Montekkich, odegraliby role Romea i Julii.

Loo była wściekła. Chciała otworzyć okno i przemówić do gawiedzi; żałowała, że nie ma pod ręką pompy, by oblać tłum i utopić jego wiwaty w potokach zimnej wody. Matka i siostra z pewnym wysiłkiem ułagodziły oburzenie popędliwej dziewczynki.

W domu przy ulicy św. Elżbiety sytuacja była identyczna. Francis Gordon również wysłałby chętnie do wszystkich diabłów entuzjastów, którzy mogli jeszcze pogorszyć i tak napiętą sytuację. On także nie chciał się ukazać, gdy tymczasem pan Forsyth i Omikron paradowali na wieży, dając pokaz rażącej próżności.

Podobnie jak pani Hudelson musiała hamować wybuchy Loo, Francis Gordon łagodził gniew groźnej Mitz. Ta ostatnia mówiła po prostu, że trzeba „wymieść” tłum — a nie była to w jej ustach groźba, z której można by się śmiać. Bez wątpienia instrument,

którym władała co dzień z takim mistrzostwem, byłby straszliwą bronią w jej rękach.. Jednakże witać miotłą ludzi przybyłych dla zgotowania owacji — to byłaby może przesada.

— Ach, synusiu — zawołała stara gosposia — czy ci wszyscy krzykacze nie powariowali?!

— Byłbym skłonny tak przypuszczać — odpowiedział Francis Gordon.

— I wszystko to z powodu wielkiego kamienia spacerującego po niebie!

— Masz rację, Mitz.

— Jakiegoś medora.

— Meteoru, Mitz — poprawił Francis opanowując z trudem ochotę do śmiechu..

— Właśnie mówię: medoru — powtórzyła Mitz z przekonaniem. — Gdyby tak upadł na głowy tych gapiów i zmiażdżył z pół tuzina! Powiedz mi, ostatecznie, przecież jesteś człowiekiem uczonym, do czego to służy ten medor?

— Do tego, żeby się rodziny między sobą kłóciły — oświadczył Francis Gordon, gdy tymczasem wiwaty wybuchały coraz potężniej.

Dlaczego jednak dwaj dawni przyjaciele nie mieliby się zgodzić na podzielenie się meteorem? Nie można się stąd było spodziewać żadnej korzyści materialnej, żadnego zysku pieniężnego. Mogła być tylko mowa o czysto platonicznym zaszczycie. A zatem po cóż dzielić odkrycie, z którym oba nazwiska mogłyby być złączone aż do końca świata? Po co? Całkiem po prostu, ponieważ chodziło o miłość własną i o próżność. Otóż skoro wchodzi w grę miłość własna, skoro wmiesza się próżność — któż mógłby sobie pochlebić, że zdoła przemówić do rozsądku śmiertelnikom?

Ale, ostatecznie, czyż dostrzeżenie meteoru było czynem tak chwalebnym? Czyż odkrycie to nie było dziełem przypadku? Gdyby meteor nie był tak uprzejmie przeszedł przez pole widzenia instrumentów pana Deana Forsytha i Sydneya Hudelsona właśnie w momencie, gdy przytknęli oko do szkieł,

to czyż nasi dwaj astronomowie, którzy rzeczywiście zbytnią sobie przypisywali zasługę, dostrzegliby owo zjawisko?

Zresztą czyż. nie przechodzą przez niebo dniem i nocą setki, tysiące tych bolidów, asteroidów, gwiazd spadających? Czyż można zliczyć te ogniste kule, które całymi rojami zakreślają kapryśne drogi na ciemnym tle firmamentu? Sześćset milionów, taka jest według badaczy liczba meteorów, które przebywają atmosferę ziemską w ciągu jednej nocy, czyli tysiąc dwieście milionów przebiega ją w ciągu dwudziestu czterech godzin. Krążą więc miriady tych ciał świetlnych, z których — według Newtona — można widzieć gołym okiem dziesięć do piętnastu milionów.

„Obecnie — stwierdziła »Mucha«, jedyne pismo Whastonu, które ujęło rzecz od strony humorystycznej — znaleźć meteor w niebiosach jest łatwiej niż wyszukać ziarno pszenicy w łanie zboża i mamy prawo powiedzieć, że nasi dwaj astronomowie nadużywają nieco reklamy z powodu odkrycia, które nie zmusza do schylenia przed nim głowy”.

Lecz jeśli „Mucha”, pismo satyryczne, nie zaniedbywała okazji do rozwijania swej werwy komicznej, jej poważniejsi koledzy nie tylko jej nie naśladowali, lecz nawet korzystali z okazji, by się pochwalić wiedzą świeżo wprawdzie nabytą, ale zdolną już obudzić zazdrość najwybitniejszych zawodowców.

„Kepler — pisał »Kurier Whastoński« — uważał, że meteory pochodzą z wyziewów ziemskich. Wydaje się prawdopodobniejsze, że zjawiska te są raczej aerolitami, u których zawsze stwierdzano ślady gwałtownego spalania. Już za czasów Plutarcha uważano je, za bryły mineralne, które spadają na nasz glob, gdy je zagarnie po drodze siła ziemskiego przyciągania. Zbadanie bolidów wykazuje, że ich substancja nie jest bynajmniej różna od znanych nam minerałów i że w całości liczy mniej więcej jedną trzecią ciał prostych. Lecz jaką rozmaitość wykazuje łączenie się tych elementów! Cząsteczki składowe są czasem drobne jak opiłki, czasem wielkości grochu lub orzechów laskowych, ogromnie twarde i wykazujące przy przełamaniu ślady krystalizacji. Są nawet meteory zbudowane

wyłącznie z żelaza rodzimego, czasem zmieszanego z niklem, którego nigdy nie uszkodziło utlenienie".

„Kurier Whastoński" miał zupełną słuszność w tym, co podawał do wiadomości swych czytelników. Równocześnie „Dziennik Whastoński" podkreślał, jak wielką wagę przykładali zawsze uczeni starożytni i współcześni do badań nad meteorytami. Pismo stwierdzało:

„Czyż Diogenes z Apollonii nie wspomina o rozpalonym do białości głazie, wielkim jak kamień młyński, który spadł koło Aegos Potamos, przerażając mieszkańców Tracji? Gdyby podobny meteor spadł na wieżę kościoła świętego Andrzeja, zniszczyłby ją od wierzchołka do podstaw. Niech nam będzie wolno przy sposobności wymienić niektóre z tych kamieni sprzed ery chrześcijańskiej, które przybywając z przestworzy spadły na ziemię, gdy dostały się w orbitę jej przyciągania. Na przykład meteoryt, który czczono jako symbol Cybeli w Galacji i który został przeniesiony do Rzymu, podobnie jak inny, znaleziony w Syrii i poświęcony kultowi słońca; święty puklerz odkryty za rządów Numy, czarny kamień przechowywany starannie w Mekce, meteoryt, z którego zrobiono sławny miecz Antara. Od początku ery chrześcijańskiej ileż mamy aerolitów opisanych wraz z okolicznościami towarzyszącymi ich spadaniu! Kamień, ważący dwieście sześćdziesiąt funtów, który spadł w Ensisheim w Alzacji, kamień metalicznie czarny, kształtu i wielkości głowy ludzkiej, znaleziony na górze Vaison w Prowansji; kamień siedemdziesięciodwufuntowy, o woni siarczanej, który wyglądał, jakby powstał z piany morskiej, spadł w Larini, w Macedonii; kamień znaleziony w Lucé koło Chartres w roku 1763 i tak rozpalony, że nie można go było dotknąć. Czyż nie należy również wspomnieć o meteorze, który w roku 1803 spadł w normandzkim mieście Laigle i o którym Humboldt mówi w słowach następujących: »O pierwszej po południu, przy zupełnie czystym niebie, widziano wielki meteor sunący z południowego wschodu na północny zachód. Nieco później słychać było w ciągu pięciu czy sześciu minut eksplozję pochodzącą z małej, czarnej, prawie nieruchomej

chmury; po tej eksplozji nastąpiły jeszcze trzy lub cztery inne detonacje; hałas można by porównać z wystrzałami muszkietów połączonymi z biciem w wielką ilość bębnów. Każda detonacja oddzielała z czarnej chmury część tworzących ją oparów. Nie zauważono w tym miejscu żadnego zjawiska świetlnego. Ponad tysiąc meteorytów spadło na powierzchnię kształtu eliptycznego, której większa oś, skierowana z południowo-wschodu na północo-zachód, mierzyła jedenaście kilometrów. Kamienie te dymiły i parzyły, choć nie płonęły, i zauważono, że były bardziej łamliwe w kilka dni po upadku niż później«".

„Dziennik Whastoński" ciągnął dalej w tym samym tonie przez wiele kolumn druku i okazał się hojny w szczegóły, które dowodziły co najmniej sumienności jego redaktorów.

Inne dzienniki nie pozostawały zresztą w tyle. Skoro astronomia była aktualna, wszystkie mówiły o astronomii i jeśli potem jakikolwiek mieszkaniec Whastonu nie był dobrze obeznany ze sprawą bolidów, musiał wykazać dużo złej woli w tym kierunku.

Do informacji dostarczonych przez „Dziennik Whastoński" dorzuciły swoje „Nowiny Whastońskie". Przypomniały kulę ognistą o średnicy dwa razy większej niż średnica księżyca w pełni, którą dostrzeżono kolejno w Hurworth, Darlington, Durtham i Dundee; przeszła bez wybuchu z jednego krańca widnokręgu na drugi, zostawiając za sobą długą smugę świetlną koloru złota, szeroką, zwartą, odcinającą się żywo na ciemnobłękitnym tle nieba. Dziennik przypominał dalej, że jeśli bolid z Hurworth nie wybuchł, inaczej rzecz się miała z tym, który ukazał się czternastego maja 1864 roku obserwatorowi z Castillon we Francji. Choć ten meteor był widziany tylko przez pięć sekund, szybkość rozwijał taką, że w tym krótkim czasie zakreślił łuk mierzący sześć stopni. Jego barwa, zrazu zielonawoniebieska, stała się następnie olśniewająco biała. Między wybuchem a percepcją dźwięku upłynęło trzy do czterech minut, co wskazuje na odległość od sześćdziesięciu do osiemdziesięciu kilometrów. Siła wybuchu musiała więc być

większa od najsilniejszych eksplozji mogących się wydarzyć na powierzchni globu. Co się tyczy rozmiarów tego meteoru, obliczonych według jego wysokości, oceniano jego średnicę co najmniej na tysiąc pięćset stóp; musiał przebiegać ponad sto trzydzieści kilometrów na sekundę; jest to szybkość nieskończenie większa od tej, którą rozwija ziemia w swym ruchu naokoło słońca.

Później przyszła kolej na „Gońca Porannego” i „Gońca Wieczornego”, przy czym to ostatnie pismo poruszało specjalnie sprawę meteorów (bardzo zresztą licznych) prawie wyłącznie złożonych z żelaza. Przypominało swym czytelnikom, że jeden z tych meteorytów, znaleziony na równinach Syberii, ważył nie mniej niż siedemset kilogramów; inny, znaleziony w Brazylii — prawie sześć tysięcy kilogramów; trzeci, ważący czternaście tysięcy kilogramów, został znaleziony w Tucuman w Argentynie; ostatni wreszcie spadł w okolicy Duranzo w Meksyku, a ciężar jego sięgał olbrzymiej liczby dziewiętnastu tysięcy kilogramów!

Co prawda można twierdzić bez przesady, że część ludności whastońskiej czytała te artykuły z pewnym przerażeniem. Aby panowie Forsyth i Hudelson mogli dostrzec meteor w wiadomych okolicznościach i ze znacznej odległości, musiał on mieć rozmiary dużo większe od bolidów z Tucuman i Duranzo. Kto wie, czy jego wielkość nie dorównywała lub nie przekraczała wielkości aerolitu z Castillon, którego średnicę obliczono na tysiąc pięćset stóp? Czy można sobie wyobrazić taki ciężar? Otóż jeśli wspomniany meteor ukazał się już raz w zenicie Whastonu, miasto musiało leżeć na jego drodze. Ukaże się więc tutaj z powrotem, jeżeli tor jego ma formę orbity. Otóż gdyby właśnie w tym momencie z jakiegokolwiek powodu zatrzymał się w swoim locie, Whaston zostałby uderzony z siłą, której sobie nie można wyobrazić. Była to jedyna w swoim rodzaju okazja, by zapoznać ze straszliwym prawem tych mieszkańców, którzy go nie znali, a przypomnieć je tym, którzy je znali: masa pomnożona przez kwadrat szybkości, która — według bardziej jeszcze przerażającego prawa ciążenia — dla

meteoru spadającego z wysokości czterystu kilometrów byłaby bliska trzem tysiącom metrów na sekundę w momencie rozbicia się bolidu na powierzchni ziemi.

Prasa whastońska nie zaniedbała tego obowiązku i nigdy — trzeba to przyznać bezstronnie — pisma codzienne nie urządziły takiej orgii formuł matematycznych.

Stopniowo więc pewien niepokój opanował miasto. Niebezpieczny i zagrażający Whastonowi meteor stał się tematem wszystkich rozmów na ulicach, w klubach i przy ognisku rodzinnym. Szczególnie część żeńska ludności śniła tylko o zdruzgotanych kościołach i obróconych w gruzy domach. Mężczyźni uważali, że wypada raczej wzruszać ramionami, lecz robili to bez głębszego przekonania. Można powiedzieć, że nocą i dniem na placu Konstytucji i w wyżej położonych dzielnicach miasta nieustannie gromadzili się ludzie. Czy niebo było zaciągnięte chmurami, czy nie — nie wstrzymywało to obserwatorów. Nigdy optycy nie sprzedawali tylu lunet, lornetek i innych przyrządów! Nigdy jeszcze niebo nie było celem tak niespokojnych spojrzeń. Czy meteor był widzialny, czy nie — niebezpieczeństwo groziło każdej godziny, by nie powiedzieć: każdej minuty i każdej sekundy.

Ale czyż niebezpieczeństwo to nie zagrażało również innym okręgom, miastom i mieścinom, wsiom i wioseczkom, położonym na drodze meteoru? Tak, oczywiście. Jeśli bolid, jak przypuszczano, okrążał nasz glob, wszystkie punkty położone pod jego orbitą były zagrożone. Jednak Whaston pobił rekordy strachu z tego jedynie powodu, że właśnie tutaj po raz pierwszy spostrzeżono meteor.

Było jednak pismo, które oparło się epidemii i nie chciało do końca brać sprawy na serio. Toteż nie było czułe dla panów Forsytha i Hudelsona, czyniąc ich żartobliwie odpowiedzialnymi za nieszczęścia, które groziły miastu.

„Do czego wtykają nosy ci amatorzy? — pisała »Mucha«. — Czy musieli koniecznie łaskotać przestworza swymi lunetami i teleskopami? Nie mogli zostawić firmamentu w spokoju i nie droczyć się z gwiazdami? Czy nie ma dość, a nawet za dużo

prawdziwych uczonych, którzy mieszają się w nie obchodzące ich sprawy i wciskają się niedyskretnie do stref międzygwiezdnych? Ciała niebieskie są bardzo wstydliwe i nie lubią, by je oglądać zbyt dokładnie. Tak, nasze miasto jest zagrożone, nikt nie jest w nim obecnie bezpieczny — i nie ma na to żadnej rady. Można się ubezpieczyć przeciw pożarowi, gradowi, cyklonom… Ale spróbujcie się ubezpieczyć przeciw spadnięciu meteoru, być może, dziesięć razy większego niż cytadela Whastonu! A jeśli wybuchnie spadając, co się często zdarza machinom tego rodzaju, całe miasto zostanie zbombardowane, a nawet spalone, jeśli pociski te są rozpalone do białości! W każdym razie będzie to zniszczenie naszego drogiego grodu, nie wolno tego ukrywać! Ratuj się więc, kto może! Ratuj się, kto może! I dlaczegóż to panowie Forsyth i Hudelson nie tkwili spokojnie na parterze swoich domów, zamiast szpiegować meteory? To oni sprowokowali je swymi niedyskrecjami, ściągnęli swymi karygodnymi intrygami. Jeśli Whaston zostanie przez ten meteor zburzony, rozbity lub spalony, to będzie ich wina i do nich trzeba będzie mieć pretensję! Doprawdy, pytamy każdego czytelnika istotnie bezstronnego, to jest każdego abonenta »Muchy«, do czego służą astronomowie, astrologowie, meteorologowie i inne zwierzęta na »owie«? Co dobrego wynikło kiedykolwiek z ich prac?

Postawić takie pytanie, to znaczy jednocześnie dać na nie odpowiedź; co się nas tyczy, trwamy bardziej niż kiedykolwiek przy naszych dobrze znanych przekonaniach, tak świetnie wyrażonych wspaniałym zdaniem, które zawdzięczamy geniuszowi Francuza, sławnego Brillat-Savarin: »Odkrycie nowej potrawy więcej znaczy dla szczęścia ludzkości niż odkrycie gwiazdy!« W jakiej pogardzie miałby Brillat-Savarin tych dwu przestępców, którzy nie bali się ściągnąć na swój kraj najgorszych kataklizmów dla przyjemności odkrycia zwykłego meteoru?”

ROZDZIAŁ SIÓDMY

w którym zobaczymy panią Hudelson bardzo, martwioną zachowaniem doktora i usłyszymy poczciwą Mitz dającą należytą odprawą swemu panu

Co odpowiedzieli pan Dean Forsyth i doktor Hudelson na te żarty „Muchy”? Nic, a to z tej prostej przyczyny, iż nie czytali artykułu bezczelnego piśmidła. Nie wiedzieć o rzeczach nieprzyjemnych, które o nas ludzie mówią, to jeszcze najlepszy sposób, by z ich powodu nie cierpieć, byłby powiedział pan de la Palisse dając dowód niewątpliwej mądrości. Jednakże te drwiny, bardziej lub mniej dowcipne, nie są przyjemne dla osób, w które mierzą. I jeśli, jak w tym wypadku, osoby, które były ich celem, żyły w błogiej nieświadomości, nie można tego samego powiedzieć o ich krewnych i przyjaciołach. Szczególnie Mitz była wściekła. Oskarżać jej pana o to, że ściągnął meteor zagrażający publicznemu bezpieczeństwu! Według niej pan Dean Forsyth powinien był ścigać sądownie autora artykułu, a już sędzia John Proth znalazłby sposób, aby go skazać na zapłacenie wysokiego odszkodowania, nie mówiąc już o więzieniu, na które zasłużył swymi oszczerczymi insynuacjami.

Natomiast mała Loo wzięła rzecz na serio i bez wahania przyznała słuszność „Musze”.

— Tak, ma rację — mówiła. — Dlaczego pan Forsyth i tatuś uwzięli się, żeby odkryć ten przeklęty kamyk? Gdyby nie oni,

byłby przeszedł nie zauważony, jak wiele innych, które nam nie wyrządziły szkody.

Mówiąc o szkodzie, a raczej o nieszczęściu, dziewczynka miała na myśli nieunikniony konflikt, który powstanie ze wszystkimi swymi konsekwencjami między ojcem Jenny a wujem Francisa właśnie teraz, w przededniu związku, który miał zacieśnić jeszcze bardziej więzy łączące obie rodziny.

Obawy panny Loo były uzasadnione i stało się to, co się stać musiało. Jak długo pan Forsyth i doktor Hudelson opierali się jedynie na podejrzeniach, nie nastąpił żaden wybuch. Ich stosunki oziębiły się wprawdzie, unikali spotkań — ale nic ponadto. Obecnie jednak, po ukazaniu się notatki obserwatorium w Bostonie, było oficjalnie ustalone, że odkrycia tego samego meteoru dokonało dwóch astronomów z Whastonu. Jak postąpią teraz? Czy każdy z nich będzie rościł prawa do pierwszeństwa? Czy dojdzie tylko do dyskusji prywatnych na ten temat, czy też do głośnych polemik, którym prasa whastońska udzieliłaby na pewno chętnie gościny na swych szpaltach?

Nic nie było wiadomo i tylko przyszłość mogła odpowiedzieć na te pytania. Było w każdym razie rzeczą pewną, że ani pan Forsyth, ani doktor Hudelson nie wspominali już o małżeństwie, którego termin zbliżał się zbyt wolno, naturalnie z punktu widzenia narzeczonych. Gdy o tym mówiono w ich obecności, przypominali sobie zawsze, że muszą natychmiast odejść do obserwatorium. Tam zresztą spędzali większą część czasu, coraz bardziej przejęci i zaabsorbowani.

Rzeczywiście, podczas gdy astronomom oficjalnym udało się dojrzeć meteor, pan Forsyth i doktor Hudelson poszukiwali go na próżno. Czy oddalił się na odległość zbyt wielką dla zasięgu ich instrumentów? Hipoteza ostatecznie dopuszczalna, ale której nie można było sprawdzić. Czuwali więc nieustannie dniem i nocą, korzystając z każdego rozpogodzenia. Jeśliby to miało trwać dalej, na pewno wpędziliby się w chorobę.

Zamęczali się obaj próżnymi wysiłkami w celu obliczenia danych dotyczących asteroidu, przy czym każdy z nich uważał

się uparcie za jedynego i wyłącznego odkrywcę. Była to jedyna poważna szansa rozstrzygnięcia ich sporu. Skoro na polu astronomii osiągnęli wynik remisowy, sprawniejszy matematyk mógł jeszcze otrzymać palmę pierwszeństwa.

Lecz jedyna ich obserwacja trwała zbyt krótko, by dać dostateczne podstawy formułkom. Dalsza obserwacja, a może nawet i dalsze obserwacje były konieczne, by określić z zupełną pewnością orbitę meteoru. Dlatego właśnie pan Dean Forsyth i doktor Hudelson, z których każdy obawiał się zdystansowania przez rywala, śledzili niebo z jednakowym i równie bezpłodnym zapałem. Kapryśny meteor nie wracał na horyzont Whastonu lub jeśli wracał — to zachowując najściślejsze *incognito*.

Nieudane wysiłki obu astronomów odbijały się na ich humorach. Nie można się było do nich zbliżyć. Dwadzieścia razy dziennie gniewał się pan Dean Forsyth na Omikrona, który odpowiadał mu tym samym tonem. Co do doktora, to zmuszony wylewać złość na samego siebie, nie odmawiał sobie tej przyjemności.

W tych warunkach któż by się ośmielił mówić o kontrakcie ślubnym i o weselu?

Trzy dni upłynęły od ogłoszenia notatki wysłanej do prasy przez obserwatorium w Bostonie. Zegar niebieski, którego wskazówką jest słońce, byłby wydzwonił dwudziesty drugi dzień kwietnia, gdyby Wielki Zegarmistrz pomyślał o zaopatrzeniu go w odpowiednie urządzenie. Jeszcze trzy tygodnie, a nadejdzie z kolei „wielki dzień”, choć Loo twierdziła w swej niecierpliwości, że nie było go chyba w kalendarzu.

Czy należało przypomnieć wujowi Francisa Gordona i ojcu Jenny Hudelson o małżeństwie, o którym nigdy teraz nie mówili, jak gdyby w ogóle nie miało być zawarte? Pani Hudelson była zdania, że lepiej nie wspominać o tym mężowi. Nie potrzebował się zajmować przygotowaniami, tak jak nie zajmował się własnym domem. W oznaczonym dniu pani Hudelson powiedziałaby mu po prostu:

— Oto twój frak, kapelusz i rękawiczki. Czas iść do świętego Andrzeja. Podaj mi ramię i chodźmy.

Poszedłby na pewno, nie zdając sobie nawet z tego sprawy, ale pod jednym warunkiem: aby meteor nie przechodził akurat o tej porze przed obiektywem jego teleskopu!

Lecz kiedy pogląd pani Hudelson przeważył w domu przy ulicy Morissa i doktor nie musiał wyjaśniać swego stanowiska względem Deana Forsytha, ten ostatni został tymczasem ostro zaatakowany. Mitz nie chciała o niczym słyszeć. Wściekła na swego pana, chciała — jak mówiła — rozmówić się z nim „na cztery oczy” i wyjaśnić sytuację, tak napiętą, że najdrobniejszy incydent mógł sprowokować zerwanie stosunków między dwiema rodzinami. Jakież mogłoby to wywołać następstwa? Opóźnienie, a może nawet zerwanie małżeństwa, rozpacz dwojga narzeczonych, a specjalnie drogiego jej Francisa, jej „synusia”, jak go zwykle nazywała poufale i z czułością. Bo cóż mógłby zrobić biedny młodzieniec po publicznym skandalu uniemożliwiającym wszelkie pojednanie?

Dlatego po południu dwudziestego drugiego kwietnia, znajdując się z panem Deanem Forsyth w jadalni „na cztery oczy”, jak pragnęła, zatrzymała swego chlebodawcę w momencie, gdy kierował się ku schodom wieży.

Wiemy, że pan Forsyth bał się zasadniczych rozmów z Mitz. Zdawał sobie sprawę, że na ogół nie obracały się one na jego korzyść; uważał więc za rozumniejsze nie narażać się na nie.

W danym wypadku, spojrzawszy ukradkiem na twarz Mitz, robiącą wrażenie bomby z płonącym lontem, której wybuchy za chwilę nastąpi, pan Dean Forsyth, pragnąc się uchronić od skutków eksplozji, zrejterował ku drzwiom. Lecz zanim nacisnął klamkę, stara służąca stanęła między nim a wyjściem, przy czym utkwiła oczy w oczach swego pana, który trwożliwie unikał jej wzroku.

— Proszę pana — rzekła — muszę z panem pomówić.

— Pomówić ze mną, Mitz? Szkoda, że nie mam w tej chwili czasu.

— Patrzcie państwo! Ja też nie mam czasu, proszę pana, zważywszy, że muszę pozmywać wszystkie naczynia z obiadu. Pana rury mogą doprawdy zaczekać równie dobrze jak moje talerze.

— A Omikron? Zdaje mi się, że mnie woła.

— Mokrynos?... Jeszcze jeden gagatek! Nie dziś, to jutro usłyszy on coś ode mnie, ten Mokrynos. Może go pan uprzedzić. Trzeba, jak to mówią, słuchać uchem, a nie brzuchem! Niech mu pan to powtórzy, słowo w słowo, proszę pana.

— Nie omieszkam, Mitz. Ale teraz obchodzi mnie mój bolid.

— Bolit? — powtórzyła Mitz — nie wiem, co to znaczy, ale mówcie sobie, co chcecie, ja już wiem, że to pana boli i zamieniło panu serce w kamień.

— Bolid, Mitz — wyjaśnił cierpliwie pan Dean Forsyth — jest to meteor i...

— A! — wykrzyknęła Mitz. — To ten słynny medor. Dobrze, może sobie poczekać, tak jak i Mokrynos, ten medor!

— No! No! — zawołał pan Forsyth, trafiony w najwrażliwsze miejsce.

— Zresztą — podjęła Mitz — pogoda się psuje, będzie lało i chwila nie jest odpowiednia na zabawki z księżycem.

Była to prawda. Uporczywa niepogoda mogła doprowadzić do wściekłości pana Forsytha i doktora Hudelsona. Już dwie doby niebo było zasnute gęstymi chmurami. W dzień ani promienia słońca, w nocy ani jednej gwiazdy. Białe mgły przewalały się z jednego krańca widnokręgu na drugi jak welon przebijany chwilami ostrzem dzwonnicy kościoła świętego Andrzeja. W tych warunkach nie można było robić obserwacji, aby ujrzeć na nowo meteor, przedmiot całego sporu. Należało nawet przypuszczać, że warunki atmosferyczne nie sprzyjały także astronomom stanów Ohio, Pensylwanii i innym w obserwatoriach Starego i Nowego Świata. Rzeczywiście, żadna notatka dotycząca pojawienia się meteoru nie ukazała się po raz wtóry w gazetach. Co prawda, meteor ten nie był aż tak interesujący, by przejął się nim świat naukowy. Chodziło tu o zjawisko kosmiczne w gruncie rzeczy dość banalne i trzeba

było być Forsythem czy Hudelsonem, by czyhać na jego powrót z niecierpliwością bliską szału.

Mitz, gdy jej pan stwierdził, że w żaden sposób się nie wymknie, skrzyżowała ramiona na piersi i podjęła rozmowę:

— Panie Forsyth, czy pan przypadkiem nie zapomniał, że ma pan siostrzeńca, który nazywa się Francis Gordon?

— Ach, kochany Francis! — odpowiedział pan Forsyth kiwając dobrodusznie głową. — Ależ nie, nie zapominam o nim. Jakże się miewa ten dzielny chłopak?

— Bardzo dobrze, dziękuję panu.

— Wydaje mi się, że nie widziałem go od pewnego czasu?

— Rzeczywiście, od śniadania.

— Naprawdę?

— A więc ma pan oczy na księżycu? — zapytała Mitz zmuszając swego pana, aby się do niej odwrócił.

— Wcale nie, moja kochana! Ale o co ci właściwie chodzi? Jestem trochę zajęty…

— Zajęty do tego stopnia, że pan, zdaje się, zapomniał o ważnej rzeczy.

— O ważnej rzeczy? Jakiej?

— Że pański siostrzeniec ma się żenić.

— Żenić? się! Żenić…

— Może pan jeszcze zapyta, o jakie małżeństwo chodzi?

— Nie, Mitz. Ale do czego zmierzają te pytania?

— To dopiero zagadka! Nie trzeba być czarownikiem, żeby wiedzieć, że stawiamy pytania dla otrzymania odpowiedzi.

— Odpowiedzi na co, Mitz?

— W sprawie pańskiego postępowania wobec rodziny Hudelsonów. Bo przecież pan wie, że istnieje rodzina Hudelsonów, doktor Hudelson, który mieszka przy ulicy Morissa, oraz pani Hudelson, matka panny Loo Hudelson i panny Jenny Hudelson, narzeczonej pańskiego siostrzeńca?

W miarę jak padało z coraz większą siłą nazwisko Hudelson, pan Dean Forsyth przyciskał rękę to do piersi, to do głowy, to do boku, jak gdyby słowo to było kulą, która go z bliska trafiała.

Cierpiał, dusił się, krew napływała mu do głowy. Widząc, że pan jej nie odpowiada, Mitz zaczęła nalegać.

— I cóż? Słyszał pan?

— I jak jeszcze słyszałem! — zawołał.

— I cóż? — zapytała stara służąca podnosząc głos.

— Czy Francis myśli ciągle o tym małżeństwie? — rzekł wreszcie pan Forsyth.

— Czy o nim myśli? Ależ tak samo, jak myśli o oddychaniu, kochany dzieciak! Jak myślimy my wszyscy. Chciałabym wierzyć… jak i pan o tym myśli.

— Co? Mój siostrzeniec ciągle jeszcze chce poślubić córkę tego doktora Hudelsona?

— Pannę Jenny, za pozwoleniem pana! Daję panu słowo, proszę pana, że chce ją poślubić! Do diabła, musiałby chyba nie mieć piątej klepki, żeby się wahać. Gdzieby znalazł milszą narzeczoną, bardziej uroczą panieneczkę?

— Przyjmując— przerwał pan Forsyth — że może być urocza córka człowieka, który… człowieka, co… no, po prostu człowieka, którego nazwisko nie przechodzi mi przez gardło.

— Tego już za wiele! — zawołała Mitz rozwiązując gwałtownie fartuch, jakby chciała podziękować za służbę.

— No, no, Mitz… posłuchaj — szepnął pan Forsyth trochę zaniepokojony tak groźną postawą.

Stara służąca potrząsnęła fartuchem, którego pasek zwisał aż do ziemi.

— Szkoda gadać! — oświadczyła. — Po pięćdziesięciu latach służby wolę odejść i zgnić raczej w jakimś kącie jak parszywy pies niż zostać w służbie u człowieka, który zadręcza swoją własną krew. Jestem tylko zwyczajną służącą, ale mam serce, proszę pana!

— Ach tak… — zareplikował pan Forsyth, dotknięty do żywego. — Nie wiesz chyba, jak mnie urządził ten Hudelson?

— Co panu zrobił takiego?

— Okradł mnie!

— Okradł?

— Tak, okradł, ohydnie okradł!

— A cóż panu ukradł? Zegarek? Portmonetkę? Chustkę do nosa?

— Mój meteor!

— Ach, znowu ten medor! — zawołała stara służąca szydząc w sposób jak najbardziej ironiczny i dla pana Forsytha nieprzyjemny. — Już dawno nie mówiliśmy o tym pańskim medorze! Czy to możliwe, na Boga, żeby doprowadzić się do takiego stanu przez jakiegoś łazęgę? Czy ten medor był bardziej pański niż pana Hudelsona? Czy było na nim pańskie nazwisko? Czyż nie należy on do wszystkich? Do kogokolwiek? Do mnie, do mego psa, gdybym go miała, ale na szczęście go nie mam? Czy go pan kupił za własne pieniądze albo może dostał go pan w spadku?

— Mitz! — zawołał pan Forsyth nie panując już nad sobą.

— Nie ma żadnej Mitz! — stwierdziła staruszka, którą ponosiło rozdrażnienie. — Do diabła, trzeba być głupim jak but, by się pokłócić ze starym przyjacielem z powodu podłego kamyka, którego więcej nie zobaczymy.

— Milcz! Milcz! — zaprotestował astronom uderzony w samo serce.

— Nie, proszę pana, nie będę milczeć i może pan zawołać na pomoc tego durnia Mokregonosa.

— Omikron dureń?

— Tak, dureń! I nie zmusi mnie do milczenia… tak samo jak nawet prezydent nie mógłby zmusić do milczenia archanioła zesłanego przez Wszechmocnego, żeby obwieścić koniec świata!

Czy pan Dean Forsyth został zupełnie zbity z tropu przez to straszliwe zdanie? Czy krtań jego była tak skurczona, że nie pozwoliła przejść słowom? Czy gardło jego zostało sparaliżowane do tego stopnia, iż nie mógł wykrztusić żadnego dźwięku? Pewne jest, że nie zdołał odpowiedzieć. Gdyby nawet chciał, w napadzie gniewu, wyrzucić swą wierną, lecz zgryźliwą Mitz, nie byłby w stanie wypowiedzieć tradycyjnego: „Proszę wyjść! Proszę natychmiast wyjść! Nie chcę cię więcej widzieć!”

Mitz nie byłaby go zresztą posłuchała. Po pięćdziesięciu latach służby gospodyni nie opuszcza — z powodu fatalnego

meteora — swojego pana, którego zna od dziecka.

Był jednak najwyższy czas, by położyć kres tej scenie. Pan Dean Forsyth zrozumiawszy, że nie postawi na swoim, starał się wycofać, tak aby jego odwrót nie przypominał zanadto ucieczki.

Słońce przyszło mu z pomocą. Przejaśniło się nagle, jaskrawy promień przedarł się przez szyby okna wychodzącego na ogród.

W tym momencie doktor Hudelson był bez wątpienia na baszcie — ta myśl natychmiast przyszła do głowy panu Forsythowi. Widział już swego rywala korzystającego z przejaśnienia, z okiem przy szkłach swego teleskopu, przebiegającego wzrokiem strefy niebieskie.

Nie mógł wytrzymać. Promień słońca działał na niego jak na balon napełniony gazem. Nadymał go, zmniejszał jego ciężar, zmuszał do unoszenia się w górę. Pan Forsyth zrzucając jak balast — dodajmy to dla wykończenia porównania — cały nagromadzony w nim gniew, skierował się ku drzwiom.

Na nieszczęście Mitz stała przed nim i nie okazywała ochoty, by go przepuścić. Czyż będzie zmuszony chwycić ją za ramię, wdać się w walkę, przywołać na pomoc Omikrona?

Nie musiał uciec się do tej ostateczności. Niewątpliwie, stara gospodyni była wyczerpana burzliwą sceną. Choć nawykła do strofowania swego chlebodawcy, nigdy dotąd nie czyniła tego tak gwałtownie.

Czy to wskutek wysiłku fizycznego, którego wymagała taka zaciekłość, czy w związku z doniosłością tematu rozmowy — chodziło przecież o szczęście jej „synusia” — faktem jest w każdym razie, że Mitz nagle osłabła i ciężko opadła na krzesło.

Trzeba zapisać na dobro pana Forsytha, że porzucił słońce, błękitne niebo i meteor. Zbliżył się do starej służącej i zapytał troskliwie, co jej jest.

— Nie wiem, proszę pana. Coś mi się chyba przewróciło w środku.

— Przewróciło w środku? — powtórzył pan Dean Forsyth, którego ta dziwna choroba wprawiła w osłupienie.

— Tak, proszę pana — twierdziła Mitz zbolałym głosem. — Mam supeł na sercu.

— Hm! — mruknął pan Forsyth, którego niepewności nie zmniejszyło to dodatkowe wyjaśnienie.

Na wszelki wypadek chciał udzielić chorej zwyczajnej w tych wypadkach pomocy, rozluźnić jej stanik, skropić octem czoło i skronie, podsunąć szklankę z ocukrzoną wodą…

Ale nie zdążył.

Ze szczytu wieży zabrzmiał głos Omikrona.

— Meteor, proszę pana! — krzyczał Omikron. — Meteor! Pan Forsyth zapomniał o całym świecie i skoczył na schody.

Zaledwie zniknął, a już Mitz odzyskała pełnię sił i pomknęła za swoim panem. Podczas gdy biegł szybko kręconymi schodami skacząc po trzy stopnie, głos służącej ścigał go mściwie:

— Panie Forsyth! — mówiła Mitz. — Niech pan sobie dobrze zapamięta, że ślub Francisa Gordona i Jenny Hudelson odbędzie się, i to dokładnie w oznaczonym dniu. Odbędzie się, panie Forsyth, albo — i ta alternatywa miała nie lada posmak w ustach Mitz — język mi kołkiem stanie.

Pan Dean Forsyth nie odpowiadał, nie słyszał. Przyspieszonym krokiem wspinał się na wieżę.

ROZDZIAŁ ÓSMY

w którym polemiki prasowe pogarszają sytuacją i który kończy się stwierdzeniem równie niezbitym, jak nieoczekiwanym

— To on, Omikronie, na pewno on! — zawołał pan Dean Forsyth, gdy tylko przyłożył oko do okulara teleskopu.

— On sam! — oświadczył Omikron i dorzucił: — Dałby Bóg, by doktor Hudelson nie był w tej chwili na swojej baszcie!

— Lub, jeśli tam jest — rzekł pan Forsyth — by nie mógł odszukać bolidu!

— Naszego bolidu — uzupełnił Omikron.

— Mego bolidu — poprawił Dean Forsyth.

Mylili się obaj. Luneta doktora Hudelsona była W tym właśnie momencie skierowana ku południowo-wschodniej okolicy nieba, którą akurat przebiegał meteor. Uchwyciła go, gdy się ukazał, i — podobnie jak wieża — baszta nie straciła go z oczu aż do momentu, w którym zniknął w mgłach na południu.

Zresztą nie sami tylko astronomowie z Whastonu zasygnalizowali meteor. Obserwatorium w Pittsburgu dostrzegło go także, co dawało trzy kolejne obserwacje wliczając w to również i Boston.

Ten powrót meteoru miałby wielkie znaczenie, gdyby sam meteor był rzeczywiście czymś godnym uwagi. Skoro można go było dostrzec z ziemi, posuwał się widocznie po zamkniętej orbicie. Nie była to więc jedna z tych gwiazd spadających, które

znikają musnąwszy najodleglejsze warstwy atmosfery, jeden z tych asteroidów, które się raz ukażą i giną w przestrzeni, jeden z aerolitów, które wkrótce po zjawieniu się spadają. Nie, ten meteor powracał, krążył dokoła ziemi jak satelita. Zasługiwał więc, by się nim zająć, i dlatego należy usprawiedliwić zaciętość, z jaką kłócili się o niego panowie Forsyth i Hudelson.

Ponieważ meteor podlegał stałym prawom, nic nie przeszkadzało obliczyć różnych, dotyczących go danych. Krzątano się przy tym mniej więcej wszędzie, a z największym zapałem, rozumie się, w Whastonie. Aby jednak problem mógł być rozwiązany całkowicie, trzeba było koniecznie jeszcze kilku przynajmniej obserwacji.

Droga bolidu była pierwszym punktem ustalonym dwie doby później przez matematyków, którzy nie nazywali się ani Forsyth, ani Hudelson.

Droga ta biegła dokładnie z północy na południe. Lekkie odchylenie, 3°31', sygnalizowane przez pana Forsytha w jego liście do obserwatorium w Pittsburgu, było pozorne i wynikało z obrotu kuli ziemskiej.

Czterysta kilometrów dzieliło bolid od powierzchni ziemi, a jego nadzwyczajna szybkość, wynosiła sześć tysięcy dziewięćset sześćdziesiąt siedem metrów na sekundę. Dokonywał więc obrotu wokół ziemi w ciągu godziny, czterdziestu jeden minut, czterdziestu jeden i dziewięćdziesięciu trzech setnych sekundy, z czego można było wnioskować, zdaniem fachowców, że nie pojawi się w zenicie nad Whastonem wcześniej niż za sto cztery lata, sto siedemdziesiąt sześć dni i dwadzieścia dwie godziny.

Szczęśliwe to było stwierdzenie, zdolne uspokoić mieszkańców miasta, którzy tak bardzo obawiali się upadku fatalnego asteroidu! Jeśli spadnie, to w każdym razie nie na nich.

„Lecz jakież istnieje prawdopodobieństwo, że spadnie? — pytał »Goniec Poranny«. — Nie ma powodu przypuszczać, że napotka przeszkody na swej drodze ani że zatrzyma go coś w wędrówce”.

Oczywistość tego wywodu biła w oczy.

„Naturalnie — stwierdzał »Goniec Wieczorny« — niektóre aerolity spadły lub spadają obecnie. Ale są to najczęściej meteory niewielkich rozmiarów, które błądzą w przestworzach i spadają tylko wtedy, gdy dostaną się w orbitę przyciągania ziemskiego”.

Wyjaśnienie to było słuszne; wydawało się, że upadek bolidu o biegu tak prawidłowym jest równie nieprawdopodobny, jak to, że Księżyc zderzy się z Ziemią.

Po ustaleniu tego punktu trzeba było jeszcze wyjaśnić kilka spraw, zanim można by uznać, że posiadamy wyczerpujące informacje o asteroidzie, który stał się w gruncie rzeczy drugim satelitą Ziemi.

Jaka była jego objętość? Jego masa? Jego skład chemiczny?

Na pierwsze pytanie „Kurier Whastoński” odpowiedział następująco:

„Sądząc po wysokości, na której meteor się ukazał, i jego pozornych rozmiarach, średnica jego przekracza pięćset metrów; tyle pozwoliły dotychczas ustalić obserwacje. Ale nie można było dotąd określić jego składu. Przyczyną jego widzialności.— oczywiście pod warunkiem, że się dysponuje dość” silnymi instrumentami — jest to, że błyszczy bardzo mocno, prawdopodobnie z powodu tarcia powietrza, choć gęstość atmosfery jest na tej wysokości bardzo mała. Czy meteor ten nie jest tylko mieszaniną ciał gazowych? Albo może składa się ze stałego jądra, otoczonego świecącym obłokiem? Jaka jest w tym ostatnim wypadku wielkość i skład jądra? Tego nie wiemy i, być może, nie dowiemy się nigdy.

Reasumując: bolid ten nie ma żadnych nadzwyczajnych cech — ani co do objętości, ani co do szybkości. Jego jedyną osobliwością jest to, że zakreśla zamkniętą orbitę. Od jak dawna krąży on w ten sposób dokoła naszego globu? Zawodowi astronomowie nie mogliby nam tego powiedzieć, gdyż nigdy by nie uchwycili meteoru w obiektywy oficjalnych teleskopów bez pomocy naszych dwóch rodaków, pana Deana Forsytha i doktora Sydneya Hudelsona, którym przypadła sława dokonania tego wspaniałego odkrycia”.

W tym wszystkim — jak rozsądnie zauważył „Kurier Whastoński” — nie było nic nadzwyczajnego poza krasomówstwem redaktora. Dlatego też świat uczonych nie okazał większego entuzjazmu dla spraw, które tak pasjonowały ów szacowny dziennik, a świat laików zaledwie się nimi interesował.

Tylko mieszkańcy Whastonu upierali się, aby wiedzieć wszystko, co dotyczyło meteoru, którego odkrycie było zasługą dwóch znanych w ich mieście osobistości. Może zresztą i oni — podobnie jak inne stworzenia ziemskie — myśleliby w końcu obojętnie o tym kosmicznym wydarzeniu, które „Mucha” nazywała uparcie „komicznym”, gdyby dzienniki nie poinformowały ich, za pomocą coraz przejrzystszych aluzji, o rywalizacji między panem Deanem Forsythem a doktorem Hudelsonem. To dostarczyło materiału do plotek.

Wszyscy podchwycili skwapliwie okazję do sporów i miasto zaczęło się stopniowo dzielić na dwa obozy.

Tymczasem zbliżała się data ślubu. Pani Hudelson, Jenny i Loo z jednej strony, Francis Gordon i Mitz z drugiej, żyli w stanie rosnącego niepokoju. Lękali się ciągle skandalu spowodowanego spotkaniem dwóch rywali, podobnie jak spotkanie dwóch chmur o przeciwnych ładunkach wznieca iskrę i wywołuje uderzenie piorunu. Wiedziano, że pan Forsyth wścieka się, a pan Hudelson szuka ujścia dla swej furii.

Niebo było na ogół piękne, atmosfera czysta, horyzont Whastonu bez chmurki. Dwaj astronomowie mogli więc mnożyć obserwacje. Okazji im nie brakło, skoro bolid wracał nad horyzont przeszło czternaście razy na dobę i skoro znali obecnie, dzięki obliczeniom obserwatoriów, dokładny punkt, ku któremu za każdym jego przejściem miały być skierowane obiektywy.

Bez wątpienia dokonywanie tych obserwacji nie zawsze było jednakowo dogodne — zależało to od wzniesienia się bolidu nad horyzontem. Ale pojawiał się on tak często, że ta trudność nie miała większego znaczenia. Choć nie wracał już na zenit matematyczny Whastonu, gdzie dziwnym trafem dostrzeżono

go po raz pierwszy, przechodził codziennie tak blisko niego, że w praktyce wychodziło to na jedno. W każdym razie dwaj namiętni astronomowie mogli się swobodnie upajać kontemplowaniem meteoru, przecinającego przestrzeń nad ich głowami i ozdobionego wspaniale błyszczącą aureolą!

Pożerali go wzrokiem, pieścili oczyma. Każdy nazywał go własnym nazwiskiem — meteorem Forsytha, meteorem Hudelsona. Było to ich dziecko, krew z ich krwi, kość z ich kości. Należał do nich jak syn do rodziców, więcej — jak stworzenie do swego stwórcy. Jego widok nie przestawał ich podniecać. Obserwacje, hipotezy, które wyprowadzali z jego biegu i jego pozornego kształtu, kierowali jeden do obserwatorium w Cincinnati, drugi do obserwatorium w Pittsburgu, nie zapominając nigdy upominać się o prawo pierwszeństwa.

Wkrótce ta pokojowa walka przestała wystarczać ich wrogim uczuciom. Nie zadowalając się zerwaniem stosunków dyplomatycznych i wszelkich kontaktów osobistych, zapragnęli jawnej bitwy i oficjalnie wypowiedzianej wojny.

Pewnego dnia zjawiła się w „Kurierze Whastońskim” dość agresywna notatka przeciw doktorowi Hudelsonowi, notatka, którą przypisywano panu Forsythowi. Mówiła ona, że niektórzy ludzie mają doprawdy zbyt dobry wzrok, gdy patrzą przez cudze lunety, i dostrzegają zbyt łatwo to, co już zostało dostrzeżone.

W odpowiedzi na tę notatkę napisano nazajutrz w „Gońcu Wieczornym”, że wśród lunet bywają i takie, których dobrze nie wytarto; upstrzone są małymi plamkami, których nie bardzo wypada brać za meteory.

Równocześnie „Mucha” zamieściła bardzo udatne karykatury obu rywali. Zaopatrzeni byli w gigantyczne skrzydła i ścigali się, by złapać meteor, przedstawiony w postaci głowy zebry, która pokazywała im język.

Jednakże, choć wskutek owych artykułów i obraźliwych aluzji nieporozumienie dwóch przeciwników pogłębiało się. z każdym dniem, nie mieli oni jeszcze okazji wtrącić się do sprawy małżeństwa. Nie mówili wprawdzie o nim, ale pozwalali na

swobodny rozwój wypadków i nic nie wskazywało, że Francis Gordon i Jenny Hudelson nie zostaną w przewidzianym dniu związani

węzłem ze złota, który tylko śmierć rozmota

— jak mówi stara piosenka bretońska.

Nic nie wydarzyło się w ciągu ostatnich dni kwietnia. Jednak choć sytuacja nie pogarszała się, nie widać też było żadnej poprawy. Podczas posiłków w domu pana Hudelsona nikt nie robił najmniejszej aluzji do meteoru i miss Loo zachowująca, na rozkaz matki, milczenie, złościła się, że nie może go potraktować, jak na to zasługiwał. Już z samego sposobu, w jaki krajała kotlet, można było zrozumieć, że dziewczynka myśli o meteorze i że chciałaby go posiekać na tak małe kawałki, by nie można było odnaleźć nawet śladu po nim. Jenny nie próbowała nawet ukryć swego smutku, którego doktor nie chciał dostrzegać. Być może, nie dostrzegał go rzeczywiście, tak go absorbowały problemy astronomiczne.

Oczywiście Francis Gordon nie zjawiał się w czasie posiłków. Pozwalał sobie tylko na codzienną wizytę, w tym czasie gdy doktor Hudelson tkwił na swojej baszcie.

W domu przy ulicy św. Elżbiety posiłki nie były weselsze. Pan Dean Forsyth milczał uparcie, a gdy się zwracał do starej Mitz, odpowiadała tylko „tak” lub „nie” tonem tak suchym jak ówczesna pogoda.

Raz jeden tylko, dwudziestego ósmego kwietnia, pan Dean Forsyth, w chwili gdy wstawano od stołu po śniadaniu, rzekł do swego siostrzeńca:

— Czy bywasz jeszcze u Hudelsonów?

— Oczywiście, wuju — odpowiedział Francis zdecydowanym tonem.

— A dlaczego miałby tam nie chodzić? — zapytała Mitz kłótliwie.

— Nie do ciebie mówię, Mitz — żachnął się pan Forsyth. — Ale ja panu odpowiadam, proszę pana. Pies odzywa się przecież i do biskupa!

Pan Forsyth wzruszył ramionami i zwrócił się znowu do Francisa.

— Ja ci też odpowiedziałem, wuju — rzekł młodzieniec. — Tak, chodzę tam co dzień.

— Po tym wszystkim, co ten doktorzyna mi narobił! — zawołał pan Dean Forsyth.

— Cóż on ci zrobił?

— Pozwolił sobie odkryć…

— To, coś ty odkrył także, co wszyscy mieli prawo odkryć… Gdyż, ostatecznie, o cóż chodzi? O meteor łąki, jakich tysiące przebiegają nad Whastonem.

MUCHA

— Tracisz czas, synusiu — wtrąciła drwiąco Mitz. — Widzisz przecie, że twój wuj jest całkiem opętany swoim kamykiem, o który nie warto było robić większego krzyku jak o kamień graniczny koło naszego domu.

Tak wypowiedziała się Mitz w swoim specjalnym języku. A pan Dean Forsyth, którego takie rozumowanie doprowadzało zwykle do pasji, oświadczył tonem człowieka, który już nie panuje nad sobą:

— Otóż ja, Franciszku, zabraniam ci bywać u doktora!

— Przykro mi, że nie będę mógł cię posłuchać, wuju — odparł Gordon zachowując z trudem spokój, tak go wzburzyło to wystąpienie. — Będę tam bywał nadal.

— Tak, będzie bywał nadal! — zawołała stara Mitz. — Nawet gdyby pan próbował porąbać nas w kawałki.

Pan Forsyth pominął milczeniem to niebezpieczne twierdzenie.

— Trwasz więc w swoich zamiarach? — zapytał siostrzeńca.

— Tak, wuju — powiedział młody człowiek.

— I w dalszym ciągu chcesz zaślubić córkę tego złodzieja?

— Tak. I nic na świecie nie może mi w tym przeszkodzić.

— Zobaczymy!

Po tych słowach, które po raz pierwszy zdradziły zamiar sprzeciwienia się małżeństwu, pan Dean Forsyth opuścił pokój i

wszedł na schody wieży, której drzwi zatrzasnął za sobą z hałasem.

Nie ulegało wątpliwości, że Francis Gordon był zupełnie zdecydowany pójść jak zazwyczaj do Hudelsonów. Lecz jeśli za przykładem pana Forsytha doktor również zabroni mu bywać u narzeczonej? Czy nie należało się wszystkiego spodziewać po tych dwóch nieprzyjaciołach zaślepionych wzajemną zazdrością i nienawiścią właściwą wynalazcom, najgorszą ze wszystkich nienawiści?

Ileż Francis Gordon musiał włożyć wysiłku w ukrywanie swego smutku, gdy znalazł się tego dnia w obecności pani Hudelson i jej córek. Nie chciał nic mówić o przykrej scenie. Po cóż zwiększać niepokój rodziny, skoro był zdecydowany nie brać pod uwagę pogróżek wuja, nawet gdyby się ten przy nich upierał?

Bo czyż mogło się pomieścić w głowie istoty rozumnej, by związek dwojga narzeczonych został przekreślony lub nawet opóźniony z powodu jakiegoś bolidu? Przyjąwszy nawet, że pan Forsyth i doktor Hudelson nie zechcą się spotkać podczas ceremonii — można się będzie ostatecznie bez nich obyć. Koniec końców, obecność ich nie była niezbędna. Rzeczą zasadniczą było, by zezwolenie nie zostało cofnięte... przynajmniej ze strony doktora. Gdyż Francis Gordon był tylko siostrzeńcem swego wuja, ale Jenny była rodzoną córką swego ojca i nie mogła wyjść za mąż wbrew jego woli. Gdyby potem dwaj szaleńcy chcieli się nawet pożreć nawzajem, wielebny O'Garth byłby niemniej dopełnił ślubnej ceremonii w kościele świętego Andrzeja.

Jakby dla usprawiedliwienia tego optymistycznego rozumowania upłynęło jeszcze kilka dni nie przynosząc żadnej zmiany w sytuacji. Pogoda utrzymywała się nadal i nigdy niebo Whastonu nie było tak czyste. Poza oparami porannymi i wieczornymi, rozpraszającymi się po wschodzie i zachodzie słońca, żadna mgiełka nie mąciła atmosfery, w której bolid odbywał swą regularną wędrówkę.

Czyż trzeba powtarzać, że panowie Forsyth i Hudelson w dalszym ciągu pożerali go wzrokiem, że wyciągali ku niemu ręce, jakby go chcieli pochwycić, że wdychali go pełną piersią? Zapewne lepiej byłoby, gdyby meteor ukrył się przed ich wzrokiem za gęstą warstwą chmur, gdyż jego widok podniecał ich coraz bardziej. Dlatego Mitz przed udaniem się na spoczynek groziła co wieczór niebu pięścią. Próżne groźby! Meteor zakreślał stale świetlną krzywą na firmamencie usianym gwiazdami.

Co mogło znacznie pogorszyć sytuację, to coraz wyraźniejszy udział publiczności w tym prywatnym sporze. Dzienniki, jedne po prostu z zapałem, inne nawet gwałtownie, wypowiadały się albo za Deanem Forsythem, albo za Hudelsonem. Żadne pismo nie pozostało obojętne. Choć kwestia pierwszeństwa nie miała, na dobrą sprawą, racji bytu, nikt nie chciał ustąpić. Z wysokości wieży i baszty spór zstępował do biur redakcyjnych i można było przewidywać poważne komplikacje. Zapowiadano już zwołanie wieców, na których sprawa miała być dyskutowana — można sobie wyobrazić, z jakim brakiem umiarkowania w słowach, znając porywczy charakter obywateli wolnej Ameryki!

Pani Hudelson i Jenny niepokoiły się widząc panujące podniecenie. Na próżno Loo próbowała dodać matce otuchy, a Francis uspokoić narzeczoną. Nie można było ukrywać przed sobą, że dwaj rywale, niegodziwie podjudzani, zacietrzewiają się coraz bardziej. Powtarzano uwagi, prawdziwe czy fałszywe, wygłoszone podobno przez pana Forsytha, słowa autentyczne czy przekręcone, które miał wypowiedzieć pan Hudelson, i z dnia na dzień, z godziny na godzinę sytuacja stawała się groźniejsza.

W tych okolicznościach spadł piorun z jasnego nieba, którego huk rozległ się — można to śmiało powiedzieć — w całym świecie.

Czyżby nastąpiła eksplozja meteoru, której echa rozbrzmiały pod sklepieniem niebios?

Nie, chodziło po prostu o przedziwną wiadomość, którą telegraf i telefon rozniosły z szybkością iskry elektrycznej przez

wszystkie republiki i królestwa tak Starego, jak i Nowego Świata.

Wiadomość ta nie pochodziła bynajmniej z baszty pana Hudelsona ani z wieży Deana Forsytha, ani z obserwatorium w Pittsburgu, Bostonie czy Cincinnati. Tym razem obserwatorium w Paryżu wzburzyło cały świat cywilizowany, umieszczając w prasie, drugiego maja, tak zredagowaną notatkę:

„Meteor zasygnalizowany obserwatoriom w Cincinnati i Pittsburgu przez dwóch czcigodnych obywateli miasta Whastonu (stan Wirginia), którego obieg dokoła globu ziemskiego jest, jak się zdaje dotychczas, idealnie prawidłowy, stanowi obecnie przedmiot wytężonych badań we wszystkich obserwatoriach świata prowadzonych przez całą armię wybitnych astronomów; ich wysokie kompetencje przyrównać można jedynie do ich zdumiewającego poświęcenia w służbie nauki.

Jeśli mimo tak uważnego badania pewne zagadnienia muszą jeszcze czekać na rozwiązanie, obserwatorium paryskiemu udało się wyjaśnić przynajmniej jedno: skład chemiczny meteoru.

Promienie wydzielane przez bolid zostały poddane analizie widmowej, a rozmieszczenie prążków pozwoliło poznać w sposób niewątpliwy istotę ciała świetlnego. Otoczone błyszczącym obłokiem jego jądro, z którego wychodzą obserwowane promienie, nie jest gazowe, lecz stałe. Nie jest ono z żelaza rodzimego, jak u wielu innych aerolitów, ani z jakiegokolwiek innego składnika chemicznego spośród tych, które tworzą zazwyczaj te wędrujące ciała.

Bolid ten jest ze złota, z czystego złota, i jeśli nie da się określić jego prawdziwej wartości, to dlatego, że nie można było dotychczas zmierzyć w sposób dokładny rozmiarów jądra”.

Tak brzmiała notatka podana do wiadomości całego świata. Łatwiej sobie wyobrazić, jakie wywołała wrażenie, niż to opisać. Kula ze złota, bryła cennego metalu, której wartość równała się wielu miliardom, krążyła dokoła ziemi! Ileż marzeń zrodzi wypadek tak sensacyjny! Jaką chciwość obudzi w całym

świecie, a szczególnie w Whastonie, któremu przypadł w udziale zaszczyt odkrycia meteoru! A cóż dopiero będzie się działo w sercach dwóch obywateli, od tej chwili nieśmiertelnych, których nazwiska brzmiały: Dean Forsyth i Sydney Hudelson!

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

w którym dzienniki, publiczność, Dean Forsyth, i doktor Hudelson oddają się orgii matematycznej

Ze złota!... On jest ze złota!...

Pierwszym uczuciem było niedowierzanie. Dla jednych była to pomyłka, która niebawem zostanie sprostowana, dla innych — wielka mistyfikacja wymyślona przez genialnych kawalarzy. Gdyby tak było, obserwatorium paryskie musiałoby natychmiast zdementować notatkę, fałszywie mu przypisywaną.

Powiedzmy od razu, że sprostowanie takie się nie ukazało. Przeciwnie, astronomowie wszystkich krajów, powtarzając na wyścigi doświadczenie swych francuskich kolegów, jednogłośnie potwierdzili ich wnioski. Trzeba więc było z konieczności uważać przedziwne zjawisko za fakt dowiedziony i pewny.

Wtedy — nastąpiło zbiorowe szaleństwo.

Gdy ma być zwykłe zaćmienie słońca, sprzedaje się, jak wiadomo, poważne ilości szkieł optycznych. Można więc sobie wyobrazić, ile kupiono teraz lornetek, lunet, teleskopów z okazji tego pamiętnego wydarzenia! Żaden król ani królowa, żadna śpiewaczka czy sławna tancerka nie byli tak długo i tak namiętnie lornetowani jak ten niezwykły meteor, obojętny i wyniosły, odbywający swą regularną wędrówkę w nieskończonych przestworzach.

Piękna pogoda ustaliła się i warunki obserwacji były wyborne. Toteż pan Dean Forsyth nie opuszczał swojej wieży, a doktor Sydney Hudelson — baszty. Obaj starali się określić resztę danych dotyczących meteoru, jego objętość i masę, nie mówiąc o nieprzewidzianych właściwościach, które mogły się ujawnić przy uważnym badaniu. Jeśli rozstrzygnięcie kwestii pierwszeństwa okaże się ostatecznie niemożliwe, jaką przewagę osiągnie ten z rywali, który zdoła wydrzeć ciału niebieskiemu niektóre z jego tajemnic! Czyż sprawa bolidu nie była najważniejszą sprawą dnia? W przeciwieństwie do mieszkańca starożytnej Galii, który lękał się jedynie tego, by mu niebo nie spadło na głowę, ludzkość cała miała teraz tylko jedno pragnienie, by bolid, zatrzymany w swym biegu przez siłę przyciągania, wzbogacił nasz glob swymi wędrownymi miliardami.

Ileż obliczeń przeprowadzono, by ustalić liczbę owych miliardów! Na nieszczęście, obliczenia te pozbawione były podstaw, gdyż rozmiary jądra pozostawały nieznane.

W każdym razie wartość owego jądra musiała być ogromna, i to wystarczało, by rozpalić wyobraźnie.

Już trzeciego maja „Kurier Whastoński” ogłosił notatkę, która (po całej serii refleksyj) kończyła się następująco:

„Przyjmując, że jądro bolidu Forsyth-Hudelson tworzy kulę mającą zaledwie dziesięć metrów średnicy, kula ta ważyłaby, gdyby była żelazna, trzy tysiące siedemset siedemdziesiąt trzy tony. Lecz ta sama kula składająca się wyłącznie z czystego złota ważyłaby dziesięć tysięcy osiemdziesiąt trzy tony, a wartość jej wynosiłaby ponad trzydzieści jeden miliardów franków”.

A więc nawet przy tak niewielkiej objętości bolid miałby taką wartość!

— Czy to możliwe, proszę pana? — wyjąkał Omikron przeczytawszy wspomnianą notatkę.

— To jest nie tylko możliwe, ale nawet zupełnie pewne — odpowiedział pouczającym tonem pan Dean Forsyth. — By otrzymać ten wynik, wystarczy pomnożyć masę przez średnią

wartość złota, to znaczy trzy tysiące sto franków za kilogram; masa zaś jest iloczynem objętości przez gęstość metalu, to jest dziewiętnaście tysięcy dwieście pięćdziesiąt osiem. Co do objętości otrzymuje się ją w sposób najprostszy ze wzoru:

— Rzeczywiście! — potwierdził z miną pełną zrozumienia Omikron, dla którego wszystko to było istną chińszczyzną.

— Nawiasem mówiąc — podjął pan Forsyth — to ohydne, że dziennik uporczywie łączy moje nazwisko z nazwiskiem tamtego indywiduum!

Prawdopodobnie doktor czynił ze swej strony tę samą uwagę.

Gdy miss Loo przeczytała notatkę „Kuriera", na jej różanych wargach ukazał się grymas tak wzgardliwy, że owe trzydzieści jeden miliardów czułyby się nim głęboko upokorzone.

Wiadomo, że temperament dziennikarzy skłania ich instynktownie do licytowania się między sobą. Gdy jeden powie „dwa", drugi mówi bezwiednie „trzy". Nic więc dziwnego, że tego samego wieczoru „Goniec Wieczorny" odpowiedział słowami, które zdradzały poza tym jego godną potępienia stronniczość na rzecz baszty, mając te zaledwie dziesięć metrów średnicy, kula ta ważyłaby, gdyby była żelazna, trzy tysiące siedemset siedemdziesiąt trzy tony. Lecz ta sama kula składająca się wyłącznie z czystego złota ważyłaby dziesięć tysięcy osiemdziesiąt trzy tony, a wartość jej wynosiłaby ponad trzydzieści jeden miliardów franków".

A więc nawet przy tak niewielkiej objętości bolid miałby taką wartość!

— Czy to możliwe, proszę pana? — wyjąkał Omikron przeczytawszy wspomnianą notatkę.

— To jest nie tylko możliwe, ale nawet zupełnie pewne — odpowiedział pouczającym tonem pan Dean Forsyth. — By otrzymać ten wynik, wystarczy pomnożyć masę przez średnią wartość złota, to znaczy trzy tysiące sto franków za kilogram; masa zaś jest iloczynem objętości przez gęstość metalu, to jest dziewiętnaście tysięcy dwieście pięćdziesiąt osiem. Co do objętości otrzymuje się ją w sposób najprostszy ze wzoru:

— Rzeczywiście! — potwierdził z miną pełną zrozumienia Omikron, dla którego wszystko to było istną chińszczyzną.

— Nawiasem mówiąc — podjął pan Forsyth — to ohydne, że dziennik uporczywie łączy moje nazwisko z nazwiskiem tamtego indywiduum!

Prawdopodobnie doktor czynił ze swej strony tę samą uwagę.

Gdy miss Loo przeczytała notatkę „Kuriera", na jej różanych wargach ukazał się grymas tak wzgardliwy, że owe trzydzieści jeden miliardów czułyby się nim głęboko upokorzone.

Wiadomo, że temperament dziennikarzy skłania ich instynktownie do licytowania się między sobą. Gdy jeden powie „dwa", drugi mówi bezwiednie „trzy". Nic więc dziwnego, że tego samego wieczoru „Goniec Wieczorny" odpowiedział słowami, które zdradzały poza tym jego godną potępienia stronniczość na rzecz baszty.

„Nie rozumiemy, dlaczego »Kurier« okazał się tak skromny w swych obliczeniach. Co do nas, będziemy odważniejsi. By pozostać przy możliwych do utrzymania hipotezach, przypiszmy bolidowi Hudelsona średnicę stumetrową. Przyjmując te wymiary, stwierdzamy, że ciężar takiej kuli z czystego złota wynosiłby dziesięć milionów osiemdziesiąt trzy tysiące czterysta osiemdziesiąt osiem ton, a jego wartość przekraczałaby trzydzieści jeden trylionów dwieście sześćdziesiąt miliardów franków, czyli liczbę złożoną z czternastu cyfr!"

„A jeszcze zapomina się o centymach" — dodała dowcipnie „Mucha", cytując te fantastyczne liczby, których wyobraźnia nie może objąć.

Tymczasem, ponieważ pogoda dalej się utrzymywała, Dean Forsyth i doktor Hudelson prowadzili swe badania zacieklej niż kiedykolwiek przedtem, podtrzymywani nadzieją pierwszeństwa przynajmniej w dokładnym określeniu rozmiarów jądra asteroidu. Na nieszczęście, bardzo trudno było ustalić jego kontury wśród błyszczącego obłoku, którym był otoczony.

Pewnego razu, w nocy z piątego na szósty maja, pan Forsyth przypuszczał już, że dopnie swego. Promieniowanie osłabło na chwilę, ukazując kulę o intensywnym blasku.

— Omikron! — zawołał pan Forsyth głosem stłumionym ze wzruszenia.

— Słucham pana.

— Jądro.

— Tak, Widzę.

— Nareszcie, mamy je!

— Oho! — zawołał Omikron. — Już go nie można odróżnić.

— Wszystko jedno, widziałem je. Miałem ten zaszczyt. Jutro, wczesnym rankiem, zadepeszuję do obserwatorium w Pittsburgu… i ten nędznik Hudelson nie będzie mógł tym razem twierdzić…

Czy pan Forsyth padł ofiarą złudzenia? Czy też rzeczywiście doktor Hudelson pozwolił się tak znacznie wyprzedzić? Nigdy się o tym nie dowiemy. Nigdy też nie wysłano projektowanej depeszy do obserwatorium w Pittsburgu. Albowiem rankiem szóstego maja następująca notatka ukazała się w prasie całego świata:

„Obserwatorium w Greenwich ma zaszczyt podać do wiadomości publicznej, że jak wynika z jego obliczeń i z wielu zupełnie zadowalających obserwacji, bolid, sygnalizowany przez dwóch szanownych obywateli miasta Whastonu, a który obserwatorium paryskie uznało za składający się z czystego złota, jest kulą o średnicy stu dziesięciu metrów i objętości mniej więcej dziewięciuset sześćdziesięciu tysięcy metrów sześciennych.

Taką kula ze złota powinna ważyć ponad trzynaście milionów ton. Obliczenie wykazuje, że jest inaczej. Rzeczywisty ciężar bolidu sięga ledwie siódmej części tej liczby i równa się milionowi ośmiuset sześćdziesięciu siedmiu tysiącom ton; jest to ciężar odpowiadający objętości około dziewięćdziesięciu siedmiu tysięcy metrów sześciennych, a przybliżonej średnicy pięćdziesięciu siedmiu metrów.

Z poprzednich rozważań należy wyciągnąć następujący wniosek:

Ponieważ skład chemiczny bolidu jest ustalony w sposób nie podlegający dyskusji, trzeba przyjąć, że albo w metalu tworzącym jądro istnieją znaczne luki, albo też — co jest bardziej prawdopodobne — metal ten znajduje się w stanie proszkowatym, tak iż jądro ma budowę porowatą, podobną do budowy gąbki.

W każdym razie obliczenia i obserwacje pozwalają dokładniej ustalić wartość bolidu. Według obecnego kursu złota wynosi ona pięć trylionów siedemset osiemdziesiąt osiem miliardów franków".

A więc średnica nie wynosiła stu metrów, jak przypuszczał „Goniec Wieczorny", ani też dziesięciu, jak przyjmował „Kurier". Prawda była inna. Ale i tak meteor mógł zadowolić najzachłanniejsze apetyty, gdyby nie było mu przeznaczone zakreślanie wieczystej drogi ponad kulą ziemską.

Gdy pan Dean Forsyth dowiedział się o wartości swego bolidu, zawołał:

— Ja go odkryłem, a nie ten łajdak z baszty! Do mnie należy i gdyby spadł na ziemię, miałbym majątek wartości pięciu trylionów ośmiuset miliardów franków.

Ze swej strony zresztą doktor Hudelson powtarzał wyciągając grożące ramię ku wieży.

— To moja własność, mój majątek... to dziedzictwo moich dzieci krąży w przestworzach! Gdyby spadło na nasz glob, należałoby do mnie, stanowiłoby wyłącznie moją własność i byłbym pięć tysięcy osiemset razy miliarderem.

Jest pewne, że Vanderbildt, Astor, Rockefeller, Pierpont, Morgan, Mackay, Gould i inni krezusi amerykańscy, nie mówiąc już o Rotshildzie — byliby w tym wypadku drobnymi rentierami wobec doktora Hudelsona lub pana Deana Forsytha.

Oto, do czego doszło! Doprawdy, musieli mieć obaj mocne głowy, jeśli nie poszaleli od razu!

Francis i pani Hudelson przewidywali aż nazbyt trafnie, czym się to wszystko skończy. Lecz jak zatrzymać dwóch rywali na

tak śliskiej drodze? Nie podobna było mówić z nimi rozsądnie. Zdawali się zapominać o projektowanym małżeństwie i myśleli tylko o swej rywalizacji, podtrzymywanej w sposób godny pożałowania przez dzienniki Whastonu.

Artykuły tych pism, zazwyczaj dość spokojne, przybierały wściekły ton, a podejrzane osobistości, biorące udział w polemikach, mogły łatwo wciągnąć do walki ludzi usposobionych zazwyczaj jak najbardziej pojednawczo.

Ze swej strony „Mucha” nie przestawała podniecać przeciwników epigramami i karykaturami. Jeśli pismo to nie dolewało oliwy do ognia, to rzucało przynajmniej do niego sól, sól attycką swoich codziennych dowcipów — i ogień buzował jeszcze potężniej.

Zaczynano się lękać, by pan Forsyth i doktor Hudelson nie zapragnęli walczyć o meteor z bronią w ręku i załatwić spory pojedynkiem amerykańskim! Oto, co by pogmatwało ostatecznie sprawy dwojga narzeczonych.

Na szczęście dla pokoju świata, gdy dwaj maniacy tracili z każdym dniem resztki zdrowego rozsądku, publiczność stopniowo się uspokajała. Ostatecznie uprzytomnili sobie wszyscy, jak małe miało znaczenie, że bolid był ze złota i że wartość jego wynosiła tysiące miliardów, skoro nie można go było dosięgnąć.

A niezaprzeczenie nie można go by było dosięgnąć. Po każdym obrocie meteor ukazywał się niezmiennie w punkcie nieba wskazanym przez obliczenia. Szybkość jego była więc jednostajna i jak od początku twierdził „Kurier Whastoński”, nie było racji, by uległa kiedykolwiek zmniejszeniu. W rezultacie bolid będzie w przyszłości krążył wiecznie dokoła ziemi, tak jak prawdopodobnie krążył wiecznie w przeszłości.

Te rozważania, powtarzane do przesytu przez wszystkie dzienniki świata, przyczyniły się do uspokojenia umysłów. Coraz mniej myślano o bolidzie i każdy wrócił do swych zajęć, westchnąwszy tylko na myśl o nieosiągalnych skarbach.

W numerze z dziewiątego maja „Mucha” stwierdziła rosnącą obojętność publiczności wobec tego, co ją pasjonowało przed

kilku dniami, i kontynuując żart, który widocznie uważała za znakomity, znalazła nowe powody do zaatakowania dwóch odkrywców meteoru:

„Jak długo — wołała »Mucha« pod koniec swego artykułu ze sztucznym oburzeniem — pozostaną bezkarni dwaj złoczyńcy, których wskazaliśmy już jako godnych publicznej wzgardy? Nie zadowalając się tym, że chcieli unicestwić w jednej chwili swe miasto rodzinne, powodują oto ruinę najszanowniejszych rodzin. W przeszłym tygodniu jeden z naszych przyjaciół, złudzony zwodniczymi i kłamliwymi twierdzeniami, roztrwonił w ciągu dwu dni spuściznę przodków. Liczył nieszczęsny na miliardy meteoru! Co się stanie z biednymi wnukami naszego przyjaciela teraz, gdy te miliardy uciekną nam sprzed… to znaczy znad nosa? Czyż trzeba dodawać, że ten przyjaciel jest symboliczny i że zwie się legion? Proponujemy, by wszyscy mieszkańcy globu wytoczyli proces panu Deanowi Forsythowi i Sydneyowi Hudelsonowi w celu otrzymania pięciu trylionów siedmiuset osiemdziesięciu ośmiu miliardów odszkodowania. I żądamy, aby bez litości ściągnięto z nich tę sumę!”

Zainteresowani nie dowiedzieli się nigdy, że taki proces, nie mający na pewno precedensu i którego wyrok trudny byłby do wyegzekwowania, groził im kiedykolwiek. Gdy inni śmiertelnicy wrócili już do spraw ziemskich, panowie Forsyth i Hudelson szybowali dalej w lazurze nieba i przetrząsali go swymi upartymi teleskopami.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

w którym Zefirynowi Xirdalowi przychodzi do głowy pewien pomysł, a nawet dwa pomysły

W gronie znajomych mawiano często: „Zefiryn Xirdal? Co za typ!” Rzeczywiście, zarówno pod względem fizycznym, jak i moralnym, Zefiryn Xirdal był osobistością niezwykłą.

Długie, rozlazłe ciało, koszula często bez kołnierza i zawsze bez mankietów; spodnie zwinięte jak korkociąg; kamizelka, przy której na trzy guziki brakowało stale dwóch; olbrzymia marynarka z kieszeniami wypchanymi tysiącem różnych przedmiotów; wszystko mocno brudne i przypadkowo wybrane ze stosu różnych łachów — taka mniej więcej była postać Zefiryna Xirdala i w taki sposób pojmował on elegancję. Z jego barków, zaokrąglonych jak sklepienie lochu, zwisały kilometrowe ramiona, zakończone ogromnymi, kosmatymi dłońmi — zresztą cudownie zręcznymi — które stykały się z mydłem w terminach bliżej nie określonych.

Jeśli głowa była, jak u każdego innego człowieka, szczytowym punktem tej postaci, to tylko dlatego, że nie mógł on nic na to poradzić. Lecz oryginał ten odbijał to sobie wystawiając na pokaz publiczny twarz, której brzydota sięgała paradoksu. Trudno sobie jednak wyobrazić coś bardziej pociągającego niż owe rysy, nieregularne i pełne sprzeczności: ciężki, kwadratowy podbródek, wielkie usta z grubymi wargami, pełne wspaniałych zębów, szeroki, spłaszczony nos, uszy o brzydkich muszlach, zdające się z obrzydzeniem unikać kontaktu z czaszką —

wszystko to nasuwało tylko bardzo pośrednie skojarzenie z pięknym Antinousem. Natomiast wspaniale ukształtowane czoło o szlachetnych liniach wieńczyło tę dziwną twarz, tak jak wieńczy wzgórze świątynia, przybytek najszczytniejszych myśli. Na koniec, by do reszty zdezorientować bliźnich, Zefiryn Xirdal miał pod tym wysokim czołem parę wyłupiastych oczu, które wyrażały, zależnie od momentu, najwspanialszą inteligencję lub najbardziej otchłanną głupotę.

W dziedzinie duchowej Zefiryn Xirdal stanowił żywe zaprzeczenie pospolitości swych współczesnych.

Zbuntowany przeciw wszelkiemu regularnemu nauczaniu, postanowił już od najmłodszych lat, że będzie się uczył sam, a rodzice musieli się poddać jego nieugiętej woli. W gruncie rzeczy dało to nienajgorsze rezultaty. W wieku, w którym zazwyczaj wyciera się jeszcze szkolne ławy, Zefiryn Xirdal zdawał egzaminy konkursowe na wszystkie wyższe uczelnie po kolei — dla zabawy, jak mówił — i niezmiennie zdobywał pierwsze miejsce.

Nawiasem mówiąc, sukcesy te szły w niepamięć natychmiast po ich osiągnięciu. Uczelnie musiały kolejno wykreślać ze swych rejestrów tego laureata, który się nie zjawiał nigdy w dniu rozpoczęcia wykładów.

Po śmierci rodziców stał się w osiemnastym roku życia panem swych losów mając do dyspozycji roczną rentę w wysokości około piętnastu tysięcy franków. Xirdal podpisał jak najśpieszniej wszystkie upoważnienia, których żądał jego opiekun i ojciec chrzestny, bankier Robert Lecoeur (Zefiryn, jak w dzieciństwie, nazywał go nadal wujem), po czym, wolny od wszelkich trosk, zainstalował się w dwóch maleńkich pokoikach na szóstym piętrze przy ulicy Cassette w Paryżu.

Mieszkał tam jeszcze mając trzydzieści jeden lat.

Od chwili gdy złożył w nim swe lary i penaty, lokal nie został powiększony, a mimo to ilość rzeczy, które tam nagromadził, była zadziwiająco wielka. Jak groch z kapustą pomieszane były ze sobą maszyny i stosy elektryczne, dynama, instrumenty optyczne, retorty i setki najróżnorodniejszych aparatów.

Piramidy broszur, książek i papierów wznosiły się od podłogi do sufitu, gromadząc się równocześnie na jedynym krześle i na stole; poziom tych mebli podwyższał się równomiernie, tak iż nasz oryginał nie spostrzegał zmiany, gdy siadłszy na krześle pisał na stole. Ponadto, gdy papierzyska zbyt mu przeszkadzały, usuwał tę niedogodność bez trudu. Jednym ruchem ręki przerzucał pliki papieru na drugą stronę pokoju, po czym w spokoju ducha zabierał się do pracy na stole wzorowo uporządkowanym (gdyż nic już na nim nie było) i wobec tego przygotowanym pod przyszłe zatory rękopisów.

Cóż takiego robił Zefiryn Xirdal?

Na ogół, trzeba przyznać, zadowalał się snuciem marzeń, otoczony wonnym dymem swej nigdy nie gasnącej fajki. Lecz niekiedy, w zmiennych odstępach czasu, wpadał na jakiś pomysł. W takim dniu doprowadzał stół do porządku swoistą metodą, to jest uprzątając go jednym machnięciem pięści, i zasiadał przy nim odchodząc dopiero po ukończeniu pracy, wszystko jedno, czy trwała ona czterdzieści minut, czy czterdzieści godzin. Po czym, postawiwszy końcową kropkę, zostawiał papier zawierający rezultat jego badań na stole, gdzie dawał on początek nowemu stosowi, przeznaczonemu, podobnie jak poprzedni, do wymiecenia w czasie następnego ataku pracowitości.

W ciągu takich kolejnych ataków, następujących po sobie w nieregularnych odstępach czasu, liznął wszystkiego po trosze. Matematyka wyższa, fizyka, chemia, fizjologia, filozofia, nauki ścisłe i stosowane — przyciągały na zmianę jego uwagę. Każdy problem podejmował z jednakową zawsze szaleńczą gwałtownością, a porzucał dopiero po rozwiązaniu, chyba że…

Chyba że inny pomysł odwrócił równie niespodziewanie jego uwagę. Mogło się wtedy zdarzyć, że ten skrajny fantasta puszczał się na oślep w krainę iluzji, ścigając nowego motyla, którego żywe barwy porywały go tak, że zapominał całkowicie o swych poprzednich zajęciach, upojony nowym marzeniem.

Lecz do zajęć Zefiryna Xirdala można było zastosować przysłowie: „Co się odwlecze, to nie uciecze”. Pewnego pięknego

dnia, odnalazłszy niespodziewanie naszkicowane dzieło, zaprzęgał się do pracy z nową energią i choćby nawet po dwóch czy trzech przerwach, doprowadzał je do końca.

Ileż szczęśliwych lub głębokich pomysłów, ileż definitywnych rozwiązań największych trudności nauk ścisłych lub doświadczalnych, ile praktycznych odkryć drzemało w stosach papierów, które Zefiryn Xirdal deptał pogardliwie nogami! Nigdy nie pomyślał o wyciągnięciu korzyści z tego skarbu, chyba że któryś z nielicznych jego przyjaciół skarżył się przed nim na bezskuteczność swoich badań w jakiejkolwiek dziedzinie.

— Proszę chwilę poczekać — mówił wtedy Xirdal. — Muszę tu mieć coś na ten temat.

Równocześnie wyciągał rękę, odkrywał natychmiast, z niezwykłym wyczuciem, świstek dotyczący danej kwestii wśród tysiąca kartek mniej lub więcej zmiętoszonych i oddawał pracę przyjacielowi, pozwalając mu korzystać z niej bez najmniejszych zastrzeżeń. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że postępując w ten sposób działa wbrew własnym interesom.

Pieniądze? Na co? Jeśli ich potrzebował, szedł do swego ojca chrzestnego, pana Roberta Lecoeur. Nie będąc już opiekunem pan Lecoeur pozostał nadal jego bankierem i Xirdal miał pewność, że po powrocie z tej wizyty będzie zaopatrzony w sumę, z której może czerpać, póki nie wyda jej co do grosza. Od czasu gdy mieszkał przy ulicy Cassette, postępował zawsze w ten sposób ku swemu zupełnemu zadowoleniu. Mieć pragnienia odradzające się bez przerwy i móc je zaspokajać— jest oczywiście jedną z form szczęścia. Ale nie jedyną. Nie odczuwając żadnych pragnień, Zefiryn Xirdal był także zupełnie szczęśliwy.

Tego ranka, dziesiątego maja, szczęśliwy ten człowiek ze szczególnym zadowoleniem palił fajkę siedząc wygodnie na swym jedynym krześle, z nogami umieszczonymi o kilka centymetrów wyżej niż głowa, na parapecie okna, i bawiąc się rozwiązywaniem rebusów i krzyżówek wydrukowanych na papierowej torebce, którą obdarował go sklepikarz pakując mu

jakieś artykuły żywnościowe. Gdy to ważne zajęcie zostało zakończone i rozwiązanie znalezione, rzucił papier na ziemię, po czym wyciągnął niedbale lewą rękę w stronę stołu z niejasno uświadomionym zamiarem wyłowienia czegoś, obojętne, co by to było.

Ręka napotkała nie rozpieczętowaną paczkę gazet. Xirdal wziął na los szczęścia jedną z nich; był to numer dziennika sprzed ośmiu dni. Jego sędziwy wiek nie mógł odstraszyć czytelnika żyjącego poza czasem i przestrzenią. Zefiryn rzucił okiem na pierwszą stronę, lecz naturalnie nie przeczytał jej. W ten sam sposób przebiegł drugą i wszystkie inne aż do ostatniej. Zainteresował się bardzo ogłoszeniami; potem, sądząc, że czyta stronę następną, powrócił bezwiednie do pierwszej. Oczy jego padły nieświadomie na początek wstępnego artykułu i światełko inteligencji zapaliło się w jego wielkich źrenicach, które dotychczas wyrażały tylko najdoskonalszą bezmyślność.

Światełko powiększało się, stawało się płomieniem, w miarę jak trwała lektura i dobiegała końca.

— No!... No!... No!... — szepnął na trzy różne tony Zefiryn Xirdal i uznał za konieczne przeczytać artykuł jeszcze raz.

Miał zwyczaj mówić głośno, gdy był sam w pokoju. Chętnie nawet używał liczby mnogiej, zapewne dlatego, by stworzyć sobie pochlebne złudzenie audytorium chłonącego chciwie jego słowa; audytorium to, istniejące jedynie w jego wyobraźni, musiało być bardzo liczne, gdyż obejmowało wszystkich uczniów, wielbicieli i przyjaciół, których Zefiryn Xirdal nigdy nie miał i których nigdy mieć nie będzie.

Ale tym razem był mniej wymowny i ograniczył się do swego potrójnego okrzyku. W najwyższym stopniu zainteresowany artykułem, czytał w milczeniu.

Cóż to pochłaniał tak gorączkowo?

Odkrywał po prostu, jako ostatni na całym świecie, meteor z Whastonu i równocześnie dowiadywał się o niezwykłym jego składzie, gdyż przypadkowo trafił na artykuł poświęcony owej bajecznej bryle złota.

— A to heca! — oświadczył, gdy skończył czytać po raz drugi.

Siedział przez chwilę pogrążony w myślach, po czym nogi jego opuściły parapet i Xirdal zbliżył się do stołu. Nadciągał atak pracowitości.

Znalazł bez wahania, wśród mnóstwa innych, miesięcznik naukowy, którego potrzebował, i zerwał opaskę. Miesięcznik otworzył się sam na potrzebnej stronicy.

Czasopismo naukowe ma większe prawo posługiwać się językiem technicznym niż popularny dziennik. Przegląd, o którym mowa, korzystał w pełni z tego prawa. Dane dotyczące meteoru: orbita, szybkość, objętość, masa, skład chemiczny — były podane w kilku słowach, ale jako rezultat całych stron uczonych wykresów i równań algebraicznych.

Zefiryn Xirdal przyswoił sobie bez wysiłku ten dość niestrawny pokarm intelektualny, po czym rzucił spojrzenie na niebo, stwierdzając, że żaden obłok nie plamił jego lazuru.

— Zobaczymy! — szepnął wykonując równocześnie niecierpliwą ręką kilka szybkich obliczeń.

Ukończywszy je, wsunął rękę pod kupę papierów nagromadzonych w jednym z kątów i gestem, którego precyzję zawdzięczał długiej praktyce, przerzucił stos w drugi kąt.

— To zadziwiające, jaki u mnie panuje porządek! — rzekł z jawną satysfakcją, stwierdzając, że „uporządkowanie” odkrywało, zgodnie z jego przewidywaniami, lunetę astronomiczną, zakurzoną jak butelka stuletniego wina.

Przyciągnąć lunetę pod okno, skierować ją na punkt nieba określony przed chwilą za pomocą obliczenia, przytknąć oko do okulara — wszystko to było dziełem jednej chwili.

— Dokładnie się zgadza — stwierdził Zefiryn po kilku minutach obserwacji.

Nastąpiło kilka dalszych minut poświęconych na refleksje; później Xirdal wziął rezolutnie kapelusz i zaczął zstępować z sześciu pięter, z zamiarem udania się na ulicę Drouot, do banku Lecoeura, który stanowił jej prawdziwą chlubę.

Zefiryn Xirdal znał tylko jeden sposób przenoszenia się z miejsca na miejsce. Nigdy nie używał omnibusu, tramwaju ani innych pojazdów. Bez względu na odległość, chodził zawsze

piechotą. Lecz nawet uprawiając ten najnaturalniejszy i najczęściej praktykowany sport nie mógł pozbyć się oryginalnego sposobu bycia. Ze spuszczonymi oczami, kołysząc swe szerokie barki na prawo i lewo, szedł przez miasto, jakby był na pustyni. Z tą samą pogodą nie zwracał uwagi na pojazdy, co i na piechurów. Ileż więc okrzyków w rodzaju: „Bałwan!”, „Gbur!” lub „Grubianin!” padało ze strony przechodniów potrąconych lub takich, którym zbyt bezceremonialnie nastąpił na nogę! Ileż obelg bardziej energicznych, wykrzykiwanych pod jego adresem rubasznymi głosami woźniców zmuszonych do gwałtownego hamowania! Żaden z nich przecież nie pragnął stać się bohaterem kroniki wypadków, w której Zefiryn figurowałby jako ofiara.

Xirdal nie troszczył się o to wszystko. Nie słyszał nić z koncertu złorzeczeń, który się podnosił po jego przejściu, tak jak tworzy się ślad za płynącym okrętem; szedł beztrosko dalej wielkimi, równo odmierzonymi krokami. Wystarczyło mu dwadzieścia minut, by dojść do ulicy Drouot i banku Lecoeura.

— Czy jest wujaszek? — zapytał odźwiernego, który podniósł się na jego widok.

— Tak, panie Xirdal.

— Sam?

— Sam.

Zefiryn Xirdal pchnął drzwi obite skórą i wszedł do gabinetu bankiera.

— Ty tutaj? — zapytał machinalnie pan Lecoeur na widok swego przyszywanego siostrzeńca.

— Ponieważ jestem tu we własnej osobie — odpowiedział Zefiryn Xirdal — ośmielę się zauważyć, że pytanie jest zbyteczne, a odpowiedź niepotrzebna.

Pan Lecoeur, przyzwyczajony do dziwactw swego chrzestniaka, którego słusznie uważał za istotę niezrównoważoną, lecz w pewnym sensie genialną, roześmiał się dobrodusznie.

— Rzeczywiście — przyznał — ale najkrócej byłoby odpowiedzieć po prostu: „Tak”. A czy mam prawo zapytać o cel

twej wizyty?...

— Ma wuj prawo, gdyż...

— Zbyteczne! — przerwał pan Lecoeur. — Moje drugie pytanie jest równie niepotrzebne jak pierwsze, gdyż wiem z doświadczenia, że widzę cię tylko wtedy, kiedy potrzebujesz pieniędzy.

— A czyż wuj nie jest moim bankierem? — zdumiał się Xirdal.

— Prawda — przyznał pan Lecoeur — lecz ty jesteś bardzo dziwnym klientem. Czy pozwolisz mi przy tej okazji dać ci jedną radę?

— Jeżeli sprawi to wujowi przyjemność...

— Moja rada polega na tym, abyś był mniej oszczędny. Co ty robisz, do diabła, ze swoją młodością? Czy masz przynajmniej pojęcie o stanie twego konta?

— Ani trochę.

— Twój rachunek jest wprost potworny. Rodzice zostawili ci ponad piętnaście tysięcy franków renty, a ty nie wydajesz nawet czterech tysięcy.

— Ba! — rzekł Xirdal, jakby się bardzo zdziwił tą uwagą, którą słyszał, skromnie licząc, po raz dwudziesty.

— Tak jest. Procenty narastają. Nie znam dokładnie obecnej sumy twoich aktywów, lecz na pewno przekraczają one sto tysięcy franków. Do czego użyć tych pieniędzy?

— Zastanowię się — oświadczył Zefiryn Xirdal najpoważniej w świecie. — Zresztą, jeśli te pieniądze wujowi przeszkadzają, najlepiej się ich pozbyć!

— Ale jak?

— Rozdać. To całkiem proste.

— Komu? — Komukolwiek. Co mnie to może obchodzić? Pan Lecoeur wzruszył ramionami.

— Ostatecznie, ile ci dziś potrzeba? — zapytał. — Dwieście franków, jak zwykle?

— Dziesięć tysięcy franków — odpowiedział Zefiryn Xirdal.

— Dziesięć tysięcy franków! — powtórzył pan Lecoeur ze zdumieniem. — To coś nowego, jak Boga kocham. Co chcesz zrobić z tymi dziesięcioma tysiącami?

— Odbyć podróż.

— Znakomity pomysł! Dokąd?

— Nie mam pojęcia — oświadczył Zefiryn Xirdal.

Pan Lecoeur, szczerze ubawiony, spojrzał drwiąco na swego chrzestniaka i klienta.

— To bardzo piękny kraj — rzekł poważnie. — Oto twoje dziesięć tysięcy franków. To wszystko, czego pragniesz?

— Nie — odpowiedział Zefiryn Xirdal. — Trzeba mi także terenu.

— Terenu? — powtórzył pan Lecoeur, na którego spadały niespodzianki jedna za drugą. — Jakiego terenu?

— Terenu jak wszystkie inne. Dwa lub trzy kilometry kwadratowe na przykład.

— To niewielki placyk — oświadczył z zimną krwią pan Lecoeur i zapytał tonem szyderczym: — Przy Boulevard des Italiens?

— Nie — odpowiedział Zefiryn. — Nie we Francji.

— Więc gdzie? Mów!

— Nie mam pojęcia — powtórzył Zefiryn Xirdal, wcale się tym nie przejmując.

Pan Lecoeur z trudem powstrzymywał się od śmiechu.

— W ten sposób masz przynajmniej duży wybór — pochwalił. — Lecz powiedz mi, drogi Zefirynie, czy nie jesteś przypadkiem odrobinę… stuknięty? Co to wszystko ma za sens, na litość boską?

— Mam pewien interes na widoku — oświadczył Xirdal, a czoło jego marszczyło się od namysłu.

— Interes?! — zawołał pan Lecoeur u szczytu zdumienia. Było to rzeczywiście niesłychane, że ten wariat myślał o interesach.

— Tak jest! — stwierdził Zefiryn Xirdal.

— Czy to poważna sprawa?

— Phi! — rzekł Zefiryn. — Pięć do sześciu tysięcy miliardów franków.

Tym razem pan Lecoeur przyjrzał się chrzestniakowi z niepokojem. Jeśli nie żartował, był szalony, zupełnie szalony.

— Co ty mówisz? — zapytał.

— Pięć do sześciu tysięcy miliardów franków — powtórzył Zefiryn Xirdal spokojnie.

— Czy jesteś na pewno przy zdrowych zmysłach, Zefirynie? — nalegał pan Lecoeur. — Czy zdajesz sobie sprawę, że nie ma na kuli ziemskiej dość złota, by złożyć się na setną część tej bajecznej sumy?

— Na ziemi, możliwe.— odrzekł Xirdal. — Ale gdzie indziej…

— Gdzie indziej?

— Tak. Czterysta kilometrów stąd, w linii prostej. Bankier doznał nagłego olśnienia. Przypuszczał, że odgadł, o co chodzi, będąc, jak. wszyscy mieszkańcy kuli ziemskiej, poinformowany przez prasę omawiającą do znudzenia sprawę bolidu. I rzeczywiście nie mylił się.

— Meteor? — wyjąkał, mimo woli blednąc lekko.

— Meteor — potwierdził Xirdal spokojnie.

Gdyby ktokolwiek inny poza jego chrzestniakiem mówił w ten sposób, pan Lecoeur byłby go bez wątpienia wyrzucił za drzwi. Czas bankiera jest zbyt cenny, by go marnować na wysłuchiwanie półgłówków. Lecz Zefiryn Xirdal nie był podobny do innych ludzi. Było, niestety, aż nazbyt pewne, że miał jakiś defekt w głowie, lecz mieścił się w niej także mózg geniusza, dla którego nic nie było z góry niepodobieństwem.

— Chcesz eksploatować bolid? — zapytał pan Lecoeur patrząc chrzestniakowi prosto w oczy.

— Dlaczego nie? Co w tym jest nadzwyczajnego?

— Przecież ten bolid oddalony jest o czterysta kilometrów od ziemi, jak to sam mówiłeś. Myślę, że nie masz zamiaru wznieść się do niego.

— Po co? Sprowadzę go na ziemię!

— W jaki sposób?

— Mam ten sposób, to wystarczy.

— Masz go! Masz! W jaki sposób oddziałasz na ciało tak odległe? Skąd weźmiesz punkt oparcia? Jaką siłę wprawisz w ruch?

— Za długo byłoby tłumaczyć to wszystko — odpowiedział Zefiryn Xirdal. — A zresztą nie przydałoby się to na nic: wuj nie

zrozumiałby i tak.

— Zbytek uprzejmości! — podziękował nie obrażając się pan Lecoeur.

Na jego prośby chrzestniak zgodził się jednak udzielić kilku zwięzłych wyjaśnień. Wyjaśnienia te skrócił jeszcze opowiadający tę osobliwą historię, wykazując przez to, że — mimo znanego ogólnie zamiłowania do ryzykownych eksperymentów — nie chce bynajmniej opowiadać się za teoriami interesującymi, lecz być może zbyt śmiałymi.

Dla Zefiryna Xirdala materia jest tylko złudzeniem; nie istnieje w rzeczywistości. Twierdzi on, że mógłby udowodnić to niemożliwością wyobrażenia sobie jej wewnętrznej struktury. Choćby się ją rozkładało na cząsteczki i atomy, pozostanie zawsze ostatni szczebel podziału, dla którego problem będzie się znów przedstawiał w ten sam sposób — i trzeba będzie wiecznie zaczynać na nowo aż do przyjęcia jakiejś zasady pierwszej, która nie będzie materią. Tą pierwszą zasadą niematerialną jest energia.

Co to jest energia? Zefiryn Xirdal wyznaje, że nic o niej nie wie. Ponieważ człowiek utrzymuje kontakt ze światem zewnętrznym jedynie za pomocą zmysłów, a zmysły ludzkie wrażliwe są tylko na bodźce materialne, wszystko, co nie jest materią, pozostaje dla człowieka nie znane. Jeśli można wysiłkiem czystego rozumu przyjąć istnienie świata niematerialnego, niemożliwe jest poznanie jego natury w braku czynników porównawczych. I będzie tak, póki ludzkość nie zdobędzie nowych zmysłów, co nie powinno być z góry uważane za nonsens.

Jakkolwiekby było, energia — według Zefiryna Xirdala — wypełnia wszechświat i oscyluje wiecznie między dwiema skrajnościami: absolutną równowagą (która może być osiągnięta tylko przez jednolite rozmieszczenie energia w przestrzeni) i całkowitym jej skupieniem w jednym punkcie. Punkt ten byłby w tym wypadku otoczony próżnią. Ponieważ przestrzeń jest ograniczona, obie te skrajności są w równym stopniu nieosiągalne. Wynika stąd, że energia pozostaje w

nieustannym ruchu. Ciała materialne absorbują bez przerwy energię skupioną w przestrzeni, wywołując siłą rzeczy w innym miejscu względną próżnię, z drugiej, zaś strony materia wypromieniowuje w, przestrzeń uwięzioną W niej energię.

W przeciwieństwie więc do klasycznej zasady: „Nic nie ginie i nic się nie staje", Zefiryn Xirdal głosi, że „wszystko ginie i wszystko się staje". Substancja ustawicznie niszczeje i wiecznie się odradza. Każdej z tych zmian towarzyszy promieniowanie energii i niszczenie odpowiedniej substancji. Jeśli tego rozpadu nie możemy stwierdzić naszymi przyrządami, to dlatego, że są one zbyt niedoskonałe, gdyż olbrzymia ilość energii mieści się w znikomej cząstce materii. Zdaniem Zefiryna Xirdala wyjaśnia to, dlaczego gwiazdy przedzielone są przestrzeniami olbrzymimi w porównaniu z ich mierną wielkością.

Rozpad ten, choć nie stwierdzony, niemniej istnieje. Dźwięk, ciepło, elektryczność, światło są tego pośrednim dowodem. Zjawiska te polegają na promieniowaniu materii i mamy w nich do czynienia z energią wyzwoloną, choć jeszcze w formie niedoskonałej i na wpół materialnej. Energia czysta, jakby wysublimowana, może istnieć jedynie poza granicami światów materialnych. Otacza te światy dynamosferą w stanie napięcia wprost proporcjonalnego do ich masy i tym mniejszego, im bardziej oddalamy się od ich powierzchni. Objawem tej energii i jej tendencji do coraz większego zagęszczenia jest siła przyciągania.

Taką to teorię wyłożył Zefiryn Xirdal osłupiałemu panu Lecoeur.

— Ustaliwszy to wszystko — zakończył Zefiryn, jak gdyby to, co powiedział przed chwilą, było zupełnie proste — wystarczy, żebym wyzwolił małą ilość energii i skierował ją na pewien punkt w przestrzeni według mego wyboru, a będę mógł wpłynąć na ciało sąsiadujące z tym punktem, zwłaszcza jeśli jest to ciało nieznaczne, czyli nie zawierające poważnej ilości energii. To fraszka!

— I ty masz sposób na wyzwolenie tej energii? — zapytał pan Lecoeur.

— Mam sposób na otwarcie jej drogi, usuwając sprzed niej wszystko, co jest substancją i materią. A to wychodzi na jedno.

— W ten sposób — wykrzyknął pan Lecoeur — będziesz mógł zburzyć całą mechanikę niebios!

Zefiryn Xirdal nie wydawał się wcale zmieszany śmiałością tej hipotezy.

— Obecnie — wyznał skromnie i z prostotą — użycie skonstruowanej przeze mnie maszyny może wywołać dużo słabsze skutki. Wystarczy jednak, by wpłynąć na nędzny meteor wagi zaledwie kilku tysięcy ton.

— Amen! — zawołał pan Lecoeur, który zaczynał ustępować. — Lecz dokąd chcesz ściągnąć twój meteor?

— Na mój teren. — Jaki teren?

— Ten, który mi wuj kupi, gdy skończę niezbędne obliczenia. Napiszę o tym wujowi. Oczywiście, wybiorę, o ile możliwe, okolicę prawie pustynną, gdzie grunty nie mają wartości. Nawiasem mówiąc, będzie miał wuj zapewne trudności przy zawieraniu aktu kupna-sprzedaży. Nie mam swobody wyboru, więc może się zdarzyć, że dany kraj nie będzie zbyt łatwo dostępny.

— To już moja sprawa — rzekł bankier. — Nie na darmo wynaleziono telegraf. Pod tym względem zdaj się na mnie.

Zbrojny w to zapewnienie, z dziesięcioma tysiącami franków w kieszeni, Zefiryn Xirdal wrócił do siebie wielkimi krokami, tak samo jak przyszedł, i zamknąwszy się zasiadł natychmiast przy stole oczyszczonym uprzednio zwykłą metodą, to jest jednym ruchem ręki.

Atak pracowitości osiągał wyraźnie punkt szczytowy.

Całą noc Zefiryn oddawał się z zapałem obliczeniom, lecz gdy nadszedł ranek, rozwiązanie było gotowe. Określił siłę, którą należało skierować na bolid, czas, w jakim ta siła winna działać, kierunki, jakie wypada jej nadać, miejsce i datę upadku meteoru.

Chwycił zaraz za pióro, napisał do pana Lecoeur przyrzeczony list, zszedł, by wrzucić go do skrzynki, i wrócił do siebie.

Zamknąwszy drzwi zbliżył się do tego kąta, do którego poprzedniego dnia z godną uwagi precyzją cisnął stos papierów przykrywających lunetę. Chodziło o to, by dziś dokonać operacji przeciwnej. Xirdal wsunął więc ramię pod nagromadzone papierzyska i zręcznym ruchem odesłał je tam, skąd przyszły.

Te powtórne „porządki" wydobyły w rezultacie na światło dzienne rodzaj czarniawej skrzyni, którą Zefiryn podniósł bez trudu i przeniósł na środek pokoju naprzeciw okna.

Nie było nic nadzwyczajnego w wyglądzie tej skrzyni, drewnianego sześcianu pomalowanego na ciemny kolor. Wewnątrz znajdowały się tylko cewki wstawione w szereg szklanych żarówek, których zaostrzone końce złączone były po dwa coraz cieńszymi, miedzianymi drutami. Ponad skrzynią, na zewnątrz, można było dostrzec ostatnią żarówkę o kształcie podwójnego wrzeciona, umieszczoną na osi obrotowej w ognisku metalowego reflektora; żaden przewodnik nie łączył jej z pozostałymi.

Za pomocą precyzyjnych przyrządów Zefiryn Xirdal nastawił metalowy reflektor dokładnie w tym kierunku, który mu wskazały obliczenia dokonane poprzedniej nocy; później, stwierdziwszy, że wszystko jest w porządku, umieścił w niższej części skrzyni małą rurkę świecącą żywym blaskiem. Jednocześnie rozprawiał głośno, zgodnie ze swoim zwyczajem, jak gdyby chciał wzbudzić swą wymową podziw jakiegoś szacownego audytorium.

— Panowie — głosił — to jest „xirdalium", ciało sto tysięcy razy bardziej radioaktywne niż rad. Między nami mówiąc używam tego ciała raczej dla wywołania efektu. Nie znaczy to, że jest ono szkodliwe, lecz ziemia promieniuje dostateczną ilość energii i nie trzeba jej nic dodawać. Jest to kropla w morzu. Jednak maleńka inscenizacja teatralna, moim zdaniem, nie przeszkadza w doświadczeniu tego rodzaju.

Nie przestając mówić zamknął pudło, które połączył dwoma kablami z ogniwami stosu umieszczonego na etażerce.

— Prądy neutralno-spiralne, proszę panów — podjął — mają oczywiście, jako neutralne, tę właściwość, że odpychają

wszystkie bez wyjątku ciała naelektryzowane dodatnio i ujemnie. Z drugiej strony, skoro są spiralne, przybierają formę spirali. Dziecko by to zrozumiało! To jednak wielkie szczęście, że pomyślałem o ich odkryciu... Jak to wszystko może się w życiu przydać!

Po zamknięciu obwodu elektrycznego dało się słyszeć w skrzyni ciche brzęczenie, a w żarówce umieszczonej na osi obrotowej rozbłysło niebieskawe światło. Prawie równocześnie żarówka ta zaczęła się poruszać ruchem wirowym, zrazu wolno, później z szybkością zwiększającą się z sekundy na sekundę, wreszcie zawrotnie prędko.

Zefiryn Xirdal spoglądał przez pewien czas na żarówkę wirującą w szalonym walcu, po czym spojrzenie jego, idąc w kierunku równoległym do osi metalowego reflektora, zagubiło się w przestrzeni.

Na pierwszy rzut oka nie wydawało się, by działanie maszyny objawiało się jakimś materialnym znakiem. Jednak uważny obserwator mógłby spostrzec zjawisko niezbyt rzucające się w oczy, a jednak szczególne. Pyłki kurzu wiszące w powietrzu, wszedłszy w kontakt z brzegami metalowego reflektora, zdawały się niezdolne do przekroczenia tej granicy i wirowały gwałtownie, jakby obijając się o niewidzialną przeszkodę. W całości pyłki te zakreślały kontur ściętego stożka, którego podstawa opierała się na obwodzie reflektora. Dwa lub trzy metry od maszyny stożek ten, utworzony z nieuchwytnych wirujących cząsteczek, przechodził stopniowo w walec kilkucentymetrowej średnicy. Ten walec z kurzu utrzymywał się na zewnątrz w powietrzu, mimo dość silnego powiewu, aż do chwili, w której znikał w oddali.

— Panowie, mam zaszczyt oznajmić, że wszystko idzie pomyślnie! — oświadczył Zefiryn Xirdal siadając na jedynym krześle i zapalając artystycznie napchaną fajkę.

W pół godziny potem zatrzymał funkcjonowanie maszyny, którą wielokrotnie jeszcze wprawiał w ruch tego samego dnia i dni następnych, pamiętając o tym, by kierować reflektor w czasie każdego doświadczenia ku nieco innemu punktowi w

przestrzeni. Przez dziewiętnaście dni postępował w ten sposób, z bezwzględną dokładnością.

Dwudziestego dnia wprawił właśnie maszynę w ruch i zapalił swą wierną fajkę, gdy demon wynalazków raz jeszcze zawładnął jego mózgiem. Jedna z konsekwencji owej teorii wiecznego rozkładu materii, którą wyłożył zwięźle panu Robertowi Lecoeur, olśniła jego umysł. Błyskawicznie, jak zwykle, pojął zasadę stosu elektrycznego, zdolnego regenerować się automatycznie przez kolejne reakcje, z których ostatnia przywiodłaby rozłożone ciała do ich pierwotnego stanu. Taki stos funkcjonowałby oczywiście aż do zupełnego zniknięcia użytych substancji i całkowitej ich przemiany w energię. Byłoby to w praktyce — *perpetuum mobile*.

— Patrzcie państwo! Patrzcie państwo! — wyjąkał Zefiryn Xirdal ogarnięty gwałtownym wzruszeniem.

Namyślał się, jak to on umiał, to jest skupiając w jednym punkcie całą siłę żywotną swego organizmu. Myśl tak skoncentrowana, kierowana w mroki jakiegoś problemu, była jakby wiązką świetlną skupiającą wszystkie promienie słoneczne.

— Nie ma żadnych zastrzeżeń — rzekł w końcu, ujmując w słowa rezultat swego wewnętrznego wysiłku. — Trzeba natychmiast spróbować.

Zefiryn wziął kapelusz, zbiegł z szóstego piętra i pośpieszył do niewielkiego warsztatu stolarskiego po drugiej stronie ulicy. W kilku jasnych i dokładnych zdaniach wytłumaczył rzemieślnikowi, o co mu chodzi: miał to być rodzaj koła obracającego się na żelaznej osi, zaopatrzonego w dwadzieścia siedem wyżłobień na obwodzie. Xirdal podał rozmiary tych wyżłobień, w których miały być umieszczone słoiki w taki sposób, aby utrzymały się w pozycji pionowej podczas obrotu koła.

Po tych wyjaśnieniach i poleceniu natychmiastowego wykonania przyrządu podążył pięćset metrów dalej, do sklepu z artykułami chemicznymi, w którym cieszył się opinią znakomitego klienta. Tani wybrał dwadzieścia siedem słoików,

które subiekt opakował w mocny papier i związał solidnym sznurkiem zaopatrzonym w wygodną, drewnianą rączkę.

Gdy pakowanie zostało skończone, Zefiryn Xirdal zamierzał wrócić do siebie, ale przed drzwiami sklepu spotkał się oko w oko z jednym ze swych nielicznych przyjaciół, zasłużonym bakteriologiem. Xirdal, zatopiony w marzeniach, nie zauważył bakteriologa, lecz bakteriolog zauważył Xirdala.

— Ach, Xirdal! — zawołał z miłym uśmiechem. — Co za spotkanie!

Na dźwięk dobrze znanego głosu zaczepiony zdecydował się zwrócić swe wyłupiaste oczy na świat zewnętrzny.

— Ach — powtórzył jak echo — Marceli Leroux!

— We własnej osobie.

— Jak się masz? Bardzo się cieszę, że cię widzę, mój stary.

— Jestem na odjezdnym! Tak, jak mnie widzisz z tą przewieszoną przez ramię torbą zawierającą trzy chustki do nosa i parę przyborów toaletowych, zdążam właśnie nad morze, gdzie przez tydzień będę się upajał wspaniałym powietrzem.

— Szczęściarz! — zauważył Zefiryn.

— I ty możesz być równie szczęśliwy! Przy odrobinie dobrej woli zmieścimy się obaj w pociągu.

— Rzeczywiście… — zaczął Zefiryn.

— Chyba że coś cię zatrzymuje w Paryżu?

— Bynajmniej.

— Nie masz nic szczególnego? Żadnego doświadczenia na warsztacie?

Xirdal poszukał skrupulatnie w pamięci.

— Zupełnie nic — odpowiedział.

— W takim razie daj się skusić. Tydzień wakacji świetnie ci zrobi. A jakie pogawędki będziemy sobie ucinali na plaży!

— A ponadto — przerwał Xirdal — będę mógł skorzystać z okazji, by wyjaśnić pewną sprawę, która mnie prześladuje w związku z przypływem i odpływem morza. Wiąże się to w pewnym stopniu z ogólniejszymi problemami, które badam.

Właśnie o tym myślałem, kiedyśmy się spotkali — stwierdził ze wzruszającą szczerością.

— Więc zgoda?

— Zgoda.

— Zatem w drogę! Ale myślę, że musisz najpierw wstąpić do siebie, a nie wiem, czy godzina odjazdu…

— Nie! — odpowiedział Xirdal z przekonaniem. — Mam tu wszystko, czego mi potrzeba.

I roztargniony wynalazca wskazał na paczkę zawierającą dwadzieścia siedem słoików.

— To pysznie! — stwierdził wesoło Marceli Leroux. Dwaj przyjaciele ruszyli wielkimi krokami w kierunku

dworca.

— Rozumiesz, drogi Marceli, przypuszczam, że napięcie powierzchniowe…

Jakaś para, którą mijali, rozłączyła chwilowo rozmawiających i reszta zdania zgubiła się w turkocie pojazdów. Nie zdołało to przeszkodzić Zefirynowi Xirdalowi, który niewzruszenie kontynuował swe wyjaśnienia zwracając się kolejno do bardzo tym zdziwionych przechodniów. Nasz mówca nie dostrzegał tego i przemawiał dalej, prując fale ludzkiego morza, które zalewa paryskie chodniki.

Podczas gdy Xirdal, zupełnie zatopiony w swojej nowej manii, oddalał się wielkimi krokami w kierunku pociągu, który miał go unieść daleko od miasta, przy ulicy Cassette, w pokoju na szóstym piętrze, ciemna, niewinnie wyglądająca skrzynia ciągle dyskretnie brzęczała, metalowy reflektor rzucał wciąż niebieskawe światło, a walec wirującego kurzu, tak wątły, a zarazem tak sztywny, gubił się w nieskończonej przestrzeni.

Maszyna, którą Zefiryn Xirdal zaniedbał zatrzymać i o której istnieniu zapomniał kompletnie, pozostawiona sama sobie, kontynuowała ślepo swą tajemniczą pracę.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

w którym pan Forsyth i doktor Hudelson doznają gwałtownych wzruszeń

Meteor był już teraz doskonale znany. Obejrzano go, przynajmniej w myśli, ze wszystkich stron. Określono jego orbitę, szybkość, masę, skład chemiczny i wartość. Nie budził już nawet niepokoju, skoro krążąc jednostajnym ruchem po swym torze nie miał nigdy spaść na ziemię. Nic więc dziwnego, że uwaga publiczności odwróciła się od niedostępnego bolidu, który stracił urok tajemnicy.

Zapewne kilku astronomów rzucało w obserwatoriach od czasu do czasu przelotne spojrzenie na kulę złota, która szybowała nad ich głowami, lecz odwracali się od niej szybko, by zająć się innymi problemami przestworzy.

Ziemia posiadała drugiego satelitę, to wszystko. Czy ten satelita był z żelaza, czy ze złota, jakie to mogło mieć znaczenie dla uczonych, dla których świat jest tylko abstrakcją matematyczną?

Było rzeczą godną pożałowania, iż pan Forsyth i doktor Hudelson nie byli równie prostoduszni. Rosnąca dokoła nich obojętność nie uspokajała ich rozgorączkowanej wyobraźni i uparcie obserwowali meteor — ich meteor! — z zapałem graniczącym z obłędem. Każde przejście meteoru zastawało ich w obserwatorium z okiem przyklejonym do szkieł lunety czy teleskopu, nawet w tych momentach, gdy meteor wznosił się o kilka stopni nad horyzontem.

Pogoda, wciąż wspaniała, sprzyjała niestety tej manii, pozwalając dostrzegać wędrowną gwiazdę dwanaście razy w ciągu doby. Niezwykłe właściwości meteoru — niezależnie od tego, czy miał on, czy nie miał spaść na ziemię — czyniły go jedynym, sławnym na wieki zjawiskiem i powiększały jeszcze chorobliwe pragnienie każdego z astronomów, by być uznanym za jedynego odkrywcę.

W tych warunkach szaleństwem byłoby spodziewać się pogodzenia dwóch rywali; przeciwnie, zapora nienawiści wznosiła się między nimi coraz wyżej. Pani Hudelson i Francis Gordon rozumieli to aż za dobrze. Francis nie miał już wątpliwości, że wuj jego przeciwstawi się projektowanemu małżeństwu wszelkimi rozporządzalnymi środkami, a pani Hudelson mniej teraz ufała posłuszeństwu małżonka, w chwili gdy nadejdzie wielki dzień. Nie można się było łudzić dłużej. Ku rozpaczy dwojga narzeczonych i wściekłości panny Loo oraz Mitz małżeństwo wydawało się jeśli nie udaremnione, to przynajmniej odroczone na czas bliżej nie określony, prawdopodobnie bardzo długi.

Lecz sytuacja ta, dostatecznie już poważna, miała się jeszcze pogorszyć.

Jedenastego maja wieczorem pan Forsyth, który tkwił, jak zwykle, z okiem przy okularze teleskopu, odsunął się nagle od przyrządu wydając stłumiony okrzyk, powrócił do niego rzuciwszy, na papier kilka notatek, odsunął się, by, znów powrócić, i powtarzał ten taniec aż do zniknięcia bolidu poniżej linii horyzontu.

Dean Forsyth był w tej chwili blady jak kreda i oddychał z takim wysiłkiem, że Omikron, przypuszczając, iż jego pan zachorował, rzucił mu się na pomoc. Lecz ten odsunął go i niepewnym krokiem pijanego schronił się do swego gabinetu, gdzie zamknął się na dwa spusty.

Od tej chwili domownicy nie ujrzeli pana Forsytha. Przeszło trzydzieści godzin obchodził się bez picia i jedzenia. Raz tylko udało się Francisowi sforsować drzwi, lecz otworzyły się one bardzo skąpo i w, ich szparze młody człowiek zobaczył wuja tak

złamanego, tak wynędzniałego i z oczyma tak pełnymi szaleństwa, że stanął jak wryty na progu.

— Czego chcesz ode mnie? — spytał pan Forsyth.

— Ależ, wuju — zawołał Francis — jesteś tu zamknięty od dwudziestu czterech godzin! Pozwól przynajmniej przynieść sobie jedzenie!

— Nic mi nie trzeba — odpowiedział Dean Forsyth — oprócz ciszy i spokoju. Proszę jak o prawdziwą przysługę, by mi nie zakłócano samotności.

Wobec takiej odpowiedzi, wyrażonej z nieodpartą stanowczością a zarazem ze słodyczą, do której Francis nie był przyzwyczajony, młody człowiek nie odważył się nalegać. Byłoby to zresztą niemożliwe, gdyż drzwi zamknęły się po ostatnich słowach astronoma. Siostrzeniec wycofał się więc, niczego się nie dowiedziawszy.

Rankiem trzynastego maja, na dwa dni przed zamierzonym ślubem, Francis przedstawiał po raz dwudziesty tę nową przyczynę troski pani Hudelson, która słuchała wzdychając.

— Nic nie mogę zrozumieć — rzekła wreszcie. — Można by przypuścić, że pan Forsyth, i mój mąż kompletnie powariowali.

— Co?! — zawołał Francis. — Mąż pani? Czy wydarzyło się coś także doktorowi?

— Tak — wyznała pani Hudelson. — Ci panowie jakby się umówili, że nie będą działać odmiennie. U mego męża atak zaczął się później, to jedyna różnica. Dopiero wczoraj rano zaryglował się w swoim gabinecie. Odtąd nikt go nie widział i może pan sobie wyobrazić nasz niepokój.

— Można doprawdy stracić głowę! — zawołał Francis.

— To, co pan opowiedział o panu Forsycie — podjęła pani Hudelson — każe mi przypuszczać, że dokonali obaj jakiegoś odkrycia w związku z tym przeklętym bolidem. I biorąc pod uwagę stan ich umysłów, nie wróżę stąd nic dobrego.

— Ach, gdybym to ja miała władzę! — wtrąciła Loo.

— Cóż byś zrobiła, kochana siostrzyczko? — zapytał Francis.

— Co bym zrobiła? Prosta rzecz! Wygnałabym tę wstrętną złotą kulę tak daleko, tak daleko, aby nie można jej było

dostrzec przez najlepsze lunety.

Zniknięcie bolidu byłoby może rzeczywiście przywróciło spokój panu Forsythowi i doktorowi Hudelsonowi. Kto wie, czy nie położyłoby od razu kresu ich niedorzecznej zazdrości?

Lecz nie wydawało się, by taka ewentualność miała nastąpić. Meteor będzie jaśniał na niebie w dniu ślubu, tak jak i później, i zawsze, gdyż krąży z całkowitą prawidłowością po swej niewzruszonej orbicie.

— Ostatecznie — zakończył Francis —zobaczymy. W ciągu czterdziestu ośmiu godzin muszą zająć określone stanowisko, a wtedy będziemy wiedzieli, czego się trzymać.

Mógł zresztą przypuszczać wróciwszy do domu przy ulicy św. Elżbiety, że przynajmniej ostatni incydent nie będzie miał poważnych skutków. Pan Forsyth opuścił już swą samotnię i pochłonął w milczeniu obfity obiad. Teraz, zmęczony, syty, ociężały, spał jak zabity, gdy tymczasem Omikron. załatwiał na mieście jakieś jego polecenie.

— Czy widziałeś wuja, zanim zasnął? — spytał Francis starej służącej.

— Tak jak ciebie widzę, synusiu — odpowiedziała. — To przecież ja mu podawałam obiad.

— Był głodny?

— Jak wilk. Wszystko sprzątnął: jajecznicę, pieczeń na zimno, ziemniaki, pudding owocowy. Nic nie zostawił.

— Jak wyglądał?

— Nie najgorzej, tylko był blady jak upiór, z oczami całkiem czerwonymi. Poradziłam mu, żeby je przemył kwasem bornym. Ale chyba nie słyszał.

— Nic mi nie kazał powiedzieć?

— Ani tobie, ani nikomu. Jadł nie otwierając ust. Wysłał Mokregonosa do „Kuriera” i poszedł spać.

— Do „Kuriera”?! — zawołał Francis. — To pewno dlatego, by zakomunikować rezultat swej pracy, założę się! No i znów się zaczną polemiki prasowe. Tylko tego nam jeszcze brakowało!

Komunikat pana Forsytha w „Kurierze Whastońskim” przeczytał Francis z rozpaczą nazajutrz rano, rozumiejąc, że

rywalizacji, która i tak już zagrażała jego szczęściu, dostarczono nowej pożywki. Rozpacz jego zwiększyła się, gdy stwierdził, że dwaj rywale jeszcze raz dobiegali równocześnie do mety. Podczas gdy „Kurier” ogłaszał notatkę pana Forsytha, „Goniec Poranny” publikował podobną, pióra doktora Hudelsona. Trwała więc dalej zacięta walka, w której żaden z przeciwników nie zdołał dotychczas zapewnić sobie najmniejszej przewagi.

Zupełnie podobne na początku, notatki dwóch astronomów różniły się poważnie w końcowych twierdzeniach. Ta różnica zdań, która nie omieszkała wywołać sporów, mogła być zresztą później użyteczna, pozwalając ewentualnie rozdzielić zasługi rywali.

Równocześnie z Francisem cały Whaston, a równocześnie z Whastonem cały świat poznał natychmiast za pośrednictwem gęstej sieci telefonicznej i telegraficznej zadziwiającą wiadomość udzieloną publiczności przez astronomów z ulicy św. Elżbiety i z ulicy Morissa; wiadomość ta stała się od razu przedmiotem namiętnych sporów na obu półkulach.

Czytelnik sam osądzi, czy wiadomość nie była rzeczywiście w najwyższym stopniu sensacyjna i czy usprawiedliwiała ogólne poruszenie.

Pan Forsyth i doktor Hudelson rozpoczynali od stwierdzenia, że nieustanne obserwacje pozwoliły im zauważyć niewątpliwe zaburzenia w ruchu meteoru. Jego orbita, dotychczas dokładnie północno-południowa, była teraz lekko nachylona ku linii północny wschód — południowy zachód. Z drugiej strony, stwierdzono dużo ważniejszą zmianę w odległości meteoru od Ziemi; odległość ta zmniejszyła się lekko, lecz niezaprzeczalnie, choć szybkość obiegu nie wzrosła. Z tych obserwacji i wynikających z nich obliczeń dwaj astronomowie wyprowadzili wniosek, że meteor, zamiast krążyć wiecznie po niezmiennej orbicie, spadnie z pewnością na Ziemię w miejscu i w czasie, które już dziś można ustalić.

Do tego punktu pan Forsyth i doktor Hudelson zgadzali się ze sobą, ale ich wywody końcowe różniły się znacznie.

Podczas gdy uczone równania jednego kazały mu przewidywać, że bolid spadnie dwudziestego ósmego czerwca na południowym krańcu Japonii, równie uczone obliczenia drugiego zmuszały go do twierdzenia, że upadek ten zdarzy się dopiero siódmego lipca w jakimś punkcie Patagonii.

Oto jak uzgadniają swoje poglądy astronomowie! A publiczność może wybierać, co jej się podoba!

Na razie jednak publiczność nie myślała o wyborze. Jeden tylko fakt ją interesował: że asteroid spadnie, a wraz z nim tysiące miliardów, które krążyły w przestrzeni. To było najważniejsze. Poza tym, w Japonii czy Patagonii, miliardy jakoś się znajdą.

Konsekwencje, które taki wypadek musiał spowodować, przewrót ekonomiczny wywołany tak nadzwyczajnym przypływem złota — stanowiły przedmiot wszystkich rozmów. Na ogół bogaci byli zrozpaczeni, myśląc o przypuszczalnym zmniejszeniu wartości swych majątków, a biedni uszczęśliwieni perspektywą, prawdopodobnie złudną, otrzymania części owego skarbu.

Francis był w rozpaczy. Czym były dla niego te miliardy i biliony? Jedyny skarb, którego pragnął, to jego ukochana Jenny, dobro o wiele cenniejsze niż bolid z jego obrzydłymi bogactwami. Pobiegł na ulicę Morissa. Tam również dotarła fatalna wiadomość i zdawano sobie sprawę z jej opłakanych skutków. Gwałtowne i ostateczne zerwanie między dwoma szaleńcami, którzy przyznawali sobie prawa do gwiazdy, było nieuniknione, zwłaszcza że chodziło już nie tylko o zawiść zawodową, ale o zysk materialny.

Jak ciężko wzdychał Francis ściskając ręce pani Hudelson i jej dwóch miłych córek! Z jakąż złością tupała nogami kipiąca gniewem Loo! Ileż łez wylała urocza Jenny! Nie mogła ich osuszyć ani matka, ani siostra, ani narzeczony, nawet gdy zapewnił ją solennie o swojej niezmiennej wierności i poprzysiągł, że będzie czekać, jeśli zajdzie potrzeba, aż do dnia, gdy zostanie wydany przez właściciela fantastycznego meteoru ostatni grosz z pięciu tysięcy siedmiuset osiemdziesięciu ośmiu

miliardów. Była to zresztą przysięga nieopatrzna, która, według wszelkiego prawdopodobieństwa, skazywała Francisa na wieczny celibat.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

w którym zobaczymy, jak tym razem czeka pani Arkadia Stanfort, i to z wielką niecierpliwością, a pan John Proth uznaje się za niekompetentnego

Tego ranka pan John Proth stał w oknie, gdy tymczasem służąca Kate dreptała tam i z powrotem po pokoju. Sędzia nie przejmował się tym, czy meteor krąży, czy nie krąży nad Whastonem, możecie być tego pewni. Bez najmniejszego zainteresowania przebiegał wzrokiem plac Konstytucji, na który wychodziły frontowe drzwi jego spokojnego domostwa. Lecz to, czego nie uważał za interesujące, miało pewne znaczenie w oczach Kate.

— A więc, proszę pana, on ma być ze złota? — zapytała stając przed swym chlebodawcą.

— Podobno — odpowiedział sędzia.

— Zdaje się, że nie robi to na panu wielkiego wrażenia.

— Jak widzicie, Kate.

— A jednak, jeśli jest ze złota, musi być wart miliony!

— Miliony, a nawet miliardy, Kate… Tak, tak, miliardy krążą nad naszą głową.

— I spadną, proszę pana?

— Tak mówią, Kate.

— Niech pan tylko pomyśli! Nie będzie już nieszczęśliwych ludzi na ziemi!

— Będzie ich tyle, co i teraz.

— A jednak…

— To wymagałoby zbyt wielu wyjaśnień. A przede wszystkim, Kate, czy wyobrażacie sobie, co to jest miliard?

— Miliard, proszę pana, to jest… to jest…

— To tysiąc razy milion.

— Aż tyle!

— Tak, Kate, i nawet żyjąc sto lat nie moglibyście policzyć miliarda, choćbyście poświęcili na liczenie dziesięć godzin dziennie.

— Czyż to możliwe, proszę pana?

— Nawet zupełnie pewne!

Służąca stała chwilę, jakby zdruzgotana myślą, iż wiek cały nie wystarczy do zliczenia miliarda. Później wzięła szczotkę i miotełkę i zabrała się do pracy. Lecz od, czasu do czasu zatrzymywała się, jakby zatopiona w myślach.

— Ile by to wypadło na każdego, proszę pana?

— Czego, Kate?

— Meteoru, proszę pana, gdyby go równo rozdzielić na wszystkich?

— Trzeba by to obliczyć, Kate — odpowiedział pan John Proth biorąc papier i ołówek. — Przyjmijmy — mówił notując cyfry — że Ziemia ma półtora miliarda mieszkańców; to by dawało… to by dawało trzy tysiące osiemset pięćdziesiąt dziewięć franków, dwadzieścia siedem centymów na głowę.

— Nie więcej? — szepnęła Kate, rozczarowana.

— Nie więcej — potwierdził John Proth, gdy Kate spoglądała rozmarzonym wzrokiem na niebo.

Kiedy zdecydowała się powrócić na ziemię, zobaczyła u wylotu ulicy Exeter dwie osoby, na które zwróciła uwagę swego pana.

— Niech pan spojrzy — rzekła — na te dwie panie, które tam czekają.

— Tak, Kate, widzę je.

— Niech pan popatrzy na jedną… tę wyższą… tupiącą z niecierpliwości.

— Rzeczywiście tupie. Ale nie wiem, co to za dama.

— Ach, proszę pana, to ta, która brała u nas ślub przed dwoma miesiącami, nie zsiadając z konia.

— Panna Arkadia Walker? — zapytał John Proth.

— Teraz już pani Stanfort.

— Rzeczywiście, to ona — przyznał sędzia. — Co ona tu robi?

— Nie mam pojęcia — odpowiedział pan Proth — i dodam, że niewiele mnie to obchodzi.

— Może znów potrzebuje naszych usług?

— To nieprawdopodobne, ponieważ bigamia nie jest dozwolona na terytorium Stanów — rzekł sędzia zamykając okno. — Tak czy owak, nie wolno mi zapominać, że muszę już iść do sądu, gdzie ma być dzisiaj rozpatrywana sprawa dotycząca właśnie meteoru, który tak was interesuje. Jeśli ta dama zjawi się u nas, proszę ją przeprosić w moim imieniu.

Mówiąc to pan Proth przygotował się do wyjścia, spokojnym krokiem zszedł ze schodów, wyszedł bocznymi drzwiami na ulicę Potomak i zniknął w gmachu sądu wznoszącym się po drugiej stronie ulicy, dokładnie naprzeciw jego domu.

Stara służąca nie myliła się. Rzeczywiście pani Arkadia Stanfort znajdowała się tego ranka w Whastonie wraz ze swą pokojówką Bertą. Obie chodziły tam i z powrotem niespokojnym krokiem, śledząc oczyma wznoszącą się stromo, długą ulicę Exeter.

Dziesięć uderzeń zabrzmiało z ratuszowej wieży.

— I jeszcze go nie ma! — zawołała pani Arkadia.

— Może zapomniał o dacie spotkania? — podsunęła Berta.

— Zapomniał! — powtórzyła młoda kobieta oburzonym głosem.

— Lub może się rozmyślił? — podjęła Berta.

— Rozmyślił! — powtórzyła jej pani po raz drugi z jeszcze żywszym oburzeniem.

Podeszła kilka kroków w kierunku ulicy Exeter, a za nią służąca.

— Nie widzisz go? — zapytała Arkadia po kilku minutach niecierpliwym tonem.

— Nie, proszę pani.

— Tego już zanadto!

Pani Stanfort wróciła na plac.

— Nie! Nie ma nikogo! Nikogo! — powtarzała. — Kazać mi czekać umówiwszy się ze mną! Przecież to dziś osiemnasty maja!

— Tak, proszę pani.

— I będzie zaraz wpół do jedenastej.

— Za dziesięć minut.

— Niech sobie nie wyobraża, że wyczerpie moją cierpliwość! Zostanę tutaj cały dzień. I nawet dłużej, jeśli będzie trzeba.

Ludzie z hotelu przy placu Konstytucji mogli zauważyć młodą kobietę krążącą tam i z powrotem, tak jak zauważyli przed dwoma miesiącami niecierpliwe odruchy jeźdźca, który czekał na nią, aby ją zaprowadzić przed sędziego. Lecz wszyscy mężczyźni, kobiety i dzieci myśleli obecnie o czymś zupełnie innym… o tym, o czym w całym Whastonie nie myślała zapewne tylko jedna pani Stanfort. Zajmowano się wyłącznie niezwykłym meteorem, jego przejściem przez niebo, upadkiem zapowiedzianym na dzień określony. — choć nie ten sam — przez dwóch astronomów, obywateli miasta. Zebrani na placu Konstytucji i służący w drzwiach hoteli nie zajmowali się wcale panią Arkadią Stanfort. Nie wiemy, czy księżyc wywiera jakiś wpływ na mózgi ludzkie, jak zdają się na to wskazywać popularne wierzenia w lunatyków. W każdym razie można stwierdzić, że nasz glob liczył wtedy niezwykłą liczbę „meteoryków", którzy zapominali o piciu i jedzeniu na myśl, że kula miliardowej wartości krąży nad ich głowami i pewnego dnia roztrzaska się o ziemię. Pani Stanfort miała najwidoczniej inne troski.

— Nie widzisz go, Berto? — powtórzyła po krótkiej chwili.

— Nie, proszę pani.

W tym momencie na krańcu placu podniosły się okrzyki. Przechodnie podążyli w tamtą stronę. Setki osób zbiegło się z sąsiednich ulic tworząc niebawem spore zbiegowisko.

Równocześnie we wszystkich oknach hoteli ukazały się głowy ciekawych.

— To on! To on!

Słowa te podawano sobie z ust do ust. Odpowiadały one tak dobrze pragnieniom pani Arkadii Stanfort, że młoda kobieta zawołała: „Nareszcie!”, jakby okrzyki do niej były skierowane.

— Nie, proszę pani — musiała jej zwrócić uwagę pokojówka — to nie do pani wołają.

Rzeczywiście, dlaczego tłum miałby wiwatować w ten sposób na cześć osoby, której oczekiwała pani Arkadia Stanfort? Dlaczego miałby zauważyć jej przybycie?

Zresztą wszystkie głowy zwracały się ku niebu, wszystkie ramiona wyciągały się ku górze, wszystkie spojrzenia kierowały się ku północnej stronie horyzontu. Czy to sławny meteor ukazywał się nad miastem? Czy mieszkańcy zebrali się na placu, by go pozdrowić?

Nie, o tej godzinie pruł on przestworza nad drugą półkulą.

Zresztą, nawet gdyby krążył po tej części nieba, nie można by go było dojrzeć gołym okiem, i to przy świetle dziennym.

Dla kogo były więc przeznaczone oklaski tłumu?

— Proszę pani, to balon! — rzekła Berta. — Proszę spojrzeć! Pokazuje się właśnie za szczytem wieży świętego Andrzeja.

Spływając powoli z górnych stref atmosfery statek powietrzny ukazywał się rzeczywiście oczom tłumu, witany życzliwymi oklaskami. Dlaczego publiczność klaskała? Czy lot ten budził specjalne zainteresowanie? Czy istniały przyczyny, dla których publiczność zgotowała mu takie przyjęcie?

Tak, doprawdy, istniały po temu przyczyny.

Poprzedniego wieczoru balon wzniósł się z sąsiedniego miasta, mając na pokładzie znanego aeronautę Waltera Vragga i jego pomocnika. Vragg chciał dokonać obserwacji bolidu w jak najpomyślniejszych do tego celu warunkach. To był powód poruszenia tłumu, oczekującego z niepokojem na wyniki tej oryginalnej próby.

Oczywiście, gdy lot został postanowiony, pan Forsyth zażądał ku wielkiemu przerażeniu Mitz, by go dopuszczono do udziału

w wyprawie. Doktor Hudelson zgłosił naturalnie podobne żądania ku niemniejszemu przerażeniu pani Hudelson, Sytuacja była wysoce drażliwa, gdyż aeronauta mógł zabrać ze sobą tylko jednego pasażera. Rozpoczął się spór listowny między dwoma rywalami, którzy przedstawiali równie przekonywające tytuły prawne. Ostatecznie obaj zostali odrzuceni na korzyść osoby trzeciej, którą Walter Vragg przedstawił jako swego pomocnika, twierdząc, że nie mógłby się bez niego obejść.

Teraz lekki wiatr kierował statek powietrzny nad Whaston i ludność zamierzała zgotować lotnikom triumfalne przyjęcie.

Łagodnie popychany przez niedostrzegalny powiew, balon zniżał się powoli, aż wylądował na środku placu Konstytucji. Natychmiast setka ramion uczepiła się gondoli, gdy tymczasem Walter Vragg i jego pomocnik zeskakiwali na ziemię.

Ten ostatni, pozostawiając swemu zwierzchnikowi trudną operację wypuszczenia powietrza z balonu, zbliżył się szybkim krokiem do zniecierpliwionej Arkadii Stanfort.

— Oto jestem, pani — rzekł z ukłonem, gdy stanął przed nią.

— O dziesiątej minut trzydzieści pięć — stwierdziła sucho pani Arkadia Stanfort wskazując palcem tarczę miejskiego zegara.

— A nasze spotkanie miało się odbyć o wpół do jedenastej, wiem o tym — zgodził się z uprzedzającą grzecznością nowoprzybyły. — Proszę mi wybaczyć, balony nie zawsze są posłuszne naszej woli z pożądaną ścisłością.

— A więc nie omyliłam się? To pan był w tym balonie razem z Walterem Vraggiem?

— To ja, rzeczywiście.

— Wytłumaczy mi to pan?

— Nic łatwiejszego. Wydało mi się po prostu oryginalne przybyć w ten sposób na nasze spotkanie. Kupiłem więc za grube dolary miejsce w gondoli, przy czym Walter Vragg przyrzekł mi wylądować tutaj punktualnie o wpół do jedenastej. Myślę, że można mu wybaczyć pięciominutowe spóźnienie.

— Naturalnie — zgodziła się pani Stanfort — skoro się pan ostatecznie zjawił. Zamiary pana nie uległy, jak przypuszczam, zmianie?

— W najmniejszym stopniu.

— Sądzi pan w dalszym ciągu, że postępujemy rozsądnie rezygnując ze wspólnego życia?

— Jestem o tym głęboko przekonany.

— Moim zdaniem, nie jesteśmy dla siebie stworzeni.

— Podzielam całkowicie pani zdanie.

— Oczywiście, panie Stanfort, daleka jestem od zapoznawania pańskich zalet.

— Ja również oceniam zalety pani według ich słusznej wartości.

— Można się wzajemnie szanować, a równocześnie nie podobać się sobie. Szacunek to nie miłość. Nie wystarczy on, aby móc znosić tak wielką niezgodność charakterów.

— Złote słowa!

— Oczywiście, gdybyśmy się kochali…

— Byłoby całkiem inaczej. — Ale nie kochamy się.

— Wzięliśmy ślub nie znając się i doznaliśmy potem oboje pewnej ilości rozczarowań. Ach, gdybyśmy sobie wyświadczyli jakieś ważne przysługi, zdolne rozpalić wyobraźnię, sprawa wyglądałaby może inaczej!

— To aż nadto pewne.

— Na nieszczęście, tak się nie stało. Nie musiała pani poświęcić majątku, by mnie uchronić przed ruiną.

— Byłabym to zrobiła, panie Stanfort. A panu nie było dane ocalić mi życia z narażeniem życia własnego.

— Nie byłbym się wahał, pani Arkadio.

— Jestem tego pewna; po prostu nie miał pan sposobności. Byliśmy sobie obcy i pozostaliśmy obcy.

— To smutna prawda.

— Zdawało nam się, że mamy te same zamiłowania, przynajmniej co do podróży.

— A nigdy nie mogliśmy się zgodzić, dokąd pojechać!

— Rzeczywiście, gdy ja chciałam jechać na południe, pan wybierał się na północ.

— A gdy ja zamierzałem podążyć na zachód, panią pociągał wschód.

— Sprawa bolidu przepełniła miarę.

— Przepełniła.

— Gdyż pan jest ciągle zdecydowany stanąć po stronie pana Forsytha, nieprawdaż?

— Zupełnie zdecydowany.

— I pojechać do Japonii, by być obecnym przy upadku bolidu?

— Rzeczywiście.

— Otóż, ponieważ ja postanowiłam kierować się wskazówkami doktora Sydneya Hudelsona…

— I udać się do Patagonii…

— Nie ma możliwości pojednania.

— Nie ma.

— Pozostaje więc tylko jedno wyjście.

— Tylko jedno.

— Udać się do sędziego.

— Idę z panią.

Oboje, o trzy kroki jedno od drugiego, skierowali się do domu pana Protha, a za nimi w odpowiedniej odległości szła pokojówka Berta.

Stara Kate stała w drzwiach.

— Czy jest pan Proth? — zapytali równocześnie państwo Stanfort.

— Nie ma go w domu — odpowiedziała Kate. Twarze petentów wydłużyły, się jednakowo.

— Na długo wyszedł? — zapytała pani Stanfort.

— Wróci dopiero na obiad — odrzekła Kate.

— A o której je obiad?

— O pierwszej.

— Wrócimy o pierwszej — oświadczyli zgodnie, oddalając się, pan i pani Stanfort.

— Mamy dwie godziny czasu — stwierdziła pani Arkadia.

— Dwie godziny i kwadrans — poprawił pan Seth.

— Czy zechce pan spędzić te dwie godziny ze mną?

— Jeśli będzie pani tak dobra i zgodzi się na to.

— Co powiedziałby pan o przechadzce nad brzegiem Potomaku?

— Chciałem to właśnie zaproponować.

Mąż i żona skierowali się w stronę ulicy Exeter, ale po przejściu paru kroków zatrzymali się.

— Pozwoli mi pani na pewną uwagę? — zapytał Stanfort.

— Proszę, niech pan mówi — odpowiedziała Arkadia.

— Chcę tylko stwierdzić, że jesteśmy zgodni. Po raz pierwszy się to zdarza, pani Arkadio.

— I ostatni! — odcięła się młoda kobieta idąc dalej.

By dojść do ulicy Exeter, państwo Stanfort musieli torować sobie drogę przez zbity tłum, zgromadzony wokół balonu. A jeśli tłum ten nie był jeszcze bardziej zwarty, jeśli wszyscy mieszkańcy Whastonu nie zgromadzili się na placu Konstytucji, to dlatego jedynie, że inna, jeszcze bardziej sensacyjna atrakcja budziła w tym momencie ogólne zainteresowanie.

Ledwie zaczęło świtać, całe miasto pociągnęło przed gmach sądu, gdzie utworzył się wkrótce ogonek potwornej długości. Natychmiast po otwarciu drzwi rzucono się tłumnie do sali rozpraw, która w mgnieniu oka zapełniła się po brzegi. Ci, którzy nie znaleźli miejsca, musieli się wycofać i oni to właśnie — pechowcy albo spóźnialscy — asystowali na pociechę przy lądowaniu Waltera Vragga.

O ileż by jednak woleli cisnąć się razem ze szczęśliwcami wypełniającymi salę rozpraw, gdzie toczyła się, właśnie najgigantyczniejsza sprawa, jaką kiedykolwiek poddawano ocenie sędziów!

Bez wątpienia szaleństwo tłumów zdawało się dosięgać szczytu, gdy obserwatorium paryskie podało do wiadomości, że bolid — a przynajmniej jego jądro — jest z czystego złota. A jednak tamto szaleństwo nie mogło się równać z tym, które zapanowało na całym świecie, gdy Dean Forsyth i Sydney Hudelson stwierdzili kategorycznie, że asteroid spadnie.

Mnóstwo ludzi wpadło z tego powodu w obłęd i nie było szpitala dla obłąkanych, który by nie stał się w ciągu kilku dni za ciasny w stosunku do liczby chorych.

Lecz wśród tych wszystkich wariatów najgorszymi byli na pewno ci, którzy spowodowali owo powszechne wzburzenie.

Dotychczas ani pan Forsyth, ani doktor Hudelson nie przewidywali podobnej ewentualności. Upominali się z takim zapałem o przyznanie pierwszeństwa odkrycia bolidu, nie z powodu jego wartości i tych miliardów, z których nic nikomu nie mogło przyjść, ale dlatego, by złączyć nazwisko Forsyth czy Hudelson z tym wielkim wydarzeniem astronomicznym.

Sytuacja zmieniła się całkowicie, gdy stwierdzili w nocy z jedenastego na dwunasty maja zakłócenie w biegu meteoru. Pytanie bardziej palące od innych narzuciło się natychmiast ich umysłom. Do kogo będzie należał bolid, gdy spadnie? Komu przypadną tryliony zawarte w jądrze, otoczonym obecnie błyszczącą aureolą? Nie będzie żadnego pożytku z jej nieuchwytnych promieni, ale gdy one znikną, pozostanie jądro! A jądro można będzie bez kłopotu przeistoczyć w brzęczącą monetę pełnej wagi. Do kogo będzie ono należało?

— Do mnie! — zawołał bez wahania pan Dean Forsyth. — Do mnie, ponieważ pierwszy sygnalizowałem jego obecność na horyzoncie Whastonu!

— Do mnie! — zawołał z równym przekonaniem doktor Hudelson. — Ja jestem jego odkrywcą!

Dwaj szaleńcy nie omieszkali ogłosić za pośrednictwem prasy tych sprzecznych i niemożliwych do pogodzenia pretensji. Przez dwa dni kolumny dzienników Whastonu wypełnione były gwałtownymi wywodami dwóch przeciwników, którzy rzucali sobie na głowy najgorzej brzmiące epitety, w związku z nieosiągalnym bolidem, który zdawał się drwić z nich z wysokości swych czterystu kilometrów.

Łatwo zrozumieć, że w tych warunkach nie było mowy o projektowanym małżeństwie. Minął więc dzień piętnastego maja, a Francis i Jenny byli wciąż tylko zaręczeni.

A nawet czy mieli prawo uważać się jeszcze za narzeczonych? Siostrzeńcowi swemu, który próbował po raz ostatni dojść z nim do porozumienia, pan Forsyth odpowiedział dosłownie:

— Uważam doktora za nędznika i nigdy się nie zgodzę na twoje małżeństwo z panną Hudelson.

Niemal o tej samej godzinie doktor Hudelson przerwał z miejsca żale swojej córki wykrzykując następujące słowa:

— Wuj Francisa jest człowiekiem nieuczciwym, więc córka moja nie wyjdzie nigdy za siostrzeńca Forsytha.

Była to decyzja kategoryczna i trzeba się było pogodzić z losem.

Lot balonem Waltera Vragga dolał oliwy do ognia; płomień wzajemnej nienawiści astronomów wybuchnął z nową siłą. W listach, które skwapliwie ogłosiła żądna skandalu prasa, zdumiewała gwałtowność wyrażeń użytych przez obie strony. A przyznacie, że to nie łagodziło sytuacji.

Jednakże obelgi nigdy nie rozwiązują sprawy. W wypadku zatargu należy postąpić w sposób ogólnie przyjęty, to znaczy podać sprawę do sądu. To najlepszy i jedyny sposób zakończenia sporu.

Uznali to wreszcie dwaj przeciwnicy i siedemnastego maja Dean Forsyth skierował do doktora Hudelsona wezwanie do stawienia się przed trybunałem Johna Protha; identyczny pozew został bezzwłocznie wysłany przez doktora Hudelsona do pana Deana Forsytha, a wreszcie, osiemnastego maja, hałaśliwy i drżący z niecierpliwości tłum dokonał najazdu na salę rozpraw.

Pan Dean Forsyth i pan Sydney Hudelson byli obecni na sali. Wezwani przez sędziego, dwaj rywale stanęli twarzą w twarz.

Liczne sprawy zostały załatwione na początku posiedzenia; strony, które w chwili przybycia na salę groziły sobie pięściami, opuszczały ją idąc pod rękę, ku pełnemu zadowoleniu pana Protha. Czy tak samo będzie z dwoma przeciwnikami, którzy staną przed nim za chwilę?

— Następna sprawa! — rzucił sędzia.

— Forsyth przeciw Hudelsonowi i Hudelson przeciw Forsythowi! — wywołał woźny.

— Niech się panowie zbliżą — powiedział sędzia prostując się w swym fotelu.

Pan Dean Forsyth i doktor Sydney Hudelson wystąpili naprzód, wysuwając się przed swych stronników, którzy im towarzyszyli. Stali tak blisko siebie, mierząc się wzrokiem, z płonącymi oczyma, z zaciśniętymi pięściami, jak dwie armaty nabite aż po gardziel; wystarczyłoby iskierki, aby wywołać podwójny wybuch.

— O co chodzi, panowie? — zapytał sędzia Proth, który zresztą wiedział doskonale, co się święci.

Pan Dean Forsyth pierwszy zabrał głos:

— Przyszedłem tu, aby dochodzić moich praw…

— A ja moich — przerwał natychmiast Hudelson.

I bez żadnego przejścia rozpoczął się ogłuszający duet nie były to ani tercje, ani seksty, ale — wbrew wszelkim pra widłom harmonii — nieprzerwane dysonanse.

Pan Proth stukał gwałtownie w biurko kościanym nożem, tak jak stuka pałeczką dyrygent chcąc położyć kres nieznośnej kakofonii.

— Na litość Boską, panowie — rzekł — mówcie po kolei! Zgodnie z porządkiem alfabetycznym udzielam najpierw głosu panu Forsythowi; pan Hudelson będzie potem mógł odpowiadać mu do woli.

Zatem Dean Forsyth pierwszy wyłożył sprawę, gdy tymczasem doktor opanowywał się z największym wysiłkiem. Opowiedział, jak szesnastego marca, rano o godzinie siódmej trzydzieści siedem minut i dwadzieścia sekund, obserwując niebo ze swej wieży przy ulicy św. Elżbiety, spostrzegł meteor przelatujący z północy na południe; jak śledził ten meteor przez cały czas jego widzialności i jak wreszcie, w kilka dni później, wysłał list do obserwatorium w Pittsburgu, by zawiadomić o odkryciu i zastrzec sobie prawo pierwszeństwa.

Gdy przyszła kolej na doktora Hudelsona, złożył on wyjaśnienie identyczne, tak że trybunał nie był lepiej

poinformowany po tych dwóch przemówieniach niż na początku.

Okazało się jednak, że i tak jest dostatecznie obeznany ze sprawą, gdyż pan Proth nie zażądał żadnych dodatkowych wyjaśnień. Gestem pełnym namaszczenia nakazał ciszę, po czym przeczytał orzeczenie zredagowane podczas przemówień obu przeciwników.

„Zważywszy z jednej strony — mówił wyrok — że pan Dean Forsyth oświadcza, iż odkrył meteor przecinający atmosferę nad Whastonem szesnastego marca rano, o godzinie siódmej trzydzieści siedem minut i dwadzieścia sekund;

zważywszy z drugiej strony, że pan Sydney Hudelson oświadcza, iż dostrzegł ten sam meteor o tej samej godzinie, minucie i sekundzie…”

— Tak! Tak! — zawołali stronnicy doktora wznosząc z zapałem pięści ku niebu.

— Nie! Nie! — przekrzykiwali ich stronnicy pana Forsytha tupiąc nogami.

„…lecz biorąc pod uwagę, że wniesiona skarga dotyczy zagadnienia minut i sekund oraz że ma charakter wyłącznie naukowy; biorąc pod uwagę, że nie ma żadnego artykułu w kodeksie, który by można zastosować, jeśli chodzi o pierwszeństwo odkrycia astronomicznego; z powyższych przyczyn uznajemy się za niekompetentnych i skazujemy obie strony na solidarne pokrycie kosztów”.

Pan Proth, jako urzędnik sądowy, nie mógł oczywiście odpowiedzieć inaczej. Ale ani oskarżyciele, ani ich zwolennicy nie zgadzali się na takie zakończenie sprawy. Jeśli pan Proth myślał wykręcić się oświadczeniem o niekompetencji, musiał się wkrótce pożegnać z tą nadzieją. Dwa głosy wybiły się ponad jednolity szmer, który towarzyszył odczytywaniu wyroku.

— Proszę o głos! — wołali równocześnie pan Forsyth i doktor Hudelson.”

— Chociaż nie jestem obowiązany zmieniać mego wyroku — odpowiedział urzędnik tym uprzejmym tonem, którego nie porzucał nigdy, nawet w najcięższych okolicznościach —

chętnie udzielę głosu panu Forsythowi i doktorowi Hudelsonowi pod warunkiem, że zgodzą się przemawiać kolejno..

Było to zbyt wielkie wymaganie w stosunku do dwóch rywali. Odpowiedzieli obaj jednocześnie równie płynnie i równie gwałtownymi słowami; każdy z nich obawiał się pozostać o jedno słowo, o jedną sylabę w tyle za przeciwnikiem.

Pan Proth zrozumiał, że najmądrzej będzie nie przeszkadzać im i nadstawiał ucha, jak mógł najlepiej. Udało mu się w ten sposób zrozumieć sens nowej ich argumentacji. Nie chodziło już o zagadnienie astronomiczne, lecz o sprawę pieniężną, o rewindykację własności. Jednym słowem, jeśli bolid ma spaść, do kogo będzie należał? Do pana Forsytha, czy do doktora Hudelsona?

— Do pana Forsytha! — wołali zwolennicy wieży.

— Do doktora Hudelsona! — krzyczeli stronnicy baszty. Pan Proth, którego poczciwą twarz rozjaśniał czarujący uśmiech filozofa, zażądał ciszy i natychmiast wszyscy obecni umilkli, tak dalece podniecona była ich ciekawość.

— Panowie — zaczął sędzia — pozwólcie przede wszystkim, że udzielę wam pewnej rady. W wypadku, jeśli bolid rzeczywiście spadnie...

— Spadnie! — wołali na wyścigi stronnicy pana Forsytha i doktora Hudelsona.

— Niech będzie! — ustąpił sędzia z pobłażliwą uprzejmością, nie zawsze właściwą przedstawicielom władzy nawet w Ameryce. — Jeśli o mnie chodzi, nie widzę w tym nic zdrożnego i pragnę tylko, aby nie spadł na kwiaty mojego ogrodu.

Kilka osób uśmiechnęło się. Pan Proth skorzystał z momentu odprężenia, by rzucić życzliwe spojrzenie na dwóch przeciwników. Niestety! Było to bezskuteczne. Łatwiej byłoby oswoić żądne krwi tygrysy niż pogodzić tych nieprzejednanych pieniaczy.

— W tym wypadku — podjął po ojcowsku sędzia — skoro chodzi o meteor wartości pięciu tysięcy siedmiuset osiemdziesięciu ośmiu miliardów, proponuję podział!

— Nigdy!

To słowo o znaczeniu tak wyraźnie negatywnym padło ze wszystkich stron na raz. Panowie Forsyth i Hudelson nigdy nie zgodziliby się na podział! Zapewne, otrzymaliby prawie po trzy tryliony, ale nie ma takich trylionów, które by miały znaczenie, jeśli w grę wchodzi miłość własna.

Znając ludzkie słabości pan Proth nie był wcale zdziwiony, że wystąpiwszy z tak mądrą radą miał przeciw sobie wszystkich obecnych. Nie zraził się tym i znów czekał, aż się hałas uspokoi.

— Skoro zgoda jest niemożliwa — rzekł, gdy tylko można go było dosłyszeć — trybunał wyda orzeczenie.

Na te słowa głębokie milczenie zaległo salę jakby za sprawą czarów i nikt nie ośmielił się przerwać panu Prothowi, który spokojnym głosem dyktował pisarzowi:

„Po wysłuchaniu wniosków i przemówień stron trybunał orzekł, co następuje:

zważywszy, że twierdzenia obu stron mają tę samą wartość prawną i opierają się na tych samych podstawach;

zważywszy, że odkrycie meteoru nie stwarza jeszcze koniecznie prawa własności, że ustawy milczą o takim wypadku i że nie ma żadnej analogicznej sprawy w orzecznictwie;

że zastosowanie tego domniemanego prawa własności, gdyby ono nawet, było uzasadnione, mogłoby, z uwagi na specjalne okoliczności, natrafić na nieprzezwyciężone trudności i jakikolwiek byłby wyrok, mógłby on pozostać martwą literą, co mogłoby, z wielką szkodą zasad, na jakich opiera się wszelkie społeczeństwo cywilizowane, osłabić w opinii publicznej słuszny autorytet wydanego orzeczenia;

że w dziedzinie tak specjalnej wypada działać ostrożnie i oględnie;

zważywszy w końcu, że wniesiona skarga opiera się, bez względu na twierdzenia stron, na wypadku hipotetycznym, który może się wcale nie wydarzyć;

że zresztą meteor może spaść do morza, które pokrywa trzy czwarte kuli ziemskiej;

że w każdym z tych dwu wypadków sprawa musiałaby być umorzona wskutek zniknięcia przedmiotu sporu; z tych przyczyn, trybunał odracza orzeczenie do momentu istotnego, należycie stwierdzonego upadku spornego bolidu”.

— Kropka — podyktował pan Proth wstając równocześnie ze swego fotela.

Posiedzenie skończono.

Audytorium było pod wrażeniem mądrych „zważywszy” pana Protha. Możliwe, że meteor istotnie spadnie w głębinę morza i trzeba będzie zrezygnować z wyłowienia go! Z drugiej strony, do jakich to „nieprzezwyciężonych trudności” robił aluzję sędzia? Co znaczyły te tajemnicze słowa? Wszystko to skłaniało do refleksji, a refleksja przywraca zazwyczaj spokój podnieconym umysłom.

Należy przypuszczać, że pan Forsyth i doktor Hudelson nie snuli refleksji, gdyż nie uspokoili się wcale. Przeciwnie, z dwóch krańców sali grozili sobie nawzajem pięściami, przemawiając do swoich stronników.

— Nie powiem nawet, co myślę o tym orzeczeniu! — wołał pan Forsyth stentorowym głosem. — Jest po prostu bezsensowne!

— Ten wyrok jest niedorzeczny! — krzyczał równocześnie ze wszystkich sił pan Hudelson.

— Twierdzić, że mój bolid nie spadnie!

— Wątpić o upadku mego bolidu!

— Spadnie tam, gdzie zapowiedziałem!

— Określiłem miejsce jego upadku!

— I skoro nie chcą mi wymierzyć sprawiedliwości…

— I skoro odmawia mi się wymiaru sprawiedliwości…

— Będę bronił mych praw aż do końca! Wyruszam dziś wieczór.

— Będę walczył w obronie moich praw do ostatniego tchu! Dziś jeszcze wyjeżdżam…

— Do Japonii! — zawył pan Forsyth.

— Do Patagonii! — wrzasnął doktor Hudelson.

— Hura! — odpowiedziały jednym głosem dwa przeciwne obozy.

Gdy wszyscy wyszli z gmachu, tłum rozdzielił się na dwie grupy. Przyłączyli się do nich ciekawi, którzy nie dostali się na salę rozpraw. Podniósł się straszny rwetes, krzyki, wyzwania, groźby rozwścieczonej tłuszczy. I bez wątpienia doszłoby do rękoczynów, gdyż zwolennicy pana Hudelsona chcieli najwyraźniej zlinczować pana Forsytha, a stronnicy pana Forsytha marzyli o zlinczowaniu doktora, co zakończyłoby sprawę w sposób iście amerykański, gdyby władze nie przedsięwzięły środków ostrożności. Liczni policjanci interweniowali równie celowo, jak energicznie, tak że rozdzielili walczących.

Zaledwie rozłączono przeciwników, gniew ich, dość zresztą powierzchowny, opadł. Ponieważ jednak potrzebowali pretekstu, by robić jak najwięcej hałasu, poniechali krzyków skierowanych przeciw wodzowi partii, która nie znalazła ich uznania, wiwatowali natomiast na cześć tego, pod którego sztandar się zaciągnęli.

— Niech żyje Dean Forsyth!

— Niech żyje Sydney Hudelson!

Te okrzyki krzyżowały się ze sobą jak łoskot grzmotów. Wkrótce zlały się w jeden ryk:

— Na dworzec! — wyły obydwa stronnictwa nareszcie pogodzone.

Tłum uformował zaraz dwa pochody, które przecięły na ukos plac Konstytucji, uwolniony już od balonu Waltera Vragga. Na czele jednego z pochodów paradował pan Dean Forsyth, a doktor Hudelson szedł na czele drugiego.

Policjanci patrzyli na to obojętnie, gdyż niebezpieczeństwo zaburzeń zostało zażegnane. Nie było istotnie obawy zderzenia się dwu pochodów, z których jeden prowadził triumfalnie pana Forsytha na Dworzec Zachodni, pierwszy etap w drodze do San Francisco i Japonii, a drugi eskortował niemniej triumfalnie pana Hudelsona na Dworzec Wschodni, krańcową stację linii

Whaston — Nowy Jork, stąd doktor miał wyruszyć statkiem do Patagonii.

Okrzyki cichły zwolna, a wreszcie rozpłynęły się w oddali.

Pan Proth, który stojąc w drzwiach swego mieszkania zabawiał się obserwowaniem hałaśliwego tłumu, pomyślał wówczas, że pora na obiad, i odwrócił się, by wejść do wnętrza domu.

W tym momencie został zaczepiony przez dżentelmena i damę, którzy podeszli ku niemu okrążając plac.

— Jedno słówko, jeśli wolno, panie sędzio — rzekł dżentelmen.

— Do usług, panie Stanfort — odpowiedział uprzejmie pan Proth.

— Panie sędzio — podjął Stanfort — stanęliśmy przed panem dwa miesiące temu, by się pobrać.

— Było mi miło — oświadczył pan Proth — zawrzeć z państwem znajomość przy tej okazji.

— Dziś, panie sędzio — ciągnął Stanfort — zjawiamy się przed panem, aby się rozwieść.

Sędzia Proth, jako człowiek doświadczony, zrozumiał, że moment nie jest odpowiedni dla podjęcia próby pojednania.

— Cieszę się i z tej okazji odnowienia z państwem znajomości — rzekł nie tracąc kontenansu.

Dwoje interesantów skłoniło się.

— Może państwo zechcą wejść? — zaproponował sędzia.

— Czy to konieczne? — spytał pan Seth Stanfort, podobnie jak to uczynił przed dwoma miesiącami.

I tak jak wtedy pan Proth odpowiedział z flegmą:

— Bynajmniej.

Sędzia wyraźnie szedł im na rękę. Zresztą rozwód (choć zasadniczo nie bywa przeprowadzany w tak anormalnych warunkach) otrzymuje się w Stanach bez wielkiego zachodu. Rozwodzić się można w tym dziwnym kraju z większą łatwością niż żenić. W niektórych stanach wystarczy ustalić fikcyjne miejsce zamieszkania i nie trzeba się stawiać osobiście na sprawę rozwodową. Specjalne agencje podejmują się zebrać

świadków i dostarczyć podstawione osoby. Zatrudniają, w tym celu agentów werbunkowych cieszących się nieraz prawdziwą sławą.

Państwo Stanfort nie musieli się uciekać do takich wybiegów. W prawdziwym miejscu swego zamieszkania, w Richemond w Wirginii, podjęli odpowiednie kroki i dopełnili niezbędnych formalności. I jeśli byli teraz w Whastonie, to po prostu przez fantazję: chcieli zerwać swe małżeństwo tam właśnie, gdzie je zawarli.

— Czy dokumenty macie w porządku? — zapytał sędzia, — Oto moje — rzekła pani Stanfort,

— A to moje — powiedział pan Stanfort.

Pan Proth wziął papiery, zbadał je; upewnił się, że zredagowane były w przepisanej formie, po czym ograniczył się do następującej odpowiedzi:

— A oto akt rozwodu, już wydrukowany. Trzeba tylko wpisać nazwiska i podpisać. Lecz nie wiem, czy będziemy mogli tutaj…

— Proszę, oto moje udoskonalone wieczne pióro — przerwał pan Stanfort wręczając je panu Prothowi.

— A oto pudełko, które może świetnie służyć za podkładkę — dodała pani Stanfort biorąc z rąk pokojówki wielkie, płaskie pudło, które wręczyła sędziemu.

— Macie odpowiedź na wszystko — pochwalił pan Proth zaczynając wypełniać puste miejsca formularza.

Skończywszy z tym podał pióro pani Stanfort. Bez żadnej uwagi, bez wahania, od którego zadrżałaby jej ręka, pani Stanfort wypasała swe nazwisko: Arkadia Walker.

Z tą samą zimną krwią Seth Stanfort podpisał się po niej.

Potem każde z nich wręczyło panu Prothowi, jak dwa miesiące temu, banknot pięćsetdolarowy.

— Jako honorarium — rzekł pan Seth Stanfort.

— Dla biednych — powtórzyła pani Arkadia Walker.

Nie zwlekając dłużej, ukłonili się sędziemu, potem sobie wzajemnie i oddalili nie odwracając głowy: on w stronę przedmieścia Wilcox, ona w kierunku przeciwnym.

Gdy znikli w oddaleniu, pan Proth wrócił wreszcie do mieszkania, gdzie obiad czekał już od dawna.

— Czy wiecie, Kate, co powinienem wypisać na szyldzie? — rzekł do służącej zawiązując serwetę pod brodą.

— Nie, proszę pana.

— Powinienem umieścić napis: „Tu można wziąć ślub na koniu, a rozwieść się pieszo!”

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

w którym pojawia się — jak to przewidział sędzia Proth — trzeci „uzurpator”, a wkrótce po nim czwarty

Lepiej będzie zrezygnować z opisu głębokiego bólu rodziny doktora i rozpaczy Francisa Gordona. Naturalnie ten ostatni nie byłby się wahał zerwać ze swoim wujem, obejść się bez jego zgody, narazić się na gniew astronoma i jego nieuniknione następstwa. Lecz mógł tak postąpić z panem Forsythem, nie z panem Hudelsonem. Na próżno próbowała pani Hudelson uzyskać zgodę męża i odwołanie jego decyzji. Ani jej błagania, ani wyrzuty nie ugięły upartego doktora. Nawet Loo, mała Loo, została bezlitośnie odepchnięta, mimo jej próśb, pieszczot i bezsilnych łez. W przyszłości nie można będzie nawet wznowić tych prób, skoro wuj i ojciec, zdecydowanie dotknięci szaleństwem, wyruszali do dalekich krajów.

Jakże jednak niepotrzebny okazał się ten wyjazd! Jakże zbyteczny rozwód pana Setha Stanforta i pani Arkadii Walker, rozwód, którego główną przyczyną były sprzeczne twierdzenia dwóch astronomów! Gdyby te cztery osoby spokojnie zastanowiły się choćby przez dwadzieścia cztery godziny, ich zachowanie byłoby na pewno inne.

Albowiem nazajutrz rano prasa wychodząca w Whastonie i gdzie indziej opublikowała notatkę, podpisaną przez J.B.K. Lowenthala, dyrektora obserwatorium w Bostonie, która gruntownie zmieniała sytuację. Notatkę tę, niezbyt tkliwą dla dwóch sław whastońskich, przytaczamy poniżej dosłownie:

„Komunikat ogłoszony w ostatnich dniach przez dwóch astronomów amatorów z miasta Whastonu poruszył silnie opinię publiczną. Naszym obowiązkiem jest sprostować zawarte w nim wiadomości.

Niech będzie wolno wyrazić najpierw ubolewanie, że komunikaty takiej doniosłości są ogłaszane lekkomyślnie, bez uprzedniej kontroli dokonanej przez prawdziwych uczonych.

Nie brak nam takich powag. Ich wiedza potwierdzona jest przez świadectwa i dyplomy. Łatwo ich odnaleźć w licznych obserwatoriach oficjalnych.

Niewątpliwie jest tytułem do sławy dostrzeżenie po raz pierwszy ciała niebieskiego, które wkracza uprzejmie w pole widzenia lunety skierowanej ku niebu. Lecz ten szczęśliwy przypadek nie może zmienić w jednej chwili zwyczajnych amatorów w zawodowych matematyków. Jeśli nie doceniając tej prawdy, podyktowanej przez zdrowy rozsądek, porusza się bez głębszego zastanowienia problemy wymagające specjalnych kompetencji, można się narazić na popełnianie omyłek w rodzaju tej, którą mamy właśnie obowiązek sprostować.

To prawda, że ruch meteoru, którym zajmuje się w tej chwili cała kula ziemska, uległ zaburzeniu. Lecz panowie Forsyth i Hudelson popełnili wielki błąd zadowalając się jedną tylko obserwacją i opierając na tych niekompletnych danych obliczenia, zresztą fałszywe. Biorąc pod uwagę jedynie to zakłócenie, które mogli stwierdzić wieczorem jedenastego lub rano dwunastego maja, doszlibyśmy do wyników zupełnie odmiennych niż oni. Alę sprawa przedstawia się jeszcze inaczej. Zakłócenie ruchu meteoru nie zaczęło się ani nie skończyło jedenastego czy dwunastego maja. Pierwsze zaburzenie miało miejsce dziesiątego maja, a dalsze można obserwować jeszcze w chwili obecnej.

To zaburzenie, a raczej następujące po sobie zaburzenia, przyniosły w rezultacie z jednej strony zbliżenie bolidu do powierzchni kuli ziemskiej, a z drugiej — skrzywienie toru. Dnia siedemnastego maja odległość bolidu zmniejszyła się

mniej więcej o siedemdziesiąt osiem kilometrów, a zboczenie z drogi doszło do pięćdziesięciu pięciu minut kątowych.

Ta podwójna zmiana nie dokonała się za jednym razem. Przeciwnie, jest ona sumą bardzo niewielkich zmian, które następowały po sobie od dziesiątego bieżącego miesiąca.

Do tej chwili nie udało się odkryć przyczyny zakłóceń w ruchu meteoru. Nie wyjaśniają ich żadne zjawiska na niebie. Badania trwają dalej i nie ma powodu wątpić, że doprowadzą w najbliższym czasie do pożądanych wyników. Bez względu na to, jest co najmniej przedwczesne zapowiadać upadek asteroidu, a tym bardziej określać miejsce i datę tego upadku. Oczywiście, jeśli nieznana przyczyna, która wpływa na meteor, będzie dalej działała w tym samym kierunku, spadnie on w końcu, nic jednak nie uprawnia do tej pory do twierdzenia, że tak istotnie będzie. Obecna szybkość względna meteoru wzrosła z konieczności, skoro zakreśla on mniejszą orbitę. Nie miałby więc żadnej tendencji do upadku, gdyby siła, która wpływa na niego, przestała działać.

Analizując hipotezę przeciwną musielibyśmy przyjąć, co następuje: skoro zaburzenia stwierdzone przy każdym przejściu meteoru są do dziś dnia nierówne, a zmiany ich natężenia zdają się nie podlegać żadnemu stałemu prawu, nie można, przewidując upadek, określić jego miejsca ani daty.

Reasumując kończymy: upadek bolidu wydaje się prawdopodobny; nie jest natomiast pewny. W każdym razie nie jest bliski.

Doradzamy zatem spokój wobec ewentualności, która pozostaje hipotetyczną i której realizacja może ponadto nie doprowadzić do żadnego rezultatu praktycznego. Postaramy się zresztą w przyszłości informować publiczność codziennymi notatkami, które będą zdawać sprawę z biegu wypadków”.

Gzy pan Seth Stanfort i pani Arkadia Walker zapoznali się z wnioskami J.B.K. Lowenthala? Ten punkt pozostał nie wyjaśniony. Natomiast zniewagi dyrektora obserwatorium w Bostonie dosięgły Deana Forsytha w stanie Missouri, a Sydneya

Hudelsona w Nowym Jorku. Zaczerwienili się obydwaj, jakby wymierzono im policzek.

Choć upokorzenie ich było okrutne, musieli się poddać. Nie dyskutuje się z uczonym tej miary, co J.B.K. Lowenthal. Pan Forsyth i pan Hudelson wrócili więc z nosami na kwintę do Whastonu. Pierwszy stracił bilet zapłacony aż do San Francisco, drugi zostawił w szponach chciwej linii okrętowej cenę kabiny już wynajętej aż do Buenos Aires.

Wróciwszy do swych mieszkań, wspięli się niecierpliwie jeden na wieżę, a drugi na basztę. Po krótkiej obserwacji stwierdzili, że J.B.K. Lowenthal miał rację, gdyż z wielkim trudem mogli odszukać swego bolida-włóczęgę i nie dostrzegli go w punkcie wyznaczonym przez ich zdecydowanie niedokładne obliczenia.

Pan Forsyth i doktor Hudelson odczuli wkrótce skutki swej przykrej omyłki. Gdzie podziały się tłumy, które triumfalnie odprowadzały ich na dworzec? Najwyraźniej odwróciła się od nich łaska publiczności. Jakże to było dla nich bolesne! Zasmakowawszy na dobre w popularności, zostali nagle pozbawieni tego upajającego trunku!

Lecz poważniejsza troska zajęła niebawem ich uwagę. Jak przepowiedział za pomocą aluzji sędzia Proth, pojawił się trzeci współzawodnik. Głuche pogłoski, krążące w tłumie, wyprzedziły o kilka godzin wiadomość oficjalną, ogłoszoną całemu światu.

Trudny do zwalczenia był ten trzeci „uzurpator”, gdyż jednoczył w swej osobie całą cywilizowaną ludzkość. Gdyby pan Forsyth i doktor Hudelson nie byli do tego stopnia zaślepieni namiętnością, od początku przewidzieliby jego interwencję. Zamiast wytaczać sobie nawzajem śmieszne procesy, mogli byli przewidzieć, że rządy różnych państw z konieczności zajmą się tymi tysiącami miliardów, których nagły dopływ mógł spowodować straszny przewrót finansowy. Ta myśl, tak naturalna i prosta, nie przyszła jednak do głowy ani panu Forsythowi, ani doktorowi Hudelsonowi i zapowiedź zebrania

się Konferencji Międzynarodowej spadła na nich jak grom z jasnego nieba.

Pobiegli po informacje. Wiadomość była ścisła. Wymieniano już nawet członków przyszłej Konferencji, którzy zbiorą się w Waszyngtonie, w terminie niestety dość odległym, ze względu na dalekie podróże, czekające niektórych delegatów. W każdym razie rządy, przynaglane okolicznościami, postanowiły zwołać na razie zebranie przygotowawcza dyplomatów akredytowanych w Waszyngtonie. Delegaci nadzwyczajni przybędą podczas trwania zebrań przygotowawczych, w czasie których oczyści się teren, tak że Konferencja, definitywnie ukonstytuowana, będzie miała od pierwszego posiedzenia ściśle określony program.

Nie będziemy tutaj podawać listy państw, które miały wziąć udział w Konferencji. Jak już powiedziano, lista ta obejmowałaby przedstawicieli całego cywilizowanego świata. Żadne cesarstwo czy królestwo, żadna republika, żadne księstwo nie pozostało w tej spornej sprawie obojętne i każde powołało delegata, od Rosji i Chin, reprezentowanych przez Iwana Saratowa z Rygi i jego ekscelencję Li Mao-czi z Kantonu, aż do republik San Marino i Andory, których interesów, bronili zażarcie panowie Beveragi i Ramontcho.

Wszelkie ambicje były usprawiedliwione, wszelkie nadzieje uprawnione, gdyż nikt jeszcze nie wiedział, gdzie spadnie meteor, jeśli rzeczywiście spadnie.

Pierwsze zebranie przygotowawcze odbyło się dwudziestego piątego maja w Waszyngtonie. Zaczęło się od definitywnego uregulowania sprawy Forsyth-Hudelson, na co wystarczyło nie więcej niż pięć minut. Panowie ci, którzy odbyli podróż w tym specjalnie celu, nalegali na próżno, by ich wysłuchano. Wyproszono ich jak natrętnych intruzów. Można sobie wyobrazić ich wściekłość po powrocie do Whastonu. By nie minąć się z prawdą, musimy powiedzieć, że te lamenty pozostały bez echa. W całej prasie, która tak długo obsypywała ich kwiatami, nie znalazł się ani jeden dziennik, który by wziął ich w obronę. Ach, szafowano niegdyś do przesytu określeniami

takimi, jak „czcigodny obywatel Whastonu”, „znakomity astronom”, „matematyk równie wybitny jak skromny”. Teraz ton się zmienił.

„Co robiły w Waszyngtonie te dwa pajace? Oni pierwsi podali wiadomość o meteorze? I cóż z tego? Czy ta przypadkowa okoliczność daje im jakiekolwiek prawa? Czy wpłynęli jakoś na spadnięcie bolidu? Nie było naprawdę powodu do rozprawiania o równie komicznych pretensjach!” Oto, jak się teraz wypowiadała prasa. *Sic transit gloria mundi!*

Po załatwieniu tej sprawy rozpoczęły się poważne prace. Przede wszystkim poświęcono kilka posiedzeń na sporządzenie listy państw suwerennych, którym zostanie przyznane prawo uczestniczenia w Konferencji. Wiele z nich nie miało w Waszyngtonie pełnomocnego przedstawiciela. Chodziło o to, by zarezerwować im prawo współpracy na czas, gdy Konferencja podejmie dyskusję merytoryczną. Ustalenie tej listy nie dokonało się automatycznie i dyskusje osiągnęły stopień ożywienia bardzo obiecujący na przyszłość. Węgry i Finlandia, na przykład, zażądały bezpośredniego przedstawicielstwa, co wywołało żywy protest rządu wiedeńskiego i petersburskiego. Z drugiej strony, Francja i Turcja wdały się w ożywiony spór o Tunis, zagmatwany przez osobistą interwencję beja, Japonia zaś miała wielkie kłopoty z Koreą. Krótko mówiąc, ponieważ większość narodów borykała się z analogicznymi trudnościami, po siedmiu kolejnych posiedzeniach nie znaleziono jeszcze żadnego rozwiązania, gdy pierwszego czerwca nieprzewidziany incydent wzbudził znowu niepokój w umysłach.

W myśl swego przyrzeczenia J.B.K. Lowenthal dostarczał codziennie regularnych wiadomości o meteorze w formie krótkich notatek komunikowanych prasie. Notatki te nie przyniosły dotychczas nic szczególnie osobliwego. Ograniczały się do informowania opinii światowej, że zmiany w ruchu meteoru są nadal bardzo małe, jednakże ich suma czyniła upadek coraz prawdopodobniejszym, choć nie można było jeszcze uważać go za pewny.

Lecz notatka ogłoszona pierwszego czerwca różniła się znacznie od poprzednich. Można było przypuszczać, że zaburzenia, którym ulegał meteor, były zaraźliwe, tak wielkie wzburzenie zdradzał z kolei J.B.K. Lowenthal.

„Nie bez prawdziwego wzruszenia — mówił on tego dnia — podajemy do wiadomości publicznej dziwne zjawiska, których byliśmy świadkami; fakty te mogą podkopać podstawy, na których opiera się wiedza astronomiczna, a zarazem wiedza w ogóle — gdyż umiejętności ludzkie stanowią całość, której wszystkie części wspierają się wzajemnie. Jednak, choć zjawiska te są niewytłumaczone i niewytłumaczalne, musimy je uznać za absolutnie pewne.

Nasze poprzednie komunikaty poinformowały publiczność, że w biegu whastońskiego bolidu zauważono szereg kolejnych, nieprzerwanych zaburzeń; jak wiadomo również, nie można było dotychczas ustalić przyczyn tego zjawiska i rządzących nim praw. Fakt ten był całkowicie anormalny. Astronom czyta w istocie w niebie jak w książce i potrafi zazwyczaj przewidzieć każde zjawisko, a przynajmniej przepowiedzieć jego skutki. Tak na przykład zaćmienia, zapowiedziane kilkaset lat wcześniej, następują w określonej sekundzie, jakby słuchały rozkazu śmiertelnej istoty, której dalekowzroczne spojrzenie dostrzegło je w mgłach przyszłości, a która w momencie realizowania się przepowiedni śpi już od stuleci snem wiecznym.

Mimo jednak anormalności obserwowanych zaburzeń nie były one sprzeczne z danymi nauki i jeśli ich przyczyna pozostawała nieznana, mogliśmy o to oskarżać tylko niedoskonałość naszych metod badawczych.

Dziś jest już inaczej. Od trzydziestego maja bieg bolidu doznał nowych zakłóceń, które są absolutnie sprzeczne z naszymi najlepiej ugruntowanymi danymi teoretycznymi. To znaczy, że musimy stracić nadzieję, byśmy mogli kiedykolwiek znaleźć zadowalające wyjaśnienie, gdyż zasady o sile aksjomatów, na których opierają się nasze obliczenia, nie dadzą się w tym wypadku zastosować.

Najmniej zręczny obserwator mógłby z łatwością dostrzec, że podczas swego drugiego przejścia, trzydziestego maja po południu, bolid zamiast się zbliżać do Ziemi, jak to czynił bez przerwy od dziesiątego maja, wprost przeciwnie, wyraźnie się od niej oddalił. Z drugiej strony, odchylenie jego orbity — która od dwudziestu dni przybierała coraz wyraźniej kierunek z północnego wschodu na południowy zachód — nagle przestało się powiększać.

To nieoczekiwane zjawisko miało już w sobie coś niezrozumiałego. A oto wczoraj, trzydziestego pierwszego maja, podczas czwartego po wschodzie słońca przejścia meteoru, stwierdzono, że jego orbita przybrała znów niemal dokładnie kierunek północ-południe, gdy tymczasem odległość jego od Ziemi pozostała nie zmieniona od dnia poprzedniego.

Taka jest obecna sytuacja. Wiedza nie może wyjaśnić faktów, które wyglądałyby na pozbawione związku, gdyby cokolwiek w naturze mogło być pozbawione związku.

Powiedzieliśmy w pierwszej notatce, że upadek meteoru, choć niepewny, może być jednak uznany za prawdopodobny. Obecnie nie ośmielamy się już tak twierdzić. Wolimy ograniczyć się do skromnego wyznania naszej niewiedzy”.

Gdyby jakiś anarchista rzucił bombę na ósmą sesję przygotowawczą, nie osiągnąłby takiego efektu, jak notatka podpisana przez J.B.K. Lowenthala. Wyrywano sobie gazety, które ją wydrukowały, zaopatrując ją komentarzami najeżonymi znakami zapytania.

Całe popołudnie minęło na rozmowach i wymianie poglądów utrzymanej, niestety, w dość nerwowym tonie, z wielką szkodą dla trudnej pracy Konferencji.

Następne dni były jeszcze gorsze. J.B.K. Lowenthal zamieszczał jedną po drugiej coraz bardziej zadziwiające notatki. Wśród baletu gwiazd, tak cudownie uporządkowanego, bolid zdawał się tańczyć prawdziwego kankana, jak fantastyczny solista nie uznający prawideł ani rytmu. Raz orbita je go odchylała się o trzy stopnie na wschód, drugi raz o cztery na zachód. Jeśli podczas jednego ze swych przejść

wydawał się nieco zbliżać do Ziemi, oddalał się od niej o wiele kilometrów przy następnym.

Można było oszaleć.

Szaleństwo ogarniało też zwolna Konferencję Międzynarodową. Dyplomaci, niepewni, czy dyskusja przyniesie praktyczne korzyści, pracowali ospale i bez mocnej woli doprowadzenia obrad do końca.

Czas jednak mijał. Z różnych punktów świata delegaci wszystkich narodów zdążali pełną parą, ku Ameryce i Waszyngtonowi. Wielu już przybyło i wkrótce liczba ich będzie dostateczna, by Konferencja mogła się prawidłowo ukonstytuować nie czekając na członków przybywających z najdalszych stron. Czyż mieli zastać nie tknięty problem, którego nawet pierwszy punkt nie był wyjaśniony?

Członkowie zgromadzenia przygotowawczego unieśli się honorem i za

cenę usilnej pracy zdołali na ośmiu zebraniach dodatkowych ułożyć spis państw, których delegaci zostali dopuszczeni do obrad. Liczbę ich ustalono na pięćdziesiąt dwa, to jest dwadzieścia pięć w Europie, sześć w Azji, cztery w Afryce i siedemnaście w Ameryce, Było między nimi dwanaście cesarstw, dwanaście dziedzicznych królestw, dwadzieścia dwie republiki i sześć księstw. Te wszystkie państwa zostały uznane za właścicieli meteoru bezpośrednio bądź przez swych wasali i kolonie.

Był już najwyższy czas, by zebrania przygotowawcze doprowadziły do tej konkluzji. Delegaci pięćdziesięciu dwóch państw, dopuszczonych do uczestnictwa, w obradach, znajdowali się już w większości w Waszyngtonie, a codziennie przyjeżdżali nowi.

Konferencja Międzynarodowa zebrała się po raz pierwszy dziesiątego czerwca o drugiej po południu, pod przewodnictwem najstarszego wiekiem delegata, którym okazał się pan Soliès, profesor oceanografii i delegat księstwa Monaco. Przystąpiono bezzwłocznie do ukonstytuowania stałego prezydium.

W pierwszym głosowaniu przyznano przewodnictwo panu Harveyowi, wybitnemu prawnikowi reprezentującemu Stany Zjednoczone, przez wzgląd na kraj, który gościł delegatów. Spierano się nieco o wiceprezydenturę. Przypadła ona ostatecznie Rosji, w osobie pana Saratowa. Delegaci: francuski, angielski i japoński zostali następnie wyznaczeni na sekretarzy.

Po wypełnieniu tych formalności przewodniczący wygłosił gładkie i gorąco oklaskiwane przemówienie, po czym zapowiedział, że nastąpi wyznaczenie trzech podkomisji, których zadaniem będzie wyszukanie najlepszej metody pracy z potrójnego punktu widzenia: demograficznego, finansowego i prawniczego.

Rozpoczęto głosowanie, gdy woźny podszedł do fotela przewodniczącego i oddał panu Harveyowi jakiś telegram.

Przewodniczący otworzył depeszę i w miarę jak czytał, twarz jego wyrażała rosnące zdumienie. Po chwili namysłu wzruszył pogardliwie ramionami. Mimo to, po dalszym namyśle, zadzwonił, by zwrócić uwagę kolegów.

— Panowie! — rzekł. — Czuję się obowiązany podać do waszej wiadomości, że otrzymałem telegram. Nie wątpię, że jest on dziełem niewczesnego żartownisia albo wariata. Wydaje mi się jednak rzeczą właściwą przeczytać go panom. Telegram, nie podpisany zresztą, jest zredagowany, jak następuje:

„Panie Przewodniczący!

Mam zaszczyt poinformować Konferencję Międzynarodową, że bolid, który ma być przedmiotem jej dyskusji, nie stanowi rzeczy niczyjej i jest moją osobistą własnością.

Konferencja Międzynarodowa nie ma więc żadnej racji bytu i gdyby upierała się przy swych obradach, prace jej będą z góry skazane na bezpłodność.

Meteor zbliża się do ziemi, tylko z mojej woli i spadnie u mnie, należy zatem do mnie”.

— I ten telegram nie jest podpisany? — zapytał delegat angielski.

— Nie.

— W takim razie nie ma podstaw, by go brać w rachubę — oświadczył reprezentant Niemiec.

— Takie jest i moje zdanie — zgodził się przewodniczący — i sądzę, że postąpię zgodnie z jednomyślną opinią moich kolegów składając po prostu ten dokument w archiwum Konferencji. Czy jesteście tego samego zdania, panowie? Nie ma sprzeciwów? A więc, panowie, posiedzenie trwa.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

w którym wdowa Thibaut,
porywając się nierozważnie
na najwyższe problemy
mechaniki niebieskiej,
dostarcza poważnych trosk
bankierowi Robertowi
Lecoeur

Niektórzy twierdzą, że postęp w obyczajach ludzkich spowoduje stopniowe zniknięcie synekur. Wierzymy im na słowo. W każdym razie w epoce dziwnych zdarzeń, z których zdajemy tu sprawę, istniała co najmniej jedna synekura.

Należała ona do wdowy Thibaut, byłej rzeźniczki, prowadzącej gospodarstwo pana Zefiryna Xirdala. Obowiązki wdowy Thibaut polegały jedynie na sprzątaniu sypialni uczonego dziwaka. Otóż umeblowanie tego pokoju zredukowane było do rzeczy najkonieczniejszych i utrzymanie ich w porządku nie mogło być uważane za trzynastą pracę Herkulesa. Reszta mieszkania wymykała się w większej części spod kompetencji gospodyni. Szczególnie w drugim pokoju obowiązywał ją absolutny zakaz dotykania pod jakimkolwiek pretekstem stosów papieru, które gromadziły się pod ścianami, a ruchy jej szczotki miały, w myśl wyraźnej umowy, ograniczać się do małego kwadratu na środku, gdzie podłoga świeciła nagością.

Wdowa Thibaut, obdarzona wrodzoną skłonnością do porządku i czystości, cierpiała nad chaosem, który otaczał

kwadrat posadzki jak ogromne morze oblewające małą wysepkę. Pożerało ją ustawiczne pragnienie przeprowadzenia generalnych porządków. Pewnego razu, znalazłszy się sama w mieszkaniu, ośmieliła się nawet zabrać do dzielą. Lecz Zefiryn Xirdal wrócił niespodzianie i wpadł w taką wściekłość, a twarz jego, zazwyczaj dobroduszna, zdradzała taką krwiożerczość, że wdowa Thibaut nie mogła pozbyć się przez tydzień nerwowego drżenia. Od tej chwili nie zaryzykowała nigdy wtargnięcia na terytorium wyjęte spod jej jurysdykcji.

Liczne przeszkody, które odbierały pole do popisu jej zawodowym talentom, sprawiały, że wdowa Thibaut nie miała prawie nic do roboty. Mimo to spędzała codziennie dwie godziny u swego chlebodawcy — tak właśnie nazywała Zefiryna Xirdala w sposób, który uważała za wyrafinowanie uprzejmy — przy czym siedem kwadransów poświęconych było na rozmowę, a raczej pełen wytworności monolog.

Obok bowiem wielu innych zalet wdowa Thibaut odznaczała się zadziwiająco płynną wymową. Niektórzy uważali ją nawet za fenomenalną gadułę, ale była to czysta złośliwość. Lubiła mówić — oto wszystko.

Nie znaczy to, by dawała się ponosić wyobraźni. Zazwyczaj świetność rodziny, do której należała, stanowiła temat jej początkowych przemówień. Rozpoczynając z kolei rozdział o nieszczęściach, które ją nawiedziły, tłumaczyła, jak fatalny zbieg okoliczności może rzeźniczkę przeobrazić w służącą. Nie było ważne, czy słuchacz znał już tę rozdzierająco smutną historię. Wdowa Thibaut odczuwała przy jej opowiadaniu zawsze tę samą przyjemność. Wyczerpawszy ten przedmiot, rozprawiała o osobach, u których służy lub służyła. Porównywała poglądy, zwyczaje i sposób bycia Zefiryna Xirdala z tym, co widziała u innych, i rozdzielała bezstronnie nagany oraz pochwały.

Jej pan, nie odpowiadając nigdy, okazywał niewzruszoną cierpliwość. Co prawda, zagubiony w swych marzeniach, nie słyszał tej gadaniny, co, nawiasem mówiąc, zmniejsza ogromnie jego zasługę. Tak czy owak, wszystko szło w ten sposób

doskonale od wielu lat; ona ciągle mówiła, on nigdy nie słuchał; przy czym oboje byli nadzwyczaj z siebie zadowoleni.

Trzydziestego maja wdowa Thibaut weszła, jak codziennie, o godzinie dziewiątej rano do Zefiryna Xirdala. Ponieważ uczony wyjechał w przeddzień ze swym przyjacielem Marcelim Leroux, mieszkanie było puste.

Wdowa Thibaut nie zdziwiła się tym nadmiernie. Długa seria poprzednich eskapad przyzwyczaiła ją do nagłych zniknięć pracodawcy. Trochę tylko niezadowolona, że pozbawiono ją audytorium, zabrała się jak zwykle do sprzątania.

Ukończywszy porządkowanie sypialni przeszła do drugiego pokoju, który nazywała pompatycznie gabinetem. Tam doznała silnego wstrząsu.

Niezwykły przedmiot, rodzaj czarniawej skrzyni, zmniejszał poważnie powierzchnię kwadratu podłogi zastrzeżonego dla jej szczotki. Co to miało znaczyć? Wdowa Thibaut, zdecydowana nie tolerować takiego zamachu na jej prawa, przesunęła pewną ręką dziwny przedmiot, po czym zabrała się spokojnie do swej zwykłej roboty.

Będąc przygłucha, nie słyszała brzęczenia wydobywającego się ze skrzyni. Również niebieskawe światło reflektora było tak słabe, że uszło jej roztargnionemu spojrzeniu. W pewnym jednak momencie zmuszona była zwrócić uwagę na dziwny fakt. Gdy przechodziła przed metalowym reflektorem, gwałtowne pchnięcie rzuciło ją na posadzkę. Wieczorem, rozbierając się, spostrzegła ze zdziwieniem, że wspaniały siniak zdobi jej prawe biodro. Zdziwiło ją to bardzo, gdyż upadła na lewy bok. Ponieważ jednak przypadek nie sprowadził jej ponownie w zasięg działania reflektora, zjawisko się nie powtórzyło i pani Thibaut nie widziała związku między tym wypadkiem a skrzynią przesuniętą jej zuchwałą ręką. Przypuszczała, że się pośliznęła, i nie zastanawiała się nad tym więcej.

Wdowa Thibaut, obdarzona silnym poczuciem obowiązku, nie zaniedbała po skończonym zamiataniu przesunąć skrzyni na dawne miejsce. Trzeba jej nawet oddać sprawiedliwość, że

starała się umieścić ją dokładnie tam, gdzie się poprzednio znajdowała. Nie można brać jej za złe, że udało jej się to tylko częściowo i że wysłała niechcący mały walec wirującego kurzu w kierunku nieco odmiennym niż poprzednio.

Przez kilka następnych dni wdowa Thibaut postępowała tak samo. Dlaczegóż bowiem miałby człowiek zmieniać swoje zwyczaje, jeśli są uczciwe i chwalebne?

Trzeba jednak przyznać, że czarna skrzynia traciła stopniowo w oczach gospodyni wiele ze swego znaczenia, toteż z coraz mniejszą troskliwością umieszczała ją w pierwotnej pozycji po codziennym zamiataniu. Bez wątpienia przyciągała ją zawsze przed okno, gdyż tam właśnie pan Xirdal uznał za stosowne ją umieścić, lecz paszcza metalowego reflektora zwracała się w najrozmaitszych kierunkach. Jednego dnia wyrzucała walec kurzu nieco bardziej na lewo, następnego — nieco na prawo. Wdowa Thibaut nie widziała w tym nic złego i nie podejrzewała, jak okrutne zgryzoty sprawiała J.B.K. Lowenthalowi jej fantastyczna współpraca. Raz nawet obróciła przez nieuwagę reflektor na osi i nie widziała nic niestosownego w tym, że skierowany był wprost na sufit.

W takiej pozycji, to jest nastawioną na zenit, zastał Zefiryn Xirdal swą maszynę powróciwszy do siebie dziesiątego czerwca wczesnym popołudniem.

Pobyt jego nad morzem przeszedł nadzwyczaj przyjemnie i byłby się, być może, jeszcze przedłużył, gdyby w jakieś dziesięć dni po wyjeździe pan Xirdal nie wpadł na szczególny pomysł — zmiany bielizny. Kaprys ten zmusił go do otworzenia paczki, w której ku wielkiemu swemu zdziwieniu znalazł dwadzieścia siedem słoików o szerokich szyjkach. Zefiryn Xirdal wytrzeszczył oczy. Co tu robi dwadzieścia siedem słoików? Ale wkrótce poszczególne ogniwa zaczęły mu się łączyć w pamięci w jeden łańcuch — przypomniał sobie swój projekt stosu elektrycznego, projekt tak pasjonujący i tak kompletnie zapomniany.

Wymierzywszy sobie tytułem kary kilka solidnych ciosów pięścią, pośpieszył zapakować na nowo dwadzieścia siedem

słoików i opuszczając Marcelego Leroux wskoczył do pociągu, który zawiózł go wprost do Paryża.

Można się było obawiać, że Zefiryn Xirdal straci z oczu w czasie jazdy naglący powód swego powrotu. Nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego. Pewien wypadek przywrócił mu jednak pamięć, gdy wysiadł na dworcu Saint-Lazare.

Tak starannie zapakował swą paczkę ze słoikami że pękła ona w tym właśnie momencie, a zawartość jej wypadła na asfalt tłukąc się ze straszliwym hałasem. Dwieście osób odwróciło się podejrzewając zamach anarchistyczny. Dostrzegły tylko Zefiryna Xirdala, wpatrzonego *z* osłupieniem w ten obraz klęski.

Katastrofa przyniosła tę przynajmniej korzyść, że przypomniała właścicielowi zgasłych przedwcześnie słoików, w jakim celu wrócił do Paryża. Po drodze do domu Zefiryn wstąpił do sklepu z artykułami chemicznymi i nabył dwadzieścia siedem nowych słoików, po czym poszedł do stolarza, gdzie zamówiona podstawa oczekiwała go na próżno od dziesięciu dni.

Obładowany paczkami, drżąc z niecierpliwości, by rozpocząć na nowo doświadczenia, otworzył z pośpiechem drzwi. Stanął jednak na progu jak wryty, gdy dostrzegł swą maszynę z reflektorem skierowanym w stronę sufitu.

Fala wspomnień sprzed kilkunastu dni zalała pamięć Zefiryna Xirdala. Zmieszał się tak bardzo, że wypuścił z bezsilnych rąk obydwie paczki. Paczki te, posłuszne prawu ciężkości, skierowały się bez wahania w prostej linii ku środkowi ziemi. Byłyby niewątpliwie dotarły do miejsca przeznaczenia, gdyby nie zostały, na nieszczęście, zatrzymane przez podłogę, na której podstawka rozbiła się na dwa kawałki, a dwadzieścia siedem słoików stłukło się z wielkim hałasem. Pięćdziesiąt cztery słoiki w niecałą godzinę! W tym tempie Zefiryn Xirdal wyczerpałby lekko swój rachunek bankowy, który wykazywał tak skandaliczną przewagę pozycji po stronie dochodów.

Znakomity rozbijacz szkła nie dostrzegł nawet katastrofy. Stojąc nieruchomo na progu, patrzył zamyślonym wzrokiem na swoją maszynę.

— Znać w tym rączkę pani Thibaut — rzekł decydując się wejść. Zdanie to świadczyło o niezwykłej przenikliwości.

Podniósłszy oczy odkrył na suficie i w dachu nad sufitem niewielką dziurkę, dokładnie na osi reflektora metalowego, w którego ognisku żarówka wirowała dalej jak szalona. Dziurka ta, średnicy ołówka, miała brzegi tak gładkie, jak gdyby ją wywiercono szewskim nożem.

Szeroki uśmiech rozjaśnił twarz Zefiryna Xirdala, którego to wszystko zaczynało bawić.

— Dobrze!… — szepnął. — Doskonale!

Trzeba było jednak działać. Pochyliwszy się nad maszyną, przerwał jej funkcjonowanie. Brzęczenie ustało natychmiast, niebieskawe światełko zgasło, żarówka zastygła po chwili w bezruchu.

— Pięknie… Wspaniale! — powtarzał Zefiryn Xirdal. — Muszą się dziać ładne rzeczy!

Zerwał niecierpliwie opaski z piętrzących się na stole dzienników i przeczytał kolejno notatki, w których J.B.K.

Lowenthal podawał do wiadomości całego świata niezrozumiałe fantazje whastońskiego bolidu. Zefiryn Xirdal skręcał się wprost ze śmiechu.

Natomiast lektura niektórych artykułów zmusiła go do gniewnego zmarszczenia brwi. Co znaczyła ta Konferencja Międzynarodowa, której pierwsze posiedzenie po kilku zebraniach przygotowawczych było właśnie zapowiedziane na ten dzień? Po cóż zajmować się przyznawaniem prawa własności do meteoru? Czy nie należał on do tego, kto ściągał go na ziemię i bez którego byłby wiecznie krążył w przestrzeni?

Zefirynowi Xirdalowi przyszło jednak na myśl, że nikt nie wiedział o jego roli w tej sprawie. Należało więc wszystko wyjaśnić, by Konferencja Międzynarodowa nie traciła czasu na bezpłodne prace.

Torując sobie drogę wśród szczątków dwudziestu siedmiu słoików pobiegł do najbliższego urzędu pocztowego, skąd wysłał depeszę, którą pan Harvey miał przeczytać z wysokości prezydialnego fotela. Nie było naprawdę niczyją winą, jeśli przez roztargnienie, niedziwne u tego człowieka, zapomniał podpisać depeszę swoim nazwiskiem.

Po nadaniu telegramu Zefiryn Xirdal powrócił do siebie. Sprawdził w przeglądzie naukowym, jak wyglądały wędrówki meteoru, po czym, wygrzebawszy po raz drugi swoją lunetę, dokonał znakomitych obserwacji, które stały się podstawą nowych obliczeń.

W środku nocy, zdobywszy potrzebne dane, wprawił swą maszynę z powrotem w ruch i puścił w przestrzeń energię promienistą nadając jej odpowiednie natężenie i kierunek; w pół godziny później zatrzymał maszynę, położył się spokojnie i zasnął snem sprawiedliwego.

Od dwu dni Zefiryn Xirdal przeprowadzał doświadczenia; właśnie zatrzymał swą maszynę po raz trzeci tego popołudnia, gdy zapukano do drzwi. Otworzywszy spotkał się oko w oko z bankierem Robertem Lecoeur.

— Jesteś nareszcie! — zawołał gość przekraczając próg.

— Jak wuj widzi — odparł Zefiryn Xirdal.

— Chwała Bogu! — rzekł pan Lecoeur. — Czy wiesz, który raz wspinam się niepotrzebnie na twoje szóste piętro? Gdzie ty się, do diabła, podziewałeś?

— Wyjeżdżałem — odpowiedział Xirdal, mimo woli rumieniąc się lekko.

— Wyjeżdżałeś! — wykrzyknął pan Lecoeur z oburzeniem. — Ależ to wstrętne! Nie naraża się ludzi na podobny niepokój!

Zefiryn Xirdal popatrzył ze zdumieniem na ojca chrzestnego. Wiedział niewątpliwie, że może liczyć na jego przywiązanie. Ale do tego stopnia?...

— Ależ, wuju, dlaczegóż to miało wuja niepokoić? — zapytał.

— Dlaczego mnie miało niepokoić? — powtórzył bankier. — Nie wiesz, nieszczęsny, że cały mój majątek zależy od ciebie?

— Nie rozumiem — wyznał Zefiryn siadając na stole i ofiarowując gościowi jedyne krzesło.

— Gdyś mnie zaznajomił z twymi fantastycznymi projektami — podjął pan Lecoeur — przekonałeś mnie w końcu, przyznaję.

— Ba! — mruknął Xirdal.

— Dlatego stawiałem na upadek meteoru i grałem na giełdzie na zniżkę.

— Na zniżkę?

— Tak. Zacząłem sprzedawać.

— Co sprzedawać?

— Kopalnie złota. Rozumiesz, że jeśli meteor spadnie, spadnie też poziom kopalni i…

— Jak to? Coraz mniej rozumiem — przerwał Xirdal. — Nie widzę, jaki wpływ może mieć moja maszyna na poziom kopalni.

— Nie kopalni — przyznał pan Lecoeur — lecz akcji kopalni.

— Niech będzie — ustąpił Xirdal nie nalegając dłużej.— Sprzedawał więc wuj akcje kopalni złota. To nie jest takie ważne. To tylko dowodzi, że wuj ma te akcje.

— Przeciwnie. Nie mam ani jednej. Xirdal osłupiał.

— Sprzedawać, czego się nie ma, to prawdziwa sztuka. Ja bym tego nie potrafił.

— To się nazywa interes terminowy, mój drogi Zefirynie — wytłumaczył bankier. — Gdy trzeba będzie dostarczyć akcji nabywcom, kupię je. To wszystko.

— Jaki więc zysk? Sprzedać, by kupić, to nie wydaje się na pierwszy rzut oka pomysłowe.

— Tu się właśnie mylisz, gdyż w tym momencie akcje kopalni będą tańsze.

— A dlaczego miałyby potanieć?

— Gdyż meteor rzuci w obieg więcej złota, niż go w tej chwili zawiera Ziemia. Wartość złota zmniejszy się zatem co najmniej o połowę i dlatego akcje kopalni spadną do zera lub prawie do zera. Zrozumiałeś teraz?

— W zupełności — odrzekł bez przekonania Xirdal.

— Z początku Byłem zadowolony z tego, żem ci zaufał. Poważne zaburzenie w ruchu meteoru, jego upadek zapowiedziany jako całkowicie pewny — spowodowały pierwszą, 25-procentową zniżkę kursu. Zachęcony tym i przekonany, że zniżka jeszcze się powiększy, zaangażowałem się na jeszcze Większą sumę.

— To znaczy?

— To znaczy, że sprzedałem znacznie większą ilość kopalni złota.

— Ciągle ich nie mając?

— Oczywiście… Możesz więc sobie wyobrazić mój niepokój, gdy stwierdziłem, co się dzieje; ty znikasz, meteor przestaje spadać i rozbija się po całym niebie. W rezultacie kor palnie idą w górę, a ja tracę olbrzymie sumy. Co chcesz, żebym o tym pomyślał?

Zefiryn Xirdal patrzył z ciekawością na swego ojca chrzestnego. Nigdy nie widział tego opanowanego człowieka w stanie tak wielkiego wzburzenia.

— Nie bardzo zrozumiałem kombinację wuja — rzekł wreszcie. — Te historie są dla mnie za trudne. Zdaje mi się jednak, żem zrozumiał, iż byłoby wujowi na rękę, gdyby bolid spadł. A więc, proszę się uspokoić, meteor spadnie.

— Możesz mnie o tym zapewnić?

— Zapewniam wuja.

— Formalnie?

— Formalnie. Ale czy wuj ze swej strony zakupił mój teren?

— Naturalnie! — odpowiedział pan Lecoeur. — Jesteśmy w porządku. Mam kontrakt w kieszeni.

— No, to doskonale — pochwalił Zefiryn. — Mogę nawet powiadomić wuja, że moje doświadczenie skończy się piątego lipca. Tego dnia opuszczę Paryż i pojadę na spotkanie bolidu.

— Który spadnie?

— Który spadnie.

— Pojadę z tobą! — zawołał pan Lecoeur z entuzjazmem.

— Jeśli to wujowi dogadza — odrzekł Zefiryn.

Nie wiemy, czy powodowało nim poczucie odpowiedzialności w stosunku do pana Lecoeur, czy też ogarnęła go całkowicie pasja odkrywcza — w każdym razie coś podziałało korzystnie na młodego uczonego i nie dozwoliło mu narobić nowych głupstw. Systematycznie prowadził dalej rozpoczęte doświadczenie i tajemnicza maszyna działała aż do piątego lipca nieco więcej niż czternaście razy na dobę.

Od czasu do czasu Zefiryn Xirdal obserwował meteor. Mógł się w ten sposób upewnić, że wszystko odbywa się bez przeszkód i zgodnie z jego przewidywaniami.

Rankiem piątego lipca skierował po raz ostatni swój obiektyw ku niebu.

— Gotowe — rzekł odsuwając się od przyrządu. — Teraz można zostawić sprawę jej własnemu biegowi.

Natychmiast zajął się przygotowaniem bagażu. Na pierwszy ogień poszła maszyna wraz z kilkoma zapasowymi żarówkami i lunetą. Owinął je z wielką zręcznością i zabezpieczył watowanymi pokrowcami przeciw ewentualnym wypadkom w podróży. Następnie przyszła kolej na rzeczy osobiste.

Poważna trudność o mało nie zatrzymała go zaraz na początku przygotowań. Jak spakować przedmioty, które by należało zabrać? W kufer? Zefiryn Xirdal nie miał go nigdy. A więc walizka?

Po głębokim namyśle przypomniał sobie, że istotnie powinien mieć walizkę. A dowodem, że ją rzeczywiście posiadał, było to, że znalazł ją, nie bez pracowitych poszukiwań, w głębi ciemnej komórki, gdzie wznosił się bezładny stos gratów, odpadków jego życia domowego, wśród których najuczeńszy antykwariusz nie mógłby się rozeznać.

Walizka, którą Zefiryn Xirdal wyciągnął na światło dzienne, była niegdyś pokryta płótnem. Nie można było o tym wątpić, skoro kilka skrawków tej tkaniny przylegało jeszcze do tekturowego szkieletu. Czy posiadała ona kiedyś rzemienie? Prawdopodobnie, lecz nie na pewno, gdyż nie pozostał żaden ślad po nich.

Zefiryn Xirdal otworzył walizkę na środku pokoju i długo stał zamyślony przed pustym jej wnętrzem. Co ma do niej włożyć?

— Tylko rzeczy niezbędne — nakazał sam sobie. — Należy działać metodycznie i dokonać rozumnej selekcji.

W myśl tej zasady rozpoczął od złożenia w niej trzech butów. W przyszłości miał żałować, że z tych trzech jeden był, nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności, trzewikiem zapinanym na guziki, drugi sznurowanym półbucikiem, a trzeci rannym pantoflem. Ale w tej chwili nie widział w tym nic nieodpowiedniego, a znaczna część walizy została zapełniona. Przynajmniej jeden kłopot z głowy!

Spakowawszy obuwie Zefiryn Xirdal, bardzo zmęczony, otarł czoło. Po czym zaczął znowu rozmyślać. Rezultatem tych rozważań była. niejasna świadomość własnej niższości w trudnej sztuce pakowania. Dlatego nie mając nadziei osiągnięcia czegokolwiek metodą klasyczną, postanowił zaufać; natchnieniu.

Czerpał więc pełnymi garściami z szuflad oraz ze stosów ubrania, które stanowiły jego garderobę. Wkrótce zbiór różnorodnych przedmiotów wylewał się poza brzegi tej przegródki w walizce, do której były wrzucone. Możliwe, że druga przegródka została pusta, lecz Zefiryn nic o tym nie wiedział. Dlatego musiał energicznie upchać swój ładunek obcasami, osiągając w ten sposób dostateczną harmonię między, objętością kufra a jego zawartością.

Walizka została następnie opasana mocnym sznurem, związanym serią węzłów tak skomplikowanych, że ich twórca nie mógł ich potem rozplatać. Następnie przyjrzał się swemu dziełu z pełną zarozumiałości satysfakcją.

Pozostawało teraz udać się na dworzec. Mimo że Zefiryn Xirdal był nieustraszonym piechurem, nie mógł jednak myśleć o tym, by transportować pieszo swą maszynę, lunetę i walizkę. Co za kłopoty!

Można przypuścić, że ostatecznie byłby odkrył istnienie paryskich dorożek. Ale ten wysiłek intelektualny został mu oszczędzony. Pan Robert Lecoeur ukazał się na progu.

— No, jak tam? — zapytał. — Jesteś gotowy, Zefirynie?

— Oczekiwałem wuja, jak wuj widzi — odpowiedział pogodnie Xirdal, który zupełnie zapomniał, że jego ojciec chrzestny ma jechać z nim razem.

— A więc w drogę! — rzekł pan Lecoeur. — Ile masz pakunków?

— Trzy: maszyna, luneta i walizka.

— Daj mi jeden, a weź dwa pozostałe. Mój powóz czeka na dole.

— Świetna myśl! — wykrzyknął z zachwytem Zefiryn Xirdal zamykając za sobą drzwi.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

w którym J.B.K. Lowenthal wskazuje, kto wygra wielki los

Od chwili gdy popełnili omyłkę wykrytą i napiętnowaną przez J.B.K. Lowenthala i ponieśli upokarzającą klęskę na Konferencji Międzynarodowej, panowie Dean Forsyth i doktor Hudelson wiedli niewesołe życie. Zapomniani, strąceni w szeregi zwykłych, bez znaczenia obywateli, nie mogli strawić obojętności publicznej, oni, którzy zaznali upojenia sławą.

W rozmowach z ostatnimi swymi wielbicielami pomstowali namiętnie przeciw zaślepieniu tłumu i bronili swej sprawy nieodpartymi argumentami. Jeśli popełnili omyłkę, czyż słusznie brano im to za złe? Czyż nawet ich surowy krytyk, uczony J.B.K. Lowenthal, nie pomylił się tak samo i nie musiał ostatecznie uznać swej bezsilności? Czyż nie należało stąd wyciągnąć wniosku, że ich bolid był wyjątkowy i anormalny? W tych warunkach czyż omyłka nie była zupełnie naturalna i usprawiedliwiona?

— Na pewno! — potwierdzali ostatni wielbiciele.

A czyż można sobie wyobrazić coś bardziej krzywdzącego niż odmowa wymierzenia sprawiedliwości przez Konferencję Międzynarodową? Przedsięwzięto środki zmierzające do ocalenia ładu finansowego na świecie? Zgoda! Ale jak można było zaprzeczać odkrywcy słusznych praw do meteoru? Czyż bez niego meteor nie byłby pozostał nie znany? Czyż upadek bolidu, jeśli spadnie on wreszcie na Ziemię, mógłby być przewidziany?

— A ten odkrywca, to ja! — twierdził energicznie pan Dean Forsyth.

— To ja! — twierdził ze swej strony z niemniejszą energią doktor Sydney Hudelson.

— Na pewno — zgadzali się znowu ostatni wielbiciele.

Chociaż ich aprobata stanowiła pewne pocieszenie dla obydwóch astronomów, nie mogła ona zastąpić entuzjastycznych oklasków tłumu. Skoro jednak było materialną niemożliwością przekonywać kolejno wszystkich przechodniów, musieli się z konieczności zadowolić skromnym kadzidłem znacznie przerzedzonych wielbicieli.

Doznane niepowodzenia nie zmniejszały ich zapału. Przeciwnie! Im bardziej kwestionowano ich prawa do bolidu, tym bardziej upierali się je rewindykować; im mniej serio traktowano ich pretensje, tym bardziej upierał się każdy z nich, by zaznaczać, że jest jedynym i wyłącznym właścicielem meteoru.

W tym stanie umysłów pogodzenie byłoby niemożliwe. Nie myślano więc o nim. Przeciwnie, każdy dzień zdawał się coraz bardziej rozdzielać parę nieszczęśliwych narzeczonych.

Panowie Forsyth i Hudelson zapowiadali głośno, że zamierzają protestować do ostatniego tchu przeciw rabunkowi, za którego ofiary się uważali. Zdecydowani byli apelować do sądów wszystkich instancji. Zapowiadało się więc wspaniałe przedstawienie. Pan Forsyth z jednej strony, doktor Hudelson z drugiej, a przeciw nim — reszta świata. Cóż to będzie za imponujący proces, jeśli się tylko znajdzie kompetentny trybunał!

Tymczasem dwaj byli przyjaciele, przemienieni w zaciętych wrogów, nie wychodzili z mieszkań. Samotni i nasrożeni, pędzili życie na platformach wieży i baszty. Stamtąd mogli śledzić meteor, który odebrał im zdrowy rozsądek; mogli się przekonać wiele razy w ciągu dnia, że zakreślał w dalszym ciągu w przestworzach swą świetlną orbitę. Rzadko zstępowali z tych wyżyn, gdzie byli przynajmniej zabezpieczeni przed najbliższym otoczeniem, którego zdeklarowana wrogość

dolewała jeszcze jedną kroplę do tych goryczy, którymi w mniemaniu astronomów poił ich świat.

Francis Gordon, związany tysiącem wspomnień z dzieciństwa, nie opuścił domu przy ulicy św. Elżbiety, lecz nie odzywał się wcale do wuja. Spożywano obiady i kolacje bez jednego słowa. Nawet Mitz nie otwierała ust i nie dawała ujścia swej soczystej wymowie. Dom był milczący i smutny jak klasztor.

U doktora Hudelsona stosunki rodzinne nie były przyjemniejsze. Loo dąsała się bezlitośnie mimo błagalnych spojrzeń ojca; Jenny płakała bez przerwy mimo perswazji matki. Ta ostatnia zadowalała się westchnieniami spodziewając się, że czas przyniesie lekarstwo na sytuację zarazem śmieszną i wstrętną.

Pani Hudelson miała słuszność, gdyż z czasem wszystko się układa. Trzeba jednak przyznać, że czas nie kwapił się zbytnio, by polepszyć sytuację obu nieszczęśliwych rodzin. Pan Forsyth i doktor Hudelson. nie byli niewrażliwi na atmosferę potępienia, którą wyczuwali wokół siebie, lecz potępienie to nie sprawiało im takiej przykrości, jakiej by doznawali w innych okolicznościach.

Wspólna mania uzbrajała ich w obojętność wobec wszystkiego, co nie dotyczyło bolidu. Ach, ten bolid! Jemu poświęcali całą miłość, do jakiej były zdolne ich serca, wszystkie myśli, wszelkie swoje aspiracje.

Z jakąż namiętnością czytali codziennie komunikaty J.B.K.

Lowenthala i sprawozdania z posiedzeń Konferencji Międzynarodowej! Tam byli ich wspólni wrogowie i przeciw nim byli wreszcie zjednoczeni w równej nienawiści.

Jakże więc żywa była ich satysfakcja, gdy dowiedzieli się, ile trudności piętrzyło się na drodze zgromadzenia przygotowawczego! A jeszcze żywsza, gdy pojęli, jak powoli i jak krętymi drogami ukonstytuowana ostatecznie Konferencja zmierzała ku układowi, który pozostawał problematyczny i niepewny.

W Waszyngtonie obrady szły rzeczywiście jak po grudzie. Już po drugim posiedzeniu Konferencji Międzynarodowej widać było, że doprowadzenie jej doniosłych prac do szczęśliwego końca kosztować będzie wiele wysiłku. Mimo głębokiego przestudiowania sprawy w podkomisjach wydawało się od początku, że bardzo trudno będzie dojść do porozumienia.

Pierwsza określona propozycja przyznawała meteor krajowi, na którego teren spadnie. Było to sprowadzenie całej sprawy do loterii, w której byłaby tylko jedna wygrana — i to jaka!

Propozycja ta, wysunięta przez Rosję i podtrzymana przez Anglię i Chiny, a więc przez państwa o rozległych terytoriach, spowodowała to, co nazywamy w języku parlamentarnym „poruszeniem na sali". Inne państwa objawiły wielkie niezadowolenie. Trzeba było przerwać posiedzenie. Nastąpiły tajne spotkania, kuluarowe intrygi… Wreszcie, aby opóźnić przynajmniej kłopotliwe głosowanie, przyjęto wniosek o odroczenie, zgłoszony przez Szwajcarię.

Miało się więc dyskutować nad takim rozwiązaniem dopiero w wypadku, gdyby nie można się było porozumieć co do sprawiedliwego podziału.

Lecz w jaki sposób ustalić w podobnej materii pojęcia sprawiedliwości czy niesprawiedliwości? Problem niezmiernie drażliwy! Konferencja Międzynarodowa mnożyła na próżno posiedzenia, dyskusja nie doprowadziła do sprecyzowania opinii w tej sprawie. Niektóre zebrania były tak burzliwe, że pan Harvey musiał wkładać Kapelusz i opuszczać fotel prezydialny.

Gest ten wystarczał dotychczas dla uspokojenia wzburzonego zgromadzenia — ale czyż tak będzie zawsze? Można było wątpić, sądząc z podniecenia umysłów i gwałtowności wymienianych słów. W istocie zdenerwowanie ogólne dochodziło do takiego nasilenia, że można było przewidywać konieczność użycia siły zbrojnej. Wyrządziłoby to wielką szkodę powadze państw suwerennych, reprezentowanych na Konferencji.

Jednakże taki skandal byłby zgodny z logiką faktów. Nie było powodu, by szaleństwo miało się uspokoić. Przeciwnie, będzie przypuszczalnie rosło, gdyż według codziennych komunikatów J.B.K. Lowenthala upadek bolidu był z każdym dniem prawdopodobniejszy.

Po dziesięciu pełnych podniecenia notatkach, które zdawały równocześnie sprawę z oszałamiającego tańca meteoru i z rozpaczy jego obserwatora, ten ostatni jak gdyby się opanował. W nocy z jedenastego na dwunasty czerwca odzyskał nagle spokój, stwierdziwszy, że meteor porzucił swe fantastyczne wędrówki i został na nowo poddany sile regularnie działającej i stałej, nie znanej co prawda, ale nie sprzecznej z wszelkim rozumowaniem. Od tej chwili J.B.K. Lowenthal, zastrzegając sobie na później zbadanie, dlaczego obserwowane ciało niebieskie zachowywało się przez okres dziesięciu dni, jakby zostało tknięte szaleństwem, powrócił do stanu pogody ducha, będącego przywilejem matematyków.

Za jego pośrednictwem świat został bezzwłocznie poinformowany o powrocie do normalnego stanu. I od tego dnia codzienne komunikaty rejestrowały stale powolną zmianę drogi meteoru, którego orbita zaczęła znów przybierać kierunek północny wschód — południowy zachód; jego odległość od Ziemi zmniejszała się też coraz szybciej. J.B.K. Lowenthal nie zdołał jednak ustalić, według jakich praw następowała ta progresja. Prawdopodobieństwo upadku stawało się więc coraz większe. Jeśli nie była to jeszcze pewność, zbliżano się do niej codziennie.

Jakiż to potężny bodziec dla Konferencji Międzynarodowej, by przyśpieszyć zakończenie obrad!

Uczony dyrektor obserwatorium w Bostonie okazał się w swych ostatnich komunikatach, od pierwszego do czternastego lipca, jeszcze śmielszy w przepowiedniach. Równocześnie informował w słowach coraz wyraźniejszych, że nastąpiła nowa, a bardzo doniosła zmiana w ruchu bolidu i że według wszelkiego prawdopodobieństwa publiczność zostanie niebawem powiadomiona o konsekwencjach tej zmiany.

Tego właśnie dnia, czternastego lipca, Konferencja Międzynarodowa znalazła się w ślepym zaułku. Ponieważ odrzucono kolejno wszystkie dyskutowane kombinacje, brakowało teraz materii do dyskusji. Delegaci patrzyli na siebie z zakłopotaniem. Z którego końca uchwycić problem podejmowany wielokrotnie ze wszystkich punktów widzenia?

Już na pierwszych posiedzeniach odrzucono podział miliardów meteorycznych między wszystkie państwa, proporcjonalnie do powierzchni ich terytorium. A jednak takie rozwiązanie szanowało zasadę sprawiedliwości, do której rzekomo dążono. Państwa o wielkiej powierzchni mają przecież więcej potrzeb, przy czym zgadzając się na podział, poświęcają poważne szanse zagarnięcia całego skarbu, za co powinny otrzymać rekompensatę. Mimo to wymieniona metoda została ostatecznie odrzucona wskutek nieprzezwyciężonej opozycji krajów o gęstym zaludnieniu.

Te ostatnie zaproponowały natychmiast, by dokonać podziału nie według kilometrów kwadratowych powierzchni, lecz według liczby mieszkańców. Ten system, który zawierał też pewną dozę słuszności, jako zgodny z wielką zasadą równości praw między ludźmi, był zwalczany przez Rosję, Brazylię, Argentynę i kilka innych krajów o rzadkim zaludnieniu.

- Prezydent Harvey, gorący zwolennik doktryny Monroego, nie mógł nie przyłączyć się do zdania dwóch republik amerykańskich i jego wpływ zadecydował o wyniku głosowania. Dwudziestu wstrzymujących się i dziewiętnaście głosów przeciw przechyliło szalę i wniosek nie przeszedł.

Rządy znajdujące się w złej sytuacji finansowej — lepiej ich nie wymieniać — podsunęły wtedy, że byłoby rzeczą słuszną rozdzielić złoto, które spadnie z nieba, w taki sposób, by los wszystkich mieszkańców planety był, w miarę możności, zrównoważony. Odpowiedziano na to bezzwłocznie, iż ten system, tracący socjalizmem, premiowałby lenistwo i wymagał podziału tak skomplikowanego, że trzeba go uważać za praktycznie niewykonalny. Nie przeszkodziło to innym mówcom dążyć do jeszcze większych komplikacji; proponowali

oni, wnosząc poprawki do poprzednich projektów, by uwzględnić trzy elementy: powierzchnię, ludność i bogactwo, wyznaczając dla każdego z nich współczynnik zgodny ze sprawiedliwością.

Sprawiedliwość! To słowo było na ustach wszystkich. Mniej pewne jest, czy znajdowało się ono w głębi serc, i dlatego niewątpliwie rozwiązanie to zostało odrzucone podobnie jak poprzednie, ponieważ każdy liczył, że czas będzie pracował na jego korzyść.

To ostatnie głosowanie odbyło się czternastego lipca i wtedy właśnie delegaci spojrzeli na siebie z zakłopotaniem. Znaleźli się wobec pustki.

Rosja i Chiny uznały ten moment za odpowiedni, by wskrzesić, łagodząc jednak jej rygorystyczność, propozycję pogrzebaną na początku przez wniosek o odroczenie. Te dwa państwa zaproponowały więc, by miliardy niebieskie przyznać temu narodowi, którego terytorium zostanie wybrane przez los, ale z obowiązkiem zapłacenia innym krajom odszkodowania w wysokości tysiąca franków na obywatela.

Delegaci byli już tak zmęczeni, że układ zostałby może przyjęty tego samego wieczora, gdyby nie sprzeciw Republiki Andorskiej. Jej reprezentant, pan Ramontcho, rozpoczął nieskończenie długie przemówienie, które byłoby trwało do dziś, gdyby przewodniczący, stwierdzając absolutną pustkę na ławach delegatów, nie zdecydował się zamknąć obrad i odłożyć do dnia następnego dalszego ciągu dyskusji.

Jeżeli Andora, zwolenniczka sposobu podziało opartego wyłącznie na liczbie ludności, sądziła, że prowadzi zręczną politykę udaremniając natychmiastowe głosowanie nad propozycją Rosji, republika ta bardzo się myliła. Podczas gdy ostatni projekt zapewniał jej jeszcze, w każdym razie, cenne korzyści, ryzykowała obecnie, że nie otrzyma ani centyma; smutny rezultat, na który nie liczył pan Ramontcho tracąc tak piękną okazję, by trzymać język za zębami.

Piętnastego lipca rano miał się rzeczywiście wydarzyć fakt, który mógł zdyskredytować prace Konferencji

Międzynarodowej i wykluczyć jej pomyślne zakończenie. Jeśli dopuszczalne było dyskutowanie wszelkich możliwych sposobów podziału tak długo, dopóki nie znano miejsca, w którym bolid spadnie, czyż można było kontynuować dyskusję wtedy, gdy się ta niewiedza skończyła? Czyż jest rzeczą słuszną, już po zakończeniu ciągnienia, żądać podziału od tego, kto wygrał wielki los?

Jedno było w każdym razie pewne: że taki podział nie dokona się teraz polubownie. Nigdy kraj uprzywilejowany przez los nie zgodzi się na to dobrowolnie. Nigdy też nie weźmie już udziału w pracach Konferencji Międzynarodowej pan Schnack, delegat Grenlandii, szczęśliwy wygrywający, któremu w codziennym swym komunikacie J.B.K. Lowenthal przyznawał tego ranka wędrowne miliardy.

„Od dziesięciu dni — pisał uczony dyrektor obserwatorium w Bostonie — mówiliśmy już kilkakrotnie o poważnej zmianie w ruchu meteoru. Wrócimy dziś do tego z większą dokładnością, gdyż czas, który minął, przekonał nas o definitywnym charakterze tej zmiany, a obliczenia pozwalają określić jej skutki.

Zmiana polega na tym, że od piątego lipca siła działająca na bolid przestała się objawiać. Począwszy od tego dnia nie stwierdzono już najmniejszego odchylenia orbity i bolid zbliżył się do Ziemi ściśle w takim stopniu, jaki mu narzucają otaczające go warunki. Jest dziś odległy od Ziemi mniej więcej o pięćdziesiąt kilometrów.

Z zastrzeżeniem, że mogą nastąpić nieoczekiwane komplikacje (uprzednie wydarzenia nie pozwalają nam odrzucać i takiej hipotezy), już obecnie jesteśmy w stanie stwierdzić, co następuje:

1) bolid spadnie;

2) upadek nastąpi dziewiętnastego sierpnia między godziną drugą a jedenastą rano;

3) wydarzy się w promieniu dziesięciu kilometrów od miasta Upernivik na Grenlandii.

Gdyby bankier Robert Lecoeur mógł znać ten komunikat J.B.K, Lowenthala, byłby miał powód do zadowolenia. Rzeczywiście zaledwie wiadomość się rozeszła, nastąpił krach na wszystkich giełdach i akcje terenów złotonośnych Starego i Nowego Świata spadły o cztery piąte swej wartości.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

w którym widzimy wielką ilość ciekawych korzystających z okazji, by pojechać na Grenlandią i oglądać upadek niezwykłego meteoru

Dwudziestego siódmego lipca rano liczny tłum asystował przy odjeździe parowca „Mozik", który opuszczał Charleston, wielki port Południowej Karoliny. Tak duży był napływ ciekawych pragnących udać się na Grenlandię, że od wielu dni nie było już ani jednej wolnej kabiny na tym 1500-tonowym statku, choć nie on jeden był wynajęty do tego celu. Wiele innych parowców, należących do różnych narodowości miało popłynąć w górę Atlantyku aż do Cieśniny Davisa i Zatoki Baffina, poza granice Północnego Koła Podbiegunowego.

Napływ ten nie był. niczym osobliwym wobec stanu podniecenia umysłów od czasu opublikowania głośnego komunikatu J.B.K. Lowenthala.

Uczony ten astronom nie mógł się mylić. Skarciwszy tak ostro panów Forsytha i Hudelsona nie byłby się sam narażał na podobne zarzuty. Byłoby rzeczą niewybaczalną wypowiadać się lekkomyślnie w okolicznościach tak nadzwyczajnych. Astronom wiedział przecież, że mogłoby to wywołać ogólne oburzenie.

Należało więc uważać jego wnioski za pewne. Bolid nie miał spaść ani na niedostępne okolice podbiegunowe, ani w

otchłanie oceanów, skąd nie mógłby go wydostać żaden ludzki wysiłek. Nie, miał się roztrzaskać o ziemię Grenlandii.

Ten rozległy kraj, zależny niegdyś od Danii, która przyznała mu wielkodusznie niepodległość na kilka lat przed zjawieniem się bolidu, miał być wyróżniony przez los spośród wszystkich państw świata.

Prawda, że wyspa ta jest olbrzymia. Kula złota mogła spaść na punkt bardzo odległy od brzegu, o setki mil w kierunku wnętrza wyspy; wówczas bardzo trudno byłoby dotrzeć do niej. Oczywiście — jest to samo przez się zrozumiałe — pokonano by te trudności, zwyciężono by arktyczne mrozy i burze śnieżne, a w razie potrzeby dotarto by nawet do samego bieguna w pościgu za tysiącami miliardów.

Był to jednak przypadek bardzo szczęśliwy, że można było uniknąć takich wysiłków i że miejsce upadku mogło być określone z taką dokładnością. Grenlandia wystarczała wszystkim i nikt nie zazdrościł „lodowatej” sławy Parry'emu, Nansenowi czy innym żeglarzom przekraczającym najdalsze północne szerokości geograficzne.

Gdyby czytelnik płynął na „Moziku” wśród setek pasażerów, między którymi znajdowało się także kilka kobiet, byłby zauważył pięciu podróżnych, którzy nie są mu nie znani. Ich obecność, a przynajmniej obecność czterech Z nich, nie byłaby go wcale zdziwiła.

Jednym był pan Dean Forsyth, który w towarzystwie Omikrona płynął porzuciwszy wieżę przy ulicy św. Elżbiety, drugim pan Sydney Hudelson, który opuścił basztę przy ulicy Morissa.

Gdy tylko dobrze poinformowane linie żeglugowe zorganizowały podróże na Grenlandię, dwaj rywale nie wahali się kupić biletów na przejazd tam i z powrotem. Każdy z nich byłby nawet wynajął w razie potrzeby osobny statek do Uperniviku. Naturalnie nie mieli zamiaru zabrać bloku złota, przywłaszczyć go sobie i przywieźć do Whastonu. Jednakże uważali, że powinni się znaleźć na miejscu w chwili upadku meteoru.

Kto wie zresztą, czy rząd grenlandzki, wszedłszy w posiadanie bolidu, nie przyzna im części spadłych z nieba miliardów?

Zrozumiałe, że na „Moziku” pan Forsyth i doktor postarali się wynająć jak najdalej od siebie położone kabiny. W czasie żeglugi, podobnie jak i w Whastonie, nie chcieli utrzymywać żadnych stosunków.

Pani Hudelson nie sprzeciwiała się odjazdowi męża, a stara Mitz nie odradzała swemu panu podjęcia tej podróży. Doktor uległ jednak naglącym błaganiom swej starszej córki i zgodził się ją zabrać, zwłaszcza że smutek Jenny wywołany jego uporem skłaniał go do pobłażania i ustępliwości.

Nalegając tak bardzo, dziewczyna miała pewien cel na widoku. Rozłączona z Francisem Gordonem od czasu gwałtownych scen, które definitywnie poróżniły dwie rodziny, przypuszczała, iż będzie on towarzyszył swemu wujowi. Byłoby to prawdziwym szczęściem dla dwojga narzeczonych, gdyby mogli żyć tak blisko siebie, nie mówiąc już o okazjach do rozmowy, których bez wątpienia nie zabraknie w czasie podróży.

Wypadła wykazały, że rozumowała trafnie. Francis Gordon zdecydował się rzeczywiście towarzyszyć wujowi. Niewątpliwie w czasie nieobecności doktora nie chciał przekraczać jego formalnych zakazów i zachodzić na ulicę Morissa. Lepiej więc było wziąć udział w podróży, by w razie potrzeby pośredniczyć między dwoma przeciwnikami i wykorzystać każdą okazję, która by mogła zmienić ich opłakane stosunki. Być może, odprężenie nastąpi samo przez się po upadku bolidu albo dlatego, że stanie się on własnością narodu grenlandzkiego, albo też dlatego, że przepadnie w głębinach Oceanu Lodowatego. J.B.K. Lowenthal był ostatecznie tylko człowiekiem i mógł się pomylić. Czyż Grenlandia nie leżała między dwoma morzami? Wystarczyłoby więc odchylenie spowodowane przez jakąś okoliczność natury atmosferycznej, by przedmiot tylu pożądań wymknął się ludzkiej chciwości.

Osobistością, której by nie zadowoliło jakie rozwiązanie, był pan Ewald Schnack, delegat Grenlandii na Konferencję Międzynarodową, który znajdował się wśród pasażerów „Mozika”. Jego kraj miał się stać najbogatszym państwem świata. Kasy rządowe nie były dostatecznie liczne ani dość pojemne, by wchłonąć tyle trylionów!

Szczęśliwy naród, w którym nikt nie będzie płacił podatków i gdzie zostanie zlikwidowane ubóstwo! Wziąwszy pod uwagę mądrość rasy skandynawskiej można było przypuszczać, że ta olbrzymia masa złota będzie wydawana z największą roztropnością. Spodziewano się, że rynek pieniężny nie dozna zbyt wielkiego wstrząsu wskutek złotego deszczu, jakim Jowisz zalał niegdyś piękną Danae; jeśli wierzyć opowiadaniom mitologicznym.

Pan Schnack miał się stać główną osobą na pokładzie. Dean Forsyth i doktor Hudelson nikli wobec delegata Grenlandii. Pałali wspólną nienawiścią do reprezentanta państwa, które nie pozostawiało im żadnego udziału — choćby dla zadowolenia próżności — w ich nieśmiertelnym odkryciu.

Odległość z Charlestonu do Uperniviku można ocenić na trzy tysiące trzysta mil, to jest ponad sześć tysięcy kilometrów. Przebycie jej miało zająć około piętnastu dni, łącznie z postojem w Bostonie, gdzie „Mozik” zaopatrzyłby się w węgiel. Jeśli chodzi o zapasy żywności, zabrano ilość wystarczającą na przeciąg kilku miesięcy, jak to zrobiły i inne okręty zmierzające w tym samym kierunku, gdyż wskutek napływu ciekawych nie można było nikomu zapewnić utrzymania w Uperniviku.

„Mozik” podążył najpierw na północ, wzdłuż wschodniego wybrzeża Stanów Zjednoczonych. Lecz nazajutrz po wyjeździe, zostawiwszy za sobą przylądek Hatteras, najdalej wysunięty cypel Północnej Karoliny, wypłynął na pełne morze.

W lipcu pogoda jest zazwyczaj piękna na tych wodach Atlantyku i dopóki wiatr wiał z zachodu, parowiec, osłonięty brzegiem, ślizgał się po spokojnym morzu. Czasem jednak, na nieszczęście, zaczynało dąć z pełnego morza i wtedy kołysanie i falowanie powodowały swe zwykłe skutki.

Podczas gdy pan Schnack miał silny organizm, jak przystało na trylionera, inaczej przedstawiały się sprawy pana Forsytha i doktora Hudelsona. Była to ich pierwsza podróż morska i płacili Neptunowi hojny okup. Mimo to ani przez chwilę nie żałowali, że dali się wciągnąć w tę przygodę.

Nie trzeba dodawać, że niedyspozycja, skazująca astronomów na zupełną bezsilność, została wykorzystana przez parę narzeczonych, którzy nie ulegali morskiej chorobie. Tak więc nadrabiali stracony czas, gdy ojciec i wuj jęczeli żałośnie pod mdlącymi razami perfidnej Amfitryty. Narzeczem rozstawali się jedynie dla niesienia pomocy chorym. Jednak, nie bez pewnej wyrafinowanej chytrości, rozdzielili między siebie pracę. Gdy Jenny pocieszała pana Deana Forsytha, Francis Gordon tymczasem dodawał otuchy doktorowi Hudelsonowi.

Gdy kołysanie było słabsze, Jenny i Francis wyprowadzali dwóch nieszczęsnych astronomów z kabin na świeże powietrze, sadzali ich na wyplatanych fotelach na górnym pokładzie niezbyt daleko ód siebie, starając się stopniowo zmniejszać jeszcze ten dystans.

— Jak się pan czuje? — pytała Jenny okrywając pledem nogi pana Forsytha.

— Fatalnie! — wzdychał chory nie bardzo wiedząc, kto do niego mówi.

A Francis opierając doktora na wygodnie ułożonych poduszkach powtarzał uprzejmym tonem, jakby nigdy nie został wygnany z domu przy ulicy Morissa:

— Jak tam zdrowie, panie doktorze?

Dwaj rywale przebywali razem na pokładzie kilka godzin, mając tylko — niejasne pojęcie, że znajdują się obok siebie. Dla obudzenia w nich iskierki życia trzeba było, by pan Schnack przeszedł niedaleko, spokojny, stąpający pewnie jak majtek z bocianiego gniazda, który drwi z kołysania statku. Zadzierał nosa jak człowiek, który ma tylko złote sny i który wszystko widzi w złotych barwach. Słaby błysk pokazywał się wtedy w oczach pana Forsytha i pana Hudelsona, którzy znajdowali dość siły, by mruczeć nienawistnie pod nosem.

— Rabuś meteorów! — szeptał pan Forsyth.

— Złodziej bolidów! — szeptał pan Hudelson.

Pan Schnack nie zwracał na to uwagi; nie raczył nawet spostrzec ich obecności na pokładzie. Chodził tam i z powrotem pogardliwie, z pewnością siebie człowieka, który znajdzie w swym kraju więcej pieniędzy, niż potrzeba na stokrotne spłacenie długów publicznych całego świata.

Żegluga odbywała się jednak w warunkach na ogół pomyślnych. Można było przypuszczać, że inne statki, które wyruszyły z portów wschodniego wybrzeża, dążą na północ kierując się do Cieśniny Davisa, a inne jeszcze, o tym samym celu podróży, przepływają w tym momencie Atlantyk.

„Mozik” minął z daleka Nowy Jork i sterując na północo-wschód płynął ku Bostonowi. Rankiem trzydziestego lipca rzucił kotwicę przed stolicą stanu Massachusetts. Jeden dzień wystarczył, by zapełnić ładownię, co było konieczne, gdyż w Grenlandii nie można odnowić zapasów paliwa. Choć warunki żeglugi nie były najgorsze, większość pasażerów ucierpiała mocno z powodu morskiej choroby. Pięć czy sześć osób dało za wygraną i rezygnując z dalszej podróży wysiadło w Bostonie. Oczywiście nie był to ani pan Forsyth, ani doktor Hudelson. Gdyby mieli wyzionąć ducha wskutek kołysania okrętu we wszystkich kierunkach, wydaliby przynajmniej ostatnie tchnienie w pobliżu meteoru, przedmiotu swych namiętnych pragnień.

Rezygnacja mniej wytrzymałych pasażerów opróżniła kilka kabin „Mozika”. Nie zabrakło na nie amatorów, którzy skorzystali z tego, by wsiąść na statek w Bostonie. Można było wśród nich zauważyć pięknego mężczyznę, który zgłosił się jeden z pierwszych, by zamówić opróżnioną kabinę. Mężczyzną tym był Seth Stanfort, małżonek pani Arkadii Walker, zaślubiony jej, a następnie rozwiedziony w znanych nam okolicznościach przez sędziego Protha z Whastonu.

Po rozstaniu z żoną, od którego upłynęły już dwa miesiące, pan Stanfort wrócił do Bostonu. Pozostał jak dawniej wielkim miłośnikiem podróży, toteż skoro komunikat J.B.K. Lowenthala

zmusił go do zrezygnowania z wyjazdu do Japonii, zwiedził główne miasta Kanady: Quebec, Toronto, Montreal, Ottawę. Czyż chciał w ten sposób zapomnieć o swej byłej żonie? Wydawało się to mało prawdopodobne. Małżonkowie podobali się sobie zrazu, potem przestali się sobie podobać. Rozdzielił ich rozwód równie oryginalny jak małżeństwo. Powiedzieli sobie wszystko. Nie zobaczą się już nigdy, a jeśli się zobaczą, być może nie poznają się już nawzajem.

Pan Seth Stanfort natychmiast po przybyciu do Toronto dowiedział się o sensacyjnym komunikacie J.B.K. Lowenthala. Gdyby nawet upadek meteoru miał nastąpić w odległości tysięcy mil, w najdalszym zakątku Azji czy Afryki, dokonałby rzeczy niemożliwych, byle się tam udać. Nie dlatego, że interesował go szczególnie ten fenomen! Lecz asystować przy widowisku, które będzie oglądała jedynie ograniczona liczba osób, zobaczyć to, czego nie zobaczą miliony istot ludzkich, tego właśnie było potrzeba, by skusić żądnego przygód dżentelmena, któremu majątek pozwalał na najbardziej fantastyczne, wyprawy.

W dodatku nie chodziło tym razem o jazdę na antypody. Teatrem bajkowego widowiska miał być kraj leżący u wrót Kanady. Pan Stanfort wsiadł więc do pierwszego pociągu zdążającego do Quebec, potem zaś do tego, który pędził do Bostonu przez niziny Kanady i Nowej Anglii.

W czterdzieści osiem godzin po zajęciu kabiny przez tego dżentelmena „Mozik”, nie tracąc ziemi z oczu, przepłynął nie zawijając do portu obok Portsmouth, potem minął Portland w zasięgu jego semaforów. Może byłyby one w stanie dostarczyć wiadomości o bolidzie, który widać było obecnie gołym okiem, gdy rozpraszały się chmury. Lecz semafory milczały, a semafor z Halifaxu nie okazał się bardziej gadatliwy, gdy parowiec znalazł się naprzeciw tego wielkiego portu Nowej Szkocji.

Jakże musieli żałować pasażerowie, że zatoka Fundy, między Nową Szkocją a Nowym Brunszwikiem, nie otwierała drogi ani na wschód, ani na północ! Nie musieliby znosić gwałtownego kołysania, które męczyło ich aż do wyspy Cap Breton.

Niezliczeni pasażerowie chorowali. Wśród nich wyróżniali się w dalszym ciągu, mimo troskliwości Jenny i Francisa, panowie Hudelson i Forsyth. Dowódca „Mozika” zlitował się nad pasażerami tak źle znoszącymi podróż. Wjechał do Zatoki Św. Wawrzyńca, by wrócić na pełne morze cieśniną Belle-Isle, osłanianą przez brzeg Nowej Fundlandii. Następnie zbliżył się ku zachodniemu wybrzeżu Grenlandii przebywając Cieśninę Davisa w całej jej szerokości. Żegluga była dzięki temu spokojniejsza.

Przylądek Confort zasygnalizowano rankiem siódmego sierpnia. Ląd Grenlandii kończy się nieco dalej na wschodzie przylądkiem Farvel, o który rozbijają się z furią fale północnego Atlantyku. Wiedzą o tym aż nazbyt dobrze odważni rybacy z ławic Nowej Fundlandii i Islandii.

Na szczęście nie było mowy o żegludze na północ wzdłuż wschodniego wybrzeża Grenlandii, gdyż wybrzeże to jest prawie niedostępne. Nie ma tu żadnego portu, który byłby schronieniem dla statków, a rozkołysane fale pełnego morza uderzają weń jak taranem. Przeciwnie, w Cieśninie Davisa nie brak miejsc zacisznych. Czy to w głębi fiordów, czy za wyspami można znaleźć łatwo schronienie i żegluga odbywa się w warunkach pomyślnych, jeśli tylko nie wieją wiatry wprost z południa.

Dalszy ciąg podróży był rzeczywiście taki, iż pasażerowie nie mieli zbyt wiele powodów do skarg.

Tę część wybrzeża grenlandzkiego, od przylądka Farvel do wyspy Disko, otaczają przeważnie pierwotne skały nadmorskie, bardzo wysokie, zatrzymujące wiatry z pełnego morza.

Nawet w czasie zimy wybrzeże to jest w mniejszym stopniu zablokowane przez lody, które przynoszą tu prądy biegunowe z Oceanu Północnego.

W takich to warunkach „Mozik” bił pośpiesznie swą śrubą wody Zatoki Gilberta. Zatrzymał się na kilka godzin w Godthaab, gdzie kucharz okrętowy mógł zakupić wielką ilość świeżych ryb. Czyż nie z morza pochodzi główne pożywienie ludności grenlandzkiej? Następnie statek minął kolejno porty

Holstensborg i Christianshaab. Te osady, z których druga kryje się w głębi zatoki Disko, są tak zamknięte ścianami skał, że przejeżdżając obok, nie podejrzewa się nawet ich istnienia. Stanowią one doskonałe schronienie dla licznych rybaków, którzy przepływają Cieśninę Davisa i łowią wieloryby, narwale, morsy i foki, zapędzając się czasem aż do północnych krańców Zatoki Baffina.

Wyspa Disko, do której parowiec dopłynął dziewiątego sierpnia zaraz po północy, jest najważniejszą z wysp, które ciągną się jak paciorki różańca wzdłuż grenlandzkiego wybrzeża. Główną osadą tej wyspy o skalistych, bazaltowych brzegach jest Godhavn, zbudowany na południowym wybrzeżu. Osada ta składa się z domów nie kamiennych, lecz drewnianych, ściany ich zbite są z ledwo ociosanych belek pociągniętych grubą warstwą smoły, która uniemożliwia dostęp powietrza. Francis Gordon i Seth Stanfort, jedyni pasażerowie, których nie zahipnotyzował doszczętnie meteor, byli pod silnym wrażeniem tej czarnej osady, którą tu i ówdzie ożywiała czerwona barwa dachów i obramowań okiennych. Jakież mogło być tu życie podczas ostrych zim? Byliby bardzo zdziwieni, gdyby ich zapewniono, że takie samo jak życie rodzin w Sztokholmie czy Kopenhadze. Niektóre domy, choć skąpo umeblowane, nie są wcale pozbawione wygód. Mają salon, pokój jadalny, a nawet bibliotekę, gdyż „wyższym sferom”, pochodzenia duńskiego, nie brak wykształcenia. Władzę reprezentuje delegat rządu, którego siedziba znajduje się w Uperniviku.

W porcie tego właśnie miasta zatrzymał się „Mozik” dziesiątego sierpnia o godzinie szóstej wieczorem, zostawiwszy za sobą wyspę Disko.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

w którym niezwykły bolid spotyka glob ziemski, a pasażer. „Mozika” — pasażera „Oregonu”

Nazwa „Grenlandia” znaczy „Zielona Ziemia”, choć nazwa „Białej Ziemi” lepiej pasowałaby do tego pokrytego śniegiem kraju. Został on tak nazwany jedynie przez dobrotliwą ironię swego ojca chrzestnego, niejakiego Eryka Czerwonego, marynarza z X wieku, który prawdopodobnie nie był bardziej czerwony niż Grenlandia — zielona. Być może, że ten Skandynaw miał nadzieję nakłonić w ten sposób swych rodaków do skolonizowania tej „zielonej” północnej ziemi. Nie udało mu się. Koloniści nie dali się uwieść tej czarującej nazwie i obecnie, wliczając w to autochtonów, ludność Grenlandii nie przekracza dziesięciu tysięcy mieszkańców.

Trzeba przyznać, że Grenlandia nie była krajem odpowiednim do przyjęcia meteoru wartości pięciu tysięcy siedmiuset osiemdziesięciu ośmiu miliardów franków. Refleksja ta musiała się nasunąć niejednemu z tłumu pasażerów, których ciekawość zawiodła do Uperniviku. Czyż bolid nie mógłby równie dobrze spaść o kilkaset mil dalej na południe, na szerokie równiny Kanady lub Stanów, gdzie można by go łatwo odszukać? Ale nie, widownią tego pamiętnego wydarzenia miała się stać jedna z najmniej przystępnych i gościnnych krain!

Co prawda, można się było powołać na precedensy. Czyż bolidy nie spadały już na Grenlandię? Czyż na wyspie Disko nie

odnalazł był Nordenskiöld trzech bloków żelaza (każdy ważył dwadzieścia cztery tony), prawdopodobnie meteorytów, które dziś figurują w zbiorach sztokholmskiego muzeum?

Na szczęście, jeśli się J.B.K. Lowenthal nie omylił, bolid miał spaść na okolicę dość dostępną, i to w sierpniu, kiedy temperatura podnosi się powyżej zera! W tej porze roku kraj ów może w niektórych okolicach usprawiedliwić ironiczną nazwę zielonej ziemi, nadaną tej cząstce Nowego Świata. W ogrodach rośnie trochę jarzyn i zbóż, gdy w środkowej części kraju botanik zebrałby tylko mchy i porosty. Na wybrzeżach pastwiska ukazują się po stajaniu lodów, co pozwala na hodowlę pewnej ilości bydła. Oczywiście, nie można tu liczyć na setki wołów i krów. Mieszkańcy hodują jednak kury i kozy obdarzone prawdziwie chłopską wytrzymałością, nie licząc renów i mnóstwa psów.

Co prawda, po dwóch lub trzech najwyżej miesiącach letnich wraca zima ze swymi nocami bez końca, z ostrymi wiatrami, wiejącymi z okolic bieguna, ze strasznymi zamieciami. Nad skorupą, która przykrywa ziemię, wiruje jakby szary kurz, zwany kurzem lodowym, pełen mikroskopijnych roślin, których pierwsze próbki zebrał Nordenskiöld.

Lecz z tego, że meteor nie miał spaść w środku wielkiego kraju, nie wynikało wcale, że Grenlandia będzie mogła bez przeszkód wziąć go w posiadanie.

Upernivik nie tylko leży nad brzegiem morza; otacza go ono ze wszystkich stron. Jest to wyspa w środku archipelagu licznych wysepek rozsianych wzdłuż wybrzeża i ta wyspa, nie mająca nawet dziesięciu mil obwodu, będzie (trzeba to przyznać) tarczą raczej wąską dla powietrznego pocisku. Jeśli nie trafi w nią z matematyczną dokładnością, przejdzie obok celu i zamkną się nad nim wody Zatoki Baffina. Przy tym morze jest głębokie w tej strefie podbiegunowej i sonda osiąga dno dopiero na głębokości tysiąca lub dwu tysięcy metrów. Spróbujcie więc wyłowić z tej przepaści masę ważącą prawie dziewięćset tysięcy ton! Ewentualność taka nie przestawała żywo zajmować pana Schnacka, który niejednokrotnie zwierzał

się ze swych niepokojów Sethowi Stanfortowi, z którym zaprzyjaźnił się w czasie podróży. Lecz temu niebezpieczeństwu nie można było zaradzić i pozostawało tylko zdać się na obliczenia uczonego J.B.K. Lowenthala.

Francis Gordon i Jenny Hudelson uważaliby ten wypadek, którego lękał się pan Schnack, za rozwiązanie najszczęśliwsze. Gdyby bolid znikł, ci, od których zależało ich szczęście, nie mieliby już czego rewindykować. Nawet zaszczytu związania z bolidem swego nazwiska. Byłby to wielki krok ku tak upragnionej zgodzie.

Jest rzeczą wątpliwą, czy liczni pasażerowie „Mozika” i dziesięciu innych statków należących do wszelkich narodowości podzielali punkt widzenia dwojga młodych. Zależało im przecież na zobaczeniu czegoś interesującego, po to właśnie przybyli.

W każdym razie noc nie mogła przeszkodzić zaspokojeniu tego pragnienia. W okresie osiemdziesięciu dni, z których połowa przypada przed, a połowa po letnim przesileniu dnia z nocą, słońce nie wschodzi ani nie zachodzi w tej szerokości geograficznej. Były więc wszelkie dane, aby ujrzeć meteor w pełnym świetle podczas składania mu wizyty, jeśli zgodnie z twierdzeniem J.B.K. Lowenthala los. sprowadzi go w pobliże osady.

Już nazajutrz po przyjeździe tłum, złożony z najrozmaitszych osobników rozproszył się wokół kilku drewnianych domków Uperniviku, z których główny dźwiga sztandar Grenlandii, biały z czerwonym krzyżem. Grenlandczycy nie widzieli nigdy napływu tylu ludzi na ich dalekie wybrzeża.

Dość ciekawe są typy Grenlandczyków, zwłaszcza na wybrzeżu zachodnim. Mali lub średniego wzrostu, krępi, mocni, o krótkich nogach, z delikatnymi rękami i wiązaniami kończyn, mają skórę żółtawobiałą, twarze szerokie i spłaszczone, prawie pozbawione nosa, oczy ciemne, lekko skośne, włosy czarne i twarde, spadające na twarz; przypominają nieco foki i łagodnym wyrazem twarzy, i dobroczynnym pokładem tłuszczu zabezpieczającym od zimna.

Odzienie jest identyczne dla obu płci: buty, spodnie, „amaut” lub kapuza. Jednak kobiety, w młodości wdzięczne i roześmiane, czeszą włosy w czub, stroją się dziwacznie w nowoczesne tkaniny, ozdabiają się różnokolorowymi wstążkami. Tatuaż, będący niegdyś w modzie, znikł pod wpływem misjonarzy, lecz ludność zachowała namiętne zamiłowanie do śpiewu i tańca, które są tu jedynymi rozrywkami. Jako napoju używają wody, jako żywności — mięsa fok i psów jadalnych, ryb i jagód, wodorostów. Smutne jest w gruncie rzeczy życie Grenlandczyków.

Przybycie tak wielkiej liczby cudzoziemców do Uperniviku było wielką niespodzianką dla kilkuset krajowców zamieszkujących wyspę. A gdy poznali powód tego napływu, nie zmniejszyło się ich zdziwienie; wprost przeciwnie. Ci biedni ludzie znali już wartość złota. Lecz ta gratka nie dla nich była przeznaczona. Gdy miliardy spadną na ich ziemię, nie napełnią nimi kieszeni, mimo że nie brak kieszeni w grenlandzkich ubraniach, które, nie bez racji, nie przypominają ubrań Polinezyjczyków. Miliardy te skryją się w kasach państwowych, z których, według zwyczaju, nigdy już nie wyjdą. Jednak mieszkańcy interesowali się „sprawą”. Kto wie, czy mimo wszystko nie spłynie stąd trochę dobrobytu na biednych obywateli Grenlandii.

W każdym razie był najwyższy czas, by nastąpiło rozwiązanie tej sprawy. Jeśli będą przybywały dalsze parowce, port Uperniviku nie zdoła ich pomieścić. Z drugiej strony był już sierpień i statki nie mogły zatrzymywać się zbyt długo w tej szerokości geograficznej. Wrzesień jest już miesiącem zimowym, gdyż przynosi lody z cieśnin i kanałów północy, a Zatoka Baffina staje się niedostępna. Trzeba będzie uciekać, opuścić te okolice, zostawić za sobą przylądek Farvel pod groźbą uwięzienia przez lody na osiem lub siedem miesięcy ostrej zimy arktycznej.

Oczekując na upadek bolidu nieustraszeni turyści wypuszczali się na długie spacery po wyspie. Jej skalisty grunt, prawie płaski (jeśli nie liczyć kilku wypukłości w części

środkowej) nadaje się do pieszych przechadzek. Tu i ówdzie rozciągają się równiny, gdzie ponad dywanem mchów i ziół, raczej żółtych niż zielonych, wznoszą się krzaki, które nigdy nie staną się drzewami — owe karłowate brzozy, które rosną jeszcze powyżej siedemdziesiątego drugiego równoleżnika.

Niebo było przeważnie zamglone i najczęściej płynęły po nim gęste, niskie chmury gnane wschodnim wiatrem. Temperatura nie przekraczała dziesięciu stopni powyżej zera. Tak więc pasażerowie byli szczęśliwi odnajdując na pokładzie okrętu komfort, którego miasteczko nie mogło im dostarczyć, i wyżywienie, jakiego nie dostaliby ani w Godhavn, ani w żadnej innej osadzie wybrzeża.

Pięć dni upłynęło od przybycia „Mozika", gdy rankiem szesnastego sierpnia zasygnalizowano ostatni statek na wysokości Uperniviku. Był to parowiec, który przemykał się wzdłuż wysepek archipelagu, aby w porcie rzucić kotwicę. Na szczycie jego masztu powiewała flaga Stanów Zjednoczonych z pięćdziesięcioma dwiema gwiazdami.

Naturalnie, parowiec ten przywoził nową grupę ciekawych na teren wielkiego widowiska meteorologicznego, opóźnionych, którzy jednak przybyli w porę, skoro kula złota krążyła jeszcze w atmosferze.

Około jedenastej rano parowiec „Oregon" rzucił kotwicę w środku flotylli. Łódka oderwała się natychmiast od statku i przewiozła na ląd jednego z pasażerów, który widocznie bardziej się śpieszył niż jego towarzysze podróży.

Natychmiast rozeszła się wieść, że jest to jeden z astronomów obserwatorium bostońskiego, niejaki pan Wharf. Udał się on do szefa rządu, który nie omieszkał uprzedzić niezwłocznie pana Schnacka, po czym delegat pośpieszył do domku, na którego dachu powiewał sztandar narodowy.

Zaniepokojono się, czy przypadkiem bolid nie wystrychnie wszystkich na dudka i nie wymknie się „po angielsku" w inne strony nieba, zgodnie z życzeniem Francisa Gordona.

Wkrótce jednak tłum się uspokoił. Obliczenia doprowadziły J.B.K. Lowenthala do ścisłych wniosków. I po to tylko podjął pan

Wharf tę długą podróż, by asystować przy upadku bolidu jako reprezentant swego zwierzchnika.

Było to szesnastego sierpnia. Tak więc jeszcze trzy doby dzieliły bolid od upadku na ziemię grenlandzką.

— Chyba że wycofa się za kulisy — szepnął Francis Gordon, jedyny zresztą, który powziął taką myśl i wyraził tego rodzaju nadzieję.

Lecz dopiero za trzy dni dowiemy się, czy sprawa przyjmie taki, czy inny obrót. Trzy dni to właściwie drobnostka, ale czasem to długi okres, zwłaszcza w Grenlandii, gdzie przyjemności nie są zbyt liczne. Nudzono się więc i zaraźliwe ziewanie wyłamywało szczęki bezczynnych turystów.

Jednym z tych, którym czas się nie dłużył, był niewątpliwie pan Seth Stanfort. Zdeklarowany globtroter, śpieszący chętnie tam, gdzie można było zobaczyć coś niezwykłego, był przyzwyczajony do samotności i umiał, jak się to mówi, „dotrzymywać towarzystwa samemu sobie”.

I właśnie jego — tak niesprawiedliwy bywa los! — miała ominąć nużąca monotonia ostatnich dni oczekiwania.

Pan Seth Stanfort przechadzał się po plaży, by asystować przy wysiadaniu pasażerów „Oregonu”, gdy zatrzymał się nagle na widok damy, którą jedna z łodzi przywiozła na brzeg.

Seth Stanfort zbliżył się nie wierząc własnym oczom i tonem wyrażającym zdziwienie, lecz ani cienia przykrości rzekł:

— Pani Arkadia Walker, jeśli się nie mylę?

— Pan Stanfort! — zawołała pasażerka.

— Nie spodziewałem się, pani Arkadio, zobaczyć pani na tej dalekiej wyspie.

— Ani ja pana, panie Stanfort.

— Jak się pani miewa?

— Jak najlepiej. A pan?

— Bardzo dobrze, zupełnie dobrze!

Bez dalszych formalności zaczęli rozmawiać jak dwoje starych znajomych, którzy odnaleźli się szczęśliwym przypadkiem. Pani Arkadia zapytała najpierw, podnosząc rękę ku górze:

— Jeszcze nie spadł?

— Nie, niech się pani uspokoi, jeszcze nie, lecz nastąpi to niebawem.

— A więc będę przy tym obecna! — rzekła pani Arkadia Walker z satysfakcją.

— Ja także! — odpowiedział Seth Stanfort.

Były to dwie osoby bardzo dystyngowane, światowe, by nie powiedzieć dwaj dawni przyjaciele, których podobne uczucie ciekawości sprowadziło na plażę Uperniviku.

Dlaczegóżby miało być inaczej? Wiemy, że pani Arkadia nie znalazła w Secie Stanforcie swego ideału, być może jednak, ideał ten nie istniał w ogóle, gdyż nigdzie go nie spotkała. Nigdy nie zapłonęła w niej iskra zwana w powieściach „miłością od pierwszego wejrzenia", a w braku tej legendarnej iskry nikt nie zawładnął jej sercem przez oddanie jej jakiejś efektownej przysługi. Po lojalnym przeprowadzeniu doświadczenia nie uznała małżeństwa za odpowiednie dla siebie, tak samo jak i Seth Stanfort. Gdy ona jednak odczuwała tylko żywą sympatię dla człowieka, który był dość delikatny, by zrezygnować ze stanowiska jej męża, on tymczasem zachował ją we wspomnieniu jako osobę inteligentną i oryginalną, która osiągnęła doskonałość przestając być jego żoną.

Rozstali się bez wyrzutów i bez żalu. Pan Stanfort podróżował na swoją rękę, pani Arkadia na swoją. Kaprys sprowadził ich oboje na Grenlandię. Dlaczegóżby mieli udawać, że się nie znają? Cóż dowodzi większej pospolitości niż dobrowolne oddanie się w niewolę przesądów i najgłupszych utartych zwyczajów? Po wymienieniu pierwszych słów pan Stanfort oddał się do dyspozycji pani Arkadii, która przyjęła. bardzo chętnie jego usługi. I nie było już między nimi mowy o niczym innym prócz zjawiska meteorologicznego, którego ostatni akt miał się wkrótce rozegrać.

W miarę jak upływał czas, wzrastające zdenerwowanie dręczyło coraz mocniej ciekawych, zebranych na tym dalekim brzegu, a szczególnie najbardziej zainteresowanych, między którymi trzeba umieścić, poza rządem Grenlandii, pana

Forsytha i doktora Hudelsona, skoro upierali się przy swoich prawach do bolidu.

„Oby tylko istotnie spadł na wyspę” — myśleli panowie Forsyth i Hudelson.

„I nie obok!” — myślał szef rządu grenlandzkiego.

„Lecz nie na nasze głowy!” — dodawało w duchu kilku tchórzów.

Zbyt blisko lub zbyt daleko — to były rzeczywiście jedyne niepokojące punkty.

Dni szesnastego i siedemnastego sierpnia przeszły bez żadnych szczególnych wydarzeń. Na nieszczęście pogoda się psuła, a temperatura zaczęła wyraźnie spadać. Być może, zima tego roku przyjdzie wcześnie! Góry nadbrzeżne były już ośnieżone i gdy wiatr wiał z tej strony; był tak ostry i przenikliwy, że trzeba się było chronić do salonów okrętowych. Nie było więc powodu, by przebywać na tej szerokości geograficznej, i turyści, zaspokoiwszy swą ciekawość, chętnie za — pewne powrócą na południe.

Tylko dwaj rywale upierający się przy podkreślaniu tego, co uważali za swe prawa, zechcą, prawdopodobnie zostać w pobliżu skarbu. Można się było po tych szaleńcach wszystkiego spodziewać, a Francis Gordon, drżąc o swą ukochaną Jenny, nie bez lęku ogarniał myślą perspektywę długiego zimowania.

W nocy z siedemnastego na osiemnasty sierpnia rozszalała się nad archipelagiem prawdziwa nawałnica. Astronomowi z Bostonu udało się dwadzieścia godzin przedtem dokonać obserwacji bolidu, którego szybkość bez ustanku malała. Lecz huragan był tak gwałtowny, że zachodziła obawa, czy nie porwie bolidu.

Zawierucha szalała bez najmniejszej zmiany przez cały dzień osiemnasty sierpnia, a pierwsze godziny następnej nocy były tak burzliwe, że kapitanowie statków stojących w porcie niepokoili się o nie poważnie.

Jednakże w środku nocy z osiemnastego na dziewiętnasty sierpnia burza znacznie przycichła. Już od piątej rano wszyscy pasażerowie skorzystali z tego, by udać się na ląd. Czyż

dziewiętnasty sierpnia nie był dniem przewidzianym na upadek bolidu?

Był już najwyższy czas. O godzinie siódmej usłyszano głuche uderzenie tak potężne, że wyspa zadrżała w posadach.

W kilka chwil potem pewien krajowiec przybiegł do domu zajmowanego przez pana Schnacka. Przynosił wielką nowinę…

Bolid spadł na północno-zachodnim cyplu wyspy Upernivik.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

w którym pan Schnack i jego liczni wspólnicy, chcąc dotrzeć do bolidu, popełniają zbrodnią wtargnięcia w granice cudzej własności

Natychmiast tłum rzucił się w tę stronę.

Nowina rozeszła się w jednej chwili, wzburzyła turystów i ludność, załogi opuściły statki na przystani i prawdziwy potok ludzki popłynął w kierunku wskazanym przez tubylczego wysłannika.

Gdyby uwaga wszystkich nie była tak całkowicie skierowana na upadek meteoru, można by łatwo dostrzec w tym samym momencie fakt trudny do wytłumaczenia. Jeden ze statków zakotwiczonych w zatoce, parowiec, którego komin dymił już od świtu, jakby posłuszny jakiemuś tajemniczemu sygnałowi, podniósł kotwicę i całą parą skierował się na pełne morze. Był to statek o wydłużonych kształtach, według wszelkiego prawdopodobieństwa bardzo szybki. W ciągu kilku minut znikł za nadmorskimi skałami.

Takie zachowanie było naprawdę zdumiewające. Po co przyjeżdżać aż do Uperniviku, jeśli się opuszcza tę miejscowość właśnie w chwili, gdy można by coś zobaczyć? Lecz ogólne zamieszanie było tak wielkie, że nikt nie zauważył tego odjazdu, dość przecież szczególnego.

Biec jak można najprędzej było jedynym pragnieniem tłumu, w którym znajdowało się parę kobiet, a nawet kilkoro dzieci. Posuwano się bez żadnego ładu, trącano i popychano. Jeden

tylko człowiek był zupełnie spokojny. Jako doświadczony globtroter, którego nic nie mogło wzruszyć, Seth Stanfort zachował, wśród powszechnego wzburzenia, swój nieco wzgardliwy sposób bycia typowego dyletanta. Zaczął od tego, że po prostu odwrócił się plecami do towarzyszy, by pójść na spotkanie pani Arkadii Walker i zaofiarować jej swe usługi. Czy była to tylko wyrafinowana grzeczność, czy inne uczucie? Ostatecznie, czyż nie było naturalne, że szli razem w stronę bolidu, jeśli weźmie się pod uwagę łączące ich więzy przyjaźni?

— Nareszcie spadł, panie Stanfort! — takie były pierwsze słowa pani Arkadii Walker.

— Nareszcie spadł! — odrzekł pan Seth Stanfort.

— Nareszcie spadł — powtarzał wciąż tłum kierując się ku północno-zachodniemu cyplowi wyspy.

Pięciu osobom udało się jednak wyprzedzić wszystkich. Był to, po pierwsze, pan Ewald Schnack, delegat Grenlandii na Konferencję Międzynarodową, któremu nawet najniecierpliwsi ustępowali grzecznie z drogi.

W powstałą w ten sposób lukę wdarli się natychmiast dwaj inni turyści: panowie Dean Forsyth i Sydney Hudelson szli teraz na czele, a Jenny i Francis towarzyszyli im wiernie. Młoda para występowała nadal w tych samych rolach, co na pokładzie „Mozika”. Jenny zabiegała o względy pana Forsytha, Francis Gordon zaś otaczał staraniem doktora Hudelsona. Ich wysiłki, trzeba przyznać, nie zawsze były dobrze przyjmowane, lecz tym razem dwaj rywale byli tak głęboko wzburzeni, że nawet nie zauważyli nawzajem swej obecności. Nie było więc mowy o protestach przeciw sprytnej taktyce dwojga młodych, którzy maszerowali obok siebie, pomiędzy dwoma astronomami.

— Delegat pierwszy obejmie bolid w posiadanie — wyrzekał pan Forsyth.

— Pierwszy położy na nim rękę — dodał doktor Hudelson myśląc, że odpowiada Francisowi.

— Lecz nie przeszkodzi mi to dowieść mych praw! — oświadczył pan Forsyth zwracając się do Jenny.

— Na pewno nie! — potwierdził pan Hudelson myśląc o własnych prawach.

Ku największemu zadowoleniu córki i siostrzeńca wydawało się naprawdę, że dwaj przeciwnicy, zapominając o wzajemnych urazach, złączą się w nienawiści do wspólnego wroga.

Szczęśliwym zbiegiem okoliczności stan atmosfery uległ całkowitej zmianie. Zawierucha cichła w miarę, jak wiatr obracał się na południe. Słońce wznosiło się wprawdzie tylko o kilka stopni nad horyzontem, świeciło jednak pięknie poprzez ostatnie chmury rozrzedzone jego blaskiem. Nie było już deszczu ani wichury, pogoda była ładna, powietrze spokojne, temperatura trzymała się pomiędzy ósmym a dziewiątym stopniem powyżej zera.

Osadę dzieliła od cypla odległość dobrej mili, którą trzeba było przebyć pieszo. W Uperniviku nikt by oczywiście nie znalazł żadnego pojazdu. Co prawda z łatwością szło się po gruncie dość płaskim, skalistym, który podnosił się znacznie jedynie w środku wyspy oraz w pobliżu wybrzeża, gdzie widniało kilka wysokich skał nadmorskich.

Bolid spadł właśnie za tymi skałami. Z osady nie można go było dostrzec.

Krajowiec, który pierwszy przyniósł wielką nowinę, służył za przewodnika. Tuż za nim kroczył pan Schnack, panowie Forsyth i Hudelson, Jenny i Francis, następnie Omikron, astronom z Bostonu i całe stado turystów.

Nieco w tyle pan Seth Stanfort szedł obok pani Arkadii Walker. Dwoje byłych małżonków wiedziało o legendarnej kłótni dwóch rodzin, a zwierzenia Francisa, z którym Seth Stanfort nawiązał w czasie przeprawy bliższe stosunki, poinformowały tego ostatniego o konsekwencjach zerwania.

— To się ułoży — przepowiadała pani Arkadia, gdy i ona z kolei dowiedziała się o wszystkim.

— Dałby Bóg! — zgodził się Seth Stanfort.

— Na pewno! — rzekła pani Arkadia. — I tak będzie nawet lepiej. Widzi pan, nieco trudności i obaw przed ślubem dobrze

wpływa na małżeństwo. Związki zawarte zbyt łatwo mogą się równie łatwo rozchwiać. Czy zgadza się pan ze mną?

— Najzupełniej, pani Arkadio. Dowodem jesteśmy my, nasze małżeństwo. W ciągu pięciu minut… na koniu.. w czasie wystarczającym zaledwie na popuszczenie cugli…

— Aby ściągnąć je po sześciu tygodniach! — przerwała z uśmiechem pani Arkadia Walker. — No tak! Francis Gordon i panna Jenny Hudelson, nie pobierając się konno, będą tym pewniejsi, że zdobędą szczęście.

Nie trzeba dodawać, że wśród tłumu ciekawych jedynie pan Seth Stanfort i pani Arkadia Walker, nie licząc dwojga narzeczonych, nie interesowali się w tym momencie meteorem, nie mówili o nim, lecz filozofowali sobie spokojnie. Podobnie zachowałby się pewnie pan John Proth, którego twarz o wyrazie dobrodusznej delikatności przypomniała się eks-małżonkom w czasie ich rozmowy.

Maszerowali dobrym krokiem po płaskowzgórzu usianym nędznymi krzakami, z których podrywały się do ucieczki stada dziwnie zaniepokojonych ptaków.

W przeciągu pół godziny tłum przebył trzy czwarte mili. Należało jeszcze przejść około tysiąca metrów, by dotrzeć do meteoru, ukrytego przed spojrzeniami ciekawych za występem skalnym. Tam można go było znaleźć, według słów grenlandzkiego przewodnika, a krajowiec ten nie mógł się mylić. Pracując na roli widział doskonale błysk spadającego meteoru, słyszał odgłos upadku, który zresztą słyszeli i inni, lecz z większej odległości.

Okoliczność zdumiewająca w tym kraju zmusiła turystów do chwilowego odpoczynku. Było gorąco! Tak jest, choć może, się to wydawać nieprawdopodobne, obcierano sobie czoła, jakby to było pod inną szerokością geograficzną. Czy to szybki bieg sprawił, że tłum ciekawych zdawał się roztapiać? Z pewnością przyczynił się on do tego, lecz temperatura powietrza niewątpliwie się podnosiła. W tym miejscu, w sąsiedztwie północno-zachodniego cypla wyspy, termometr wskazałby na

pewno o wiele stopni więcej niż w osadzie Upernivik. Stawało się nawet jakby coraz cieplej, w miarę jak się zbliżano do celu.

— Czy upadek bolidu mógł zmienić klimat archipelagu? — zapytał ze śmiechem pan Stanfort.

— Byłoby to wielkim szczęściem dla Grenlandczyków! — odpowiedziała tym samym tonem pani Arkadia Walker.

— Prawdopodobnie blok złota rozgrzany tarciem o warstwy atmosfery jest jeszcze rozpalony — wytłumaczył astronom z Bostonu — a promieniujące z niego ciepło odczuwamy już tutaj.

— Doskonale! — zawołał pan Seth Stanfort. — Ale czy będziemy musieli czekać, aż ostygnie?

— Ostygłby o wiele szybciej, gdyby był upadł poza wyspą, a nie na nią — szepnął do siebie Francis Gordon wracając do swego ulubionego poglądu.

Było mu bardzo gorąco, ale nie tylko on jeden cierpiał. Pan Schnack i pan Wharf pocili się za jego przykładem. Pocił się także tłum turystów, pocili się wszyscy Grenlandczycy, którzy nigdy nie doznawali podobnie miłych wrażeń.

Odpocząwszy dobrą chwilę, ruszono znowu w drogę. Jeszcze pięćset metrów i meteor ukaże się spoza skał w całej swej wspaniałości.

Na nieszczęście po przejściu dwustu kroków pan Schnack, który szedł na czele, musiał znowu stanąć, a za nim panowie Forsyth i Hudelson i cały tłum. Tym razem nie gorąco ich zatrzymało, lecz przeszkoda nieoczekiwana, najbardziej niespodziewana ze wszystkich, jakie można było przewidywać w tym kraju.

Ogrodzenie sporządzone z pali połączonych potrójną linią drutu ciągnęło się zakreślając ogromną krzywą w prawo i w lewo aż do wybrzeża i zamykało ze wszystkich stron przejście. W regularnych odstępach, na palach wyższych od pozostałych, widniały tabliczki, na których powtarzał się ten sam napis po angielsku, po francusku i po duńsku. Pan Schnack, który miał właśnie przed sobą jedną z takich tabliczek, przeczytał ze zdumieniem: „Posiadłość prywatna! Wstęp wzbroniony!”

Prywatna posiadłość w tych odległych stronach, to było naprawdę coś niezwykłego! Na słonecznych brzegach Morza Śródziemnego lub na zamglonych wybrzeżach oceanu można sobie wyobrazić letniska. Ale nad Oceanem Lodowatymi Cóż mógł robić z tą jałową i skalistą posiadłością jej oryginalny właściciel?

W każdym razie pan Schnack nie mógł się do tego wtrącać. Absurdalna czy nie — posiadłość prywatna zagradzała mu drogę i ta przeszkoda, ze względów czysto moralnych, zgasiła jego zapał. Delegat oficjalny musi szanować z natury rzeczy zasady, na których opierają się społeczeństwa cywilizowane, a nienaruszalność mieszkania prywatnego jest przecież uznanym powszechnie pewnikiem.

Zresztą właściciel postarał się przypomnieć powyższy pewnik tym wszystkim, którzy doznaliby pokusy, by o nim zapomnieć. „Wstęp wzbroniony” — głosił formalnie napis w trzech językach.

Pan Schnack był w kłopocie. Wydawało mu się zbyt okrutne zatrzymać się. Lecz z drugiej strony, pogwałcić cudzą własność na przekór wszelkim prawom boskim i ludzkim?

Szmery rosnące z minuty na minutę ozwały się na końcu kolumny i wkrótce dotarły aż do jej czoła. Ostatnie rzędy, nie znając przyczyn zatrzymania się pochodu, protestowały wyrażając ostro swe zniecierpliwienie. Nie uspokoiła ich wiadomość o przeszkodzie; niezadowolenie wzrastało coraz bardziej, aż znalazło wyraz w piekielnym hałasie— wszyscy zaczęli mówić na raz.

Czy trzeba będzie tkwić wiecznie przed tym ogrodzeniem? Przebywszy tysiące mil, by dotrzeć aż tu, pozwolić się tak głupio zatrzymać przez nędzny kawałek drutu! Właściciel terenu nie mógł mieć szaleńczej pretensji, by uważać się również za właściciela meteoru! Nie miał więc żadnych podstaw, by wzbraniać ludziom przejścia. A nawet gdyby wzbraniał, to całkiem po prostu należy przejść siłą.

Czy pan Schnack ugiął się pod tą lawiną gwałtownych argumentów? Faktem jest, że jego zasady osłabły. Właśnie

naprzeciw niego widniała w ogrodzeniu furtka zamknięta zwyczajnym sznurkiem. Pan Schnack przeciął scyzorykiem sznurek i nie myśląc o tym, że to wtargnięcie przeobraża go w pospolitego włamywacza, wstąpił na zakazany teren.

Reszta tłumu poszła za jego przykładem, jedni przez furtkę, inni przez druty. W ciągu kilku chwil przeszło trzy tysiące osób zalało posiadłość prywatną. Ożywiony, hałaśliwy tłum głośno komentował ten nieoczekiwany incydent.

Lecz nagle, jakby skutkiem czarów, zapanowała cisza. O sto metrów od ogrodzenia ukazała się niespodzianie mała chatka z desek, schowana dotychczas za wzniesieniem terenu. W drzwiach tej nędznej rudery, które właśnie się otworzyły, stanęła osobistość o najdziwaczniejszym wyglądzie. Osobistość ta zwróciła się do najeźdźców.

— Ech, wy tam! — krzyczała po francusku chropawym głosem. — Nie krępujcie się! Zachowujcie się jak u siebie w domu!

Pan Schnack rozumiał po francusku. Dlatego zatrzymał się W miejscu, a za nim zatrzymali się także turyści, którzy jednakowym ruchem zwrócili równocześnie trzy tysiące zaciekawionych twarzy ku niezwykłej postaci.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

w którym Zefiryn Xirdal
nabiera coraz większej odrazy
do bolidu i w którym widzimy,
co z tego wynikło

Gdyby Zefiryn Xirdal był sam, czy dotarłby bez przeszkód do miejsca przeznaczenia? Jest to możliwe, gdyż na świecie dzieją się różne dziwy. Byłoby jednak przezorniej stawiać na ewentualność przeciwną.

Tak czy owak, przepadła okazja do zakładania się o to, gdyż przychylne losy oddały Xirdala pod opiekę mentora, którego zmysł praktyczny neutralizował nieumiarkowaną fantazję oryginała. Zefiryn nie poznał więc trudności podróży, w gruncie rzeczy dość skomplikowanej, gdyż pan Robert Lecoeur zdołał uczynić ją prostszą niż spacer w najbliższe okolice.

W Hawrze, dokąd zawiózł ich ekspres w ciągu kilku godzin, dwaj podróżni zostali skwapliwie przyjęci na pokład pięknego parowca, który podniósł natychmiast kotwicę i wyruszył na pełne morze nie czekając na innych pasażerów.

„Atlantyk” nie był transportowcem, lecz jachtem pięćset-czy sześćsettonowym, wynajętym przez pana Roberta Lecoeur do ich wyłącznej dyspozycji. Ze względu na wysokość zaangażowanych w tej aferze sum bankier uznał za pożyteczne posiadanie własnego środka komunikacji, by móc dowolnie nawiązywać łączność z cywilizowanym światem. Ponieważ zdobyte już dzięki spekulacji kopalniami złota ogromne zyski pozwalały mu na zaspokajanie królewskich zachcianek,

zapewnił sobie możność korzystania z tego statku, wybranego w Anglii spośród stu innych.

„Atlantyk”, fantazja lorda-multimilionera, został zbudowany tak, by mógł osiągnąć największą szybkość. Kształt smukły i wydłużony oraz maszyny o sile czterech tysięcy koni pozwalały mu osiągnąć, a nawet przekroczyć szybkość dwudziestu węzłów. Wybór pana Lecoeur został właśnie podyktowany tą cechą statku, która — w razie czego — mogła się okazać cenną zaletą.

Zefiryn Xirdal nie zdradzał najmniejszego zdziwienia, że ma na swoje rozkazy własny statek. Być może, nie dostrzegł zresztą tego szczegółu. W każdym razie wszedł na pokład i zainstalował się w swej kabinie, nie robiąc najmniejszej uwagi.

Odległość między Hawrem i Upernivikiem wynosi mniej więcej osiemset mil morskich, które „Atlantyk” płynąc pełną parą byłby zdolny przebyć w ciągu sześciu dni. Lecz pan Lecoeur, nie śpiesząc się wcale, poświęcił na tę podróż dwanaście dni; „Atlantyk” dopłynął więc do przystani Uperniviku dopiero osiemnastego lipca wieczorem.

W ciągu tych dwunastu dni Zefiryn Xirdal prawie nie otwierał ust. Podczas posiłków, które łączyły ich z konieczności, pan Lecoeur silił się ze dwadzieścia razy skierować rozmowę na cel ich podróży; nigdy nie mógł doczekać się odpowiedzi. Na próżno mówił o meteorze. Jego chrzestniak zdawał się nie przypominać sobie o nim i najmniejszy błysk zrozumienia nie zapalał się w jego nieruchomym spojrzeniu.

Xirdal żył na razie we własnym świecie i zajmował się rozwiązywaniem innych problemów. Jakich? Nie zwierzał się z tego. Lecz musiały one mieć jakiś związek z morzem, gdyż Xirdal spędzał całe dnie na przedzie lub w tylnej części statku, spoglądając na fale. Nie byłoby może zbytnią śmiałością przypuszczać, że prowadził w myśli swe badania nad zjawiskiem ciśnienia powierzchniowego, o którym rzucił kiedyś kilka słów przechodniom, sądząc, że mówi do swego przyjaciela Marcelego Leroux. Być może nawet, że wnioski, do których

wtedy doszedł, nie pozostały bez wpływu na wspaniałe odkrycia, którymi miał kiedyś zadziwić świat.

Nazajutrz po przybyciu do Uperniviku pan Lecoeur, który zaczynał już wpadać w rozpacz, spróbował obudzić uwagę swego chrzestniaka podsuwając mu przed oczy maszynę uwolnioną od chroniącego ją pokrowca. Obliczył dobrze, środek podziałał radykalnie. Dostrzegłszy maszynę Zefiryn Xirdal wstrząsnął się, jakby się obudził ze snu, i powiódł dokoła spojrzeniem, w którym można było wyczytać pewność i przenikliwość cechujące wielkie chwile jego życia.

— Gdzie my jesteśmy? — zapytał.

— W Uperniviku — odpowiedział Lecoeur.

— A mój teren?

— Właśnie tam idziemy.

Nie było to zupełnie ścisłe. Należało przedtem zajść do pana Biarna Haldorsena, szefa Inspektoratu Północnego, którego siedzibę rozpoznali łatwo po wywieszonej na niej fladze. Wymieniwszy grzecznościowe formułki trzej panowie zaczęli omawiać sprawy poważne za pośrednictwem tłumacza, którego pomoc zapewnił sobie przezorny pan Lecoeur.

Zaraz na początku wyłoniła się pierwsza trudność. Pan Biarn Haldorsen nie próbował podawać w wątpliwość przedłożonych mu tytułów własności; lecz ich interpretacja nie była oczywista. W myśl owych tytułów, zredagowanych według wszelkich reguł i zaopatrzonych we wszystkie podpisy i wszystkie pożądane pieczęcie oficjalne, rząd grenlandzki, reprezentowany przez swego przedstawiciela dyplomatycznego w Kopenhadze, odstępował panu Zefirynowi Xirdalowi teren o powierzchni dziewięciu kilometrów kwadratowych, ograniczony przez cztery równe boki po trzy kilometry każdy, skierowane w cztery strony świata i przecinające się pod kątem prostym w równej odległości od punktu centralnego położonego pod 72°51'30” szerokości północnej i 55°35'18” długości zachodniej; wszystko to za cenę pięciuset koron za kilometr kwadratowy. Całość kosztowała więc nieco ponad sześć tysięcy franków.

Pan Biarn Haldorsen zgadzał się chętnie na wszystko, lecz trzeba było się jeszcze dowiedzieć, jakie jest położenie punktu centralnego. Słyszał on oczywiście o szerokości i długości geograficznej i wiedział, że coś takiego istnieje. Lecz do tego ograniczała się wiedza pana Haldorsena. Czy szerokość jest zwierzęciem, czy rośliną, a długość minerałem czy meblem — wszystko to wydawało mu się jednakowo dopuszczalne, a on sam nie upodobał sobie specjalnie żadnego z tych rozwiązań.

Zefiryn Xirdal uzupełnił kilku słowami wiedzę kosmograficzną szefa Inspektoratu Północnego i sprostował to, co w niej było błędne. Zaproponował następnie, że sam dokona niezbędnych obserwacji i obliczeń za pomocą przyrządów, z „Atlantyku". Kapitan statku duńskiego stojącego właśnie w przystani mógł poza tym sprawdzić wyniki, aby w pełni uspokoić jego ekscelencję Biarna Haldorsena.

Tak też zdecydowano postąpić.

W ciągu dwóch dni Zefiryn skończył swą pracę, a duński kapitan mógł tylko stwierdzić jej skrupulatną dokładność. Lecz wtedy wyłoniła się nowa trudność.

Punkt powierzchni ziemskiej mający współrzędne: 72°51'30" szerokości północnej i 55°35'18" długości zachodniej znajdował się na pełnym morzu o dwieście pięćdziesiąt metrów mniej więcej na północ od wyspy Upernivik!

Pan Lecoeur, zgnębiony tym odkryciem, wybuchnął gwałtownymi oskarżeniami. Co teraz będzie? Tak więc przybyli do tych zapadłych okolic, by patrzeć z głupią miną, jak meteor w najlepsze będzie się kąpał w morzu! Czy można sobie wyobrazić podobną lekkomyślność? W jaki sposób Zefiryn Xirdal — on, uczony! — mógł popełnić tak grubą omyłkę?

Wyjaśnienie tego błędu było całkiem proste. Zefiryn Xirdal nie wiedział, że słowo „Upernivik" oznacza nie tylko miasteczko, ale i wyspę. To wszystko. Określiwszy matematycznie miejsce upadku bolidu, zaufał kiepskiej mapie wydartej z małego atlasu szkolnego; mapę tę wyciągnął z jednej ze swych licznych kieszeni i podsunął przed oczy rozgniewanego bankiera. Wskazywała ona istotnie, że punkt

kuli ziemskiej określony przez 72°5l'30” szerokości północnej i 55°35'18” długości zachodniej leży blisko miasteczka Upernivik, lecz nie wskazywała, że ta mieścina, umieszczona bez skrupułów dość daleko w głębi lądu, jest, wprost przeciwnie, położona na wyspie tej samej nazwy, bezpośrednio nad brzegiem morza. Zefiryn Xirdal, nie szukając dalej, uwierzył na słowo tej mapie, trochę zbyt lekkomyślnie podającej wszystko w przybliżeniu.

Oby to mogło służyć za nauczkę! Niech czytelnicy tego opowiadania przykładają się pilnie do nauki geografii i nie zapominają, że Upernivik jest wyspą! Może im się to przydać pewnego dnia, gdy będą mieli przyjąć meteor wartości pięciu tysięcy siedmiuset osiemdziesięciu ośmiu miliardów!

Lecz nie załatwi to sprawy meteoru whastońskiego. Gdyby przynajmniej można było wyznaczyć teren nieco dalej na południe, drobne to oszustwo mogłoby nawet okazać się korzystne na wypadek odchylenia drogi meteoru. Lecz Zefiryn Xirdal, popełniwszy tę nieostrożność, że uzupełnił wykształcenie jego ekscelencji Biarna Haldorsena i przyjął mocno teraz krępującą kontrolę, uniemożliwiał ten niewinny wybieg. Trzeba było zgodzić się na taką sytuację i objąć w posiadanie zakupiony teren, znajdujący się częściowo na powierzchni morza, a częściowo na lądzie.

Granica południowa tej drugiej, bardziej interesującej części znalazła się ostatecznie o tysiąc dwieście pięćdziesiąt jeden metrów od północnego brzegu wyspy Upernivik, a jej trzykilometrowa długość przewyższała w tym miejscu szerokość wyspy. Wobec tego granice: wschodnia i zachodnia musiały być wytknięte na pełnym morzu. Zefiryn Xirdal otrzymał więc w istocie nieco ponad dwieście siedemdziesiąt dwa hektary, zamiast kupionych i zapłaconych dziewięciu kilometrów kwadratowych, co czyniło nabycie tej nieruchomości nieskończenie mniej korzystnym. Był to, doprawdy, kiepski interes.

Ze względu na upadek bolidu był to nawet interes fatalny. Punkt wymierzony przez Xirdala z taką zręcznością znajdował

się na morzu! Oczywiście, Zefiryn liczył się z możliwością zboczenia, skoro zapewnił sobie „luz” tysiąca pięciuset metrów we wszystkich kierunkach wokół tego punktu. Lecz w jakim kierunku nastąpi zboczenie? Tego nie wiedział. Mogło się oczywiście zdarzyć, że meteor spadnie na parcelę pozostającą w jego posiadaniu; lecz wypadek przeciwny nie miałby w sobie nic zadziwiającego. Stąd powód do ciężkiej troski dla pana Lecoeur.

— Co teraz zrobisz? — zapytał swego chrzestniaka. Zefiryn podniósł ręce do nieba na znak niewiedzy.

— Jednak trzeba działać — podjął ojciec chrzestny gniewnym tonem. — Musisz nas wyciągnąć z tego impasu.

Zefiryn Xirdal zastanawiał się chwilę.

— Pierwsza rzecz, którą należy zrobić — rzekł wreszcie — to ogrodzić teren i zbudować na nim barak wystarczający na nasze mieszkanie. Potem pomyślę, co dalej.

Pan Lecoeur wziął się do dzieła. W ciągu tygodnia marynarze z „Atlantyku” przy pomocy kilku Grenlandczyków znęconych dobrym zarobkiem, wznieśli ogrodzenie z drutu, którego dwa krańce tonęły w morzu; zbudowali też chatę z desek, umeblowaną z grubsza najpotrzebniejszymi sprzętami.

Dwudziestego szóstego lipca, na trzy tygodnie przed spodziewanym upadkiem bolidu, Xirdal zabrał się do pracy. Dokonawszy kilku obserwacji meteoru w górnych strefach atmosfery, uleciał w górne strefy matematyki. Jego nowe obliczenia potwierdziły tylko dokładność obliczeń poprzednich. Nie popełnił żadnej omyłki. Meteor nie zboczył z drogi i spadnie dokładnie w przewidzianym miejscu.

— A więc w morze! — stwierdził pan Lecoeur nie kryjąc wściekłości.

— Oczywiście, że w morze — odparł pogodnie Xirdal, który jako matematyk nie doznawał żadnych innych uczuć prócz wielkiego zadowolenia ze ścisłości swych obliczeń.

Lecz prawie natychmiast objawiła mu się druga strona zagadnienia.

— Do diabła! — zaklął zmieniając ton i przypatrując się z niezdecydowaną miną ojcu chrzestnemu.

Ten ostatni zmusił się do zachowania spokoju.

— Posłuchaj, Zefirynie — podjął dobrotliwym tonem, jak gdyby mówił do dziecka. — Nie powinniśmy czekać z założonymi rękami, jak sądzę. Popełniliśmy głupstwo, trzeba je naprawić. Skoro mogłeś sprowadzić meteor z nieba, będzie dla ciebie zabawką nakazać mu zboczenie o kilkaset metrów.

— Tak wuj sądzi? — odpowiedział Zefiryn potrząsając głową. — Gdy działałem na meteor, był on odległy o czterysta kilometrów. Przyciąganie ziemskie na tę odległość było tak niewielkie, że ilość energii, jaką rzucałem na jedną stroną jego powierzchni, wystarczała do wywołania poważnego naruszenia równowagi. Teraz jest inaczej. Bolid jest bliżej i przyciąganie ziemskie działa na niego z taką siłą, że trochę mniej lub trochę więcej energii nie wywoła większych zmian. Z drugiej strony, zmniejszyła się co prawda szybkość bezwzględna bolidu, ale za to zwiększyła się bardzo szybkość jego ruchu obrotowego. Przebiega on teraz z szybkością błyskawicy i nie ma już czasu, by wpłynąć na. niego z zewnątrz.

— A więc nie możesz nic poradzić? — nalegał pan Lecoeur gryząc wargi, by nie wybuchnąć.

— Tego nie powiedziałem — sprostował Xirdal. — Lecz nie jest to rzecz zbyt łatwa. Naturalnie, można jednak próbować.

Spróbował rzeczywiście, i to z taką wytrwałością, że siedemnastego sierpnia uznał powodzenie swych wysiłków za całkowicie pewne. Bolid, zboczywszy z drogi, spadnie ostatecznie na grunt stały, o pięćdziesiąt metrów od brzegu, czyli w odległości wykluczającej wszelkie niebezpieczeństwo…

Na nieszczęście, w ciągu następnych dni owa gwałtowna burza, która tak silnie wstrząsnęła okrętami w zatoce Upernivik, szalała nad całą powierzchnią ziemi i Xirdal mógł się słusznie lękać, czy droga bolidu nie uległa zmianie przy tak gwałtownym ruchu powietrza.

Burza ta, jak wiemy, uspokoiła się w nocy z osiemnastego na dziewiętnasty sierpnia, lecz mieszkańcy chaty nie skorzystali z

chwili odpoczynku darowanej przez rozpasane żywioły. Oczekiwanie upadku nie pozwoliło im nawet na sekundę wytchnienia. Asystowali najpierw przy zachodzie słońca, nieco po wpół do jedenastej wieczorem; następnie w trzy godziny później ujrzeli wschód na niebie całkowicie uwolnionym od chmur.

Upadek nastąpił dokładnie w porze zapowiedzianej przez Xirdala. O godzinie szóstej pięćdziesiąt siedem minut trzydzieści piąć sekund błyskawica przedarła przestworza w północnej stronie, na wpół oślepiając pana Lecoeur i jego chrzestniaka, którzy od godziny śledzili horyzont z progu swego domku. Prawie równocześnie usłyszeli głuchy huk i ziemia zadrżała pod straszliwym uderzeniem.

Meteor spadł.

Gdy Zefiryn Xirdal i pan Lecoeur odzyskali wzrok, ujrzeli najpierw blok złota w odległości pięciuset metrów.

— Żarzy się — szepnął pan Lecoeur głęboko wzruszony.

— Tak — odpowiedział Xirdal, niezdolny do wymówienia czegokolwiek więcej.

Powoli jednak odzyskali spokój i zdali sobie dokładniej sprawę z tego, co widzieli.

Bolid był rzeczywiście rozpalony. Jego temperatura musiała przekraczać tysiąc stopni i była bliska punktu topnienia. Widać było doskonale jego porowatą budowę; obserwatorium w Greenwich przyrównało go słusznie do gąbki. Liczne kanały przebijające powierzchnię (która pociemniała pod wpływem oziębienia spowodowanego promieniowaniem) pozwalały przeniknąć wzrokiem do wnętrza, gdzie metal miał żywą barwę czerwoną. Kanały te podzielone, pokrzyżowane, poskręcane w tysiąc meandrów tworzyły ogromną liczbę komórek, z których wydobywało się z sykiem przegrzane powietrze.

Choć bolid uległ silnemu spłaszczeniu podczas zawrotnego lotu ku ziemi, zachował jeszcze częściowo kulisty kształt. Część górna pozostała dość regularnie zaokrąglona, gdy podstawa, rozpłaszczona i zmiażdżona, przylegała ściśle do nierówności gruntu.

— Ależ… on się stoczy w morze! — zawołał pan Lecoeur po chwili. Jego chrzestniak milczał.

— Zapowiedziałeś, że spadnie o pięćdziesiąt metrów od brzegu.

— Jego środek znajduje się o dziesięć metrów od brzegu, wziąwszy pod uwagę długość promienia.

— Dziesięć to nie pięćdziesiąt.

— Zboczył zapewne wskutek burzy.

Dwaj panowie nie wymieniali już dalszych uwag i w milczeniu przyglądali się złotej kuli. Pan Lecoeur słusznie odczuwał niepokój. Bolid spadł o dziesięć metrów od krawędzi skały najdalej wysuniętej w kierunku morza, na pochyłość, która łączyła tę krawędź z resztą wyspy. Ponieważ promień jego miał pięćdziesiąt pięć metrów, jak słusznie stwierdziło obserwatorium w Greenwich, część meteoru, długości czterdziestu pięciu metrów, zawisła nad pustką. Olbrzymia bryła metalu, rozmiękła już przedtem pod wpływem wysokiej temperatury, upadłszy przy tym nieco dalej od miejsca wyznaczonego, spłynęła — jeśli można tak powiedzieć — wzdłuż pionowej skały i zwisała żałośnie prawie nad samą powierzchnią morza. Lecz druga część, wbita dosłownie w skałę, utrzymywała całość ponad oceanem.

Meteor nie spadał, zachowywał więc widocznie równowagę. Równowaga ta wydawała się jednak mocno chwiejna i zrozumiałe było, że najsłabsze pchnięcie wystarczy, by zrzucić bajeczny skarb w przepaść. Gdyby zaczął się toczyć po pochyłej skale, nic nie mogłoby go zatrzymać i ześliznąłby się nieodwołalnie do morza, które zamknęłoby się nad nim.

„Jeszcze jeden powód do pośpiechu” — pomyślał nagle, przytomniejąc, pan Lecoeur. Szaleństwem było trwonić czas w ten sposób na bezmyślną kontemplację, z wielką szkodą własnych interesów.

Przeszedłszy, nie tracąc chwili czasu, za domek, wywiesił flagę francuską na szczycie masztu dość wysokiego, by można go było dostrzec ze statków zakotwiczonych przed Upernivikiem. Wiemy już, że sygnał ten został dostrzeżony i

zrozumiany. „Atlantyk” wypłynął natychmiast na morze, kierując się do najbliższej stacji telegraficznej, skąd została wysłana, pod adresem banku Roberta Lecoeur, na ulicy Drouot w Paryżu, depesza zredagowana w umówiony sposób, której tłumaczenie brzmiało: „Bolid spadł. Sprzedawać!”

W Paryżu wykonają pośpiesznie ten rozkaz i nowe olbrzymie zyski wpłyną do kieszeni pana Lecoeur, który grał bez ryzyka. Kiedy upadek bolidu stanie się ogólnie wiadomy, spowoduje to niewątpliwie kompletny krach kopalni. Pan Lecoeur odkupi wówczas akcje w najkorzystniejszych warunkach. Interes był dobry, cokolwiek by się miało wydarzyć, i pan Lecoeur nie mógł nie zarobić poważnej liczby milionów.

Zefiryn Xirdal, nieczuły na te poziome zainteresowania, był dalej pogrążony w kontemplacji, gdy dotarła do niego wrzawa licznych głosów. Odwróciwszy się dostrzegł tłum turystów, którzy z panem Schnackiem na czele ośmielili się wtargnąć do jego posiadłości. To było doprawdy niedopuszczalne! Xirdal, który nabył teren, aby być u siebie panem, poczuł się oburzony taką bezceremonialnością.

Szybkim krokiem wybiegł na spotkanie bezczelnych najeźdźców.

Delegat Grenlandii spotkał go w połowie drogi.

— Jak to się stało, proszę pana — rzekł Xirdal zwracając się do niego — że panowie weszli na mój grunt? Czy nie widzieliście napisów?

— Niech mi pan wybaczy — odpowiedział grzecznie pan Schnack. — Widzieliśmy je doskonale, ale myśleliśmy, że wolno w tak nadzwyczajnych okolicznościach pogwałcić powszechnie przyjęte zasady.

— Nadzwyczajne okoliczności? — zapytał Xirdal naiwnie. — Jakie właściwie?

Postawa pana Schnacka wyrażała nie bez racji pewne zdziwienie.

— Jakie nadzwyczajne okoliczności? — powtórzył. — Czy mnie dopiero przypadło w udziale poinformować pana, że bolid whastoński spadł na tę wyspę?

— Wiem o tym doskonale — oświadczył Xirdal — lecz nie ma w tym nic nadzwyczajnego. Upadek bolidu to fakt zupełnie pospolity.

— Nie wtedy, gdy jest on ze złota.

— Ze złota czy nie ze złota, bolid jest bolidem.

— Innego zdania są te panie i ci panowie — odrzekł pan Schnack wskazując tłum turystów, których przeważna większość nie rozumiała z tego dialogu ani słowa. — Wszyscy ci ludzie przybyli tylko po to, by asystować przy upadku whastońskiego bolidu. Musi pan przyznać, że przykro byłoby zostać zatrzymanym po takiej podróży przez zaporą z drutu.

— To prawda — zgodził się Xirdal nastrojony ugodowo. Sprawy były więc na najlepszej drodze; gdy pan Schnack miał nieostrożność dorzucić:

— Jeśli chodzi o mnie, tym bardziej nie mogłem zatrzymać się przed pańską barierą, że przeszkadzała mi ona w spełnieniu oficjalnej misji.

— Na czym polega ta misja?

— Na tym, by objąć bolid w posiadanie w imieniu Grenlandii, której jestem tutaj przedstawicielem.

Xirdal aż podskoczył.

— Objąć bolid w posiadanie! — zawołał. — Chyba pan oszalał, mój panie!

— Nie rozumiem, dlaczego miałbym oszaleć — odpowiedział urażonym tonem pan Schnack. — Bolid spadł na terytorium grenlandzkim. Należy więc do państwa grenlandzkiego jako rzecz niczyja.

— Ile słów, tyle błędów — zaprotestował z rosnącą gwałtownością Zefiryn Xirdal. — Po pierwsze, bolid nie spadł na terytorium Grenlandii, lecz na moje własne, zważywszy, że Grenlandia sprzedała mi je za gotówkę. Ponadto bolid należy do kogoś, a tym kimś jestem ja.

— Pan?

— Tak jest. Ja!

— Z jakiego tytułu?

— Ależ z wszelkich możliwych tytułów, drogi panie. Beze mnie bolid krążyłby jeszcze w przestrzeni, gdzie byłoby panu trudno go znaleźć, choć jest pan reprezentantem Grenlandii. Jakże nie miałby być moim, skoro jest u mnie i skoro ja spowodowałem jego upadek?

— Co pan mówi? — zdumiał się pan Schnack.

— Mówię, że to ja zmusiłem go do upadku. Zresztą zawiadomiłem o tym Konferencję Międzynarodową, która zebrała się podobno w Waszyngtonie. Przypuszczam, że moja depesza przerwała jej prace.

Pan Schnack przyglądał się niepewnie swemu rozmówcy. Zastanawiał się, czy ma do czynienia z żartownisiem, czy z wariatem.

— Mój panie — odpowiedział — brałem udział w Konferencji Międzynarodowej i mogę pana zapewnić, że obradowała jeszcze, gdym opuszczał Waszyngton. Z drugiej strony, mogę pana również zapewnić, że nic nie wiem o wspomnianej przez pana depeszy.

Pan Schnack był szczery. Będąc przygłuchy nie słyszał ani słowa z depeszy przeczytanej, jak to jest zwyczajem w szanujących się parlamentach, wśród piekielnej wrzawy postronnych rozmów.

— Niemniej ja ją wysłałem — utrzymywać Xirdal, który zaczynał się zapalać. — Czy dotarła do miejsca przeznaczenia, czy nie, to nie zmienia w niczym moich praw.

— Pańskich praw? — oburzył się pan Schnack, którego również zirytowała nieoczekiwana dyskusja. — Czy ośmiela się pan rościć poważnie jakieś pretensje do bolidu?

— Może mam się krępować?! — zawołał Xirdal szyderczo.

— Bolid wartości sześciu trylionów franków!

— I co z tego? Gdyby był wart trzysta tysięcy milionów miliardów tryliardów, nie przeszkodziłoby mu to należeć do mnie.

— Do pana! Dobre sobie! Jeden człowiek miałby posiadać więcej złota niż cała reszta świata! To byłoby niedopuszczalne.

— Nie wiem, czy to byłoby dopuszczalne, czy nie! — zawołał Xirdal rozgniewany nie na żarty. — Wiem tylko jedno, że bolid należy do mnie.

— To jeszcze zobaczymy — zakończył sucho pan Schnack. — Na razie pozwoli pan, że pójdziemy tam, dokąd zmierzamy.

To powiedziawszy delegat dotknął lekko ronda swego kapelusza i na jego znak przewodnik-autochton ruszył w dalszą drogę. Pan Schnack poszedł za nim, a tuż za panem Schnackiem trzy tysiące turystów.

Zefiryn Xirdal stojąc na swych długich nogach patrzył, jak przechodzi przed nim tłum, który zdawał się go ignorować. Jego oburzenie było ogromne. Wchodzić do jego posiadłości bez pozwolenia i zachowywać się jak w podbitym kraju! Zaprzeczać mu praw do bolidu! To przekraczało wszelkie granice.

Nie można było jednak nic poradzić przeciwko takim tłumom. Dlatego też, gdy przeszedł ostatni z obcych, Zefiryn musiał cofnąć się ku swej chałupce. Był zwyciężony, ale nie przekonany i odchodząc nie starał się bynajmniej opanować złości.

— To wstrętne!... Wstrętne! — powtarzał do syta, gestykulując jak semafor.

Tymczasem tłum śpieszył za przewodnikiem, który zatrzymał się wreszcie u nasady najbardziej wysuniętego cypla wyspy. Nie można było iść dalej.

Pan Schnack i pan Wharf dogonili go zaraz, a za nimi panowie Forsyth i Hudelson, Francis i Jenny, Omikron, pan Seth Stanfort, pani Arkadia Walker i cały tłum ciekawych, których flotylla statków wyrzuciła na brzeg Zatoki Baffina.

Tak! Niepodobieństwem było iść dalej. Nieznośne gorąco nie pozwalało posunąć się ani na krok.

Zresztą krok taki byłby niepotrzebny. Złota kula widniała w odległości niespełna czterystu metrów i wszyscy mogli ją oglądać, jak to uczynili godzinę wcześniej Zefiryn Xirdal i pan Lecoeur. Nie promieniała już jak w okresie, gdy zakreślała swą orbitę w przestrzeni, lecz blask jej był ciągle tak silny, że oczy z

trudem go znosiły. Niedostępna na niebie, była w gruncie rzeczy niedostępna także i teraz, gdy spoczywała na ziemi.

W tym miejscu wybrzeże tworzyło rodzaj skalistego płaskowzgórza, które krajowcy nazywają w swym języku „unalek”. Pochylone ku oceanowi, kończyło się pionowym urwiskiem wzniesionym o jakieś trzydzieści metrów nad poziom morza. Bolid spadł na brzeg tego płaskowzgórza. Jeszcze parę metrów bardziej na prawo, a byłby utonął w czeluściach otwierających się u stóp skały.

— Tak. Dwadzieścia kroków dalej, a byłby na dnie — szepnął, nie mogąc się powstrzymać, Francis Gordon.

— Skąd nie byłoby go łatwo wyciągnąć — dokończyła Arkadia Walker.

— No, pan Schnack jeszcze nie ma go w ręku — zauważył Seth Stanfort. — Sporo wody upłynie, zanim rząd grenlandzki będzie go mógł zamknąć w skarbowych kasach.

Rzeczywiście, lecz kiedyś to przecież nastąpi. Po prostu należało mieć trochę cierpliwości. Wystarczy zaczekać na ochłodzenie bolidu, a skoro zbliża się zima arktyczna, nie będzie to trwało długo.

Pan Dean Forsyth i pan Sydney Hudelson stali nieruchomo, zahipnotyzowani — można powiedzieć — przez tę masę złota, która paliła im oczy. Obaj usiłowali posunąć się naprzód i obaj musieli się cofnąć, podobnie jak i niecierpliwy Omikron, który o mało nie upiekł się na rostbef. W odległości czterystu metrów od bolidu temperatura sięgała pięćdziesięciu stopni i nie można było oddychać powietrzem rozgrzanym od ciepła, które wydzielał meteor.

„Lecz ostatecznie… jest tu… spoczywa na wyspie… nie .na dnie morza… Nie jest stracony dla wszystkich! Jest własnością szczęśliwej Grenlandii! Czekać… wystarczy czekać…”

Oto, co powtarzali ciekawi, zatrzymani przez upał na skalnym zakręcie.

Tak, czekać… lecz ile czasu? Czy bolid nie będzie stygł przez miesiąc lub dwa miesiące? Bryły metalowe, rozgrzane do tak wysokiej temperatury, mogą pozostać długo w stanie

rozpalenia. Zdarzało się to już z bolidami mającymi o wiele mniejszą objętość.

Minęły trzy godziny, a nikt nie zamierzał odejść. Czy, wszyscy chcieli zaczekać, aż można będzie zbliżyć się do bolidu? Ale to nie nastąpi ani dziś, ani nawet jutro. Należało albo założyć obóz i przynieść zapasy żywności, albo wrócić na statki.

— Panie Stanfort — rzekła Arkadia Walker — czy sądzi pan, że wystarczy kilka godzin, by ostygł ten rozpalony blok?

— Ani kilka godzin, ani kilka dni, pani Walker.

— Pójdę więc na pokład „Oregonu". Będę tu mogła wrócić później.

— Ma pani zupełną słuszność — odrzekł Stanfort. — Za pani przykładem skieruję się i ja w stronę „Mozika". Myślę, że czas już na śniadanie.

Była to najrozsądniejsza decyzja, lecz Francis Gordon i Jenny nie mogli do niej nakłonić panów Forsytha i Hudelsona. Chociaż tłum rozproszył się powoli i nawet pan Schnack zdecydował się jako ostatni wrócić do osady, dwaj maniacy upierali się, aby pozostać sam na sam ze swym meteorem.

— Czy idziesz wreszcie, tatusiu? — zapytała po raz dziesiąty Jenny Hudelson około drugiej po południu.

Zamiast odpowiedzi doktor Hudelson postąpił kilka kroków naprzód. Musiał się jednak szybko cofnąć, jakby się zapędził przed paszczę pieca. Pan Forsyth, który rzucił się za nim, musiał także ustąpić z niemniejszym pośpiechem.

— Posłuchaj, wuju — podjął ze swej strony Francis Gordon — niech pan posłucha, panie Hudelson, czas wrócić na pokład. Cóż u diabła? Bolid już przecież nie ucieknie. Nie napełnicie żołądków pożerając go wzrokiem.

Próżne wysiłki! Dopiero wieczorem, upadając ze znużenia i wycieńczenia, pan Forsyth i pan Hudelson zgodzili się opuścić to miejsce, mocno zdecydowani powrócić nazajutrz.

Wrócili tam rzeczywiście wczesnym rankiem, lecz natknęli się na pięćdziesięciu uzbrojonych ludzi (wszystkie siły zbrojne Grenlandii) pełniących służbę porządkową przy cennym meteorze.

Przeciw komu podejmował rząd te środki ostrożności? Przeciw Zefirynowi Xirdalowi? W takim razie pięćdziesięciu ludzi była to duża siła. Tym bardziej że bolid sam bronił się doskonale. Jego nieznośne gorąco trzymało najodważniejszych w przyzwoitej odległości. Od dnia poprzedniego zyskano może metr. W tym tempie trzeba by długich miesięcy, by pan Schnack mógł faktycznie objąć skarb w posiadanie w imieniu Grenlandii.

Mniejsza o to. Pewne jest jedynie, że kazano go pilnować. Gdy chodzi o blisko sześć trylionów, nie można być zbyt ostrożnym.

Na prośbę pana Schnacka jeden z okrętów stojących w porcie odjechał, by wielką nowinę podać telegraficznie do wiadomości całego świata. W ciągu czterdziestu ośmiu godzin upadek bolidu będzie więc powszechnie znany. Czy nie zakłóci to planów pana Lecoeur? Bynajmniej. Ponieważ „Atlantyk" odjechał już przed dwudziestu czterema godzinami, a szybkość jachtu była dużo większa, bankier miał do dyspozycji trzydzieści sześć godzin, to jest czas wystarczający, by doprowadzić spekulację finansową do pomyślnego końca. Jeśli rząd grenlandzki czuł się bezpieczny dzięki obecności pięćdziesięciu strażników, o ileż silniejsze musiało być to uczucie tego samego dnia, gdy meteoru strzegło już siedemdziesięciu ludzi?

Około dwunastej jakiś krążownik przybył do Uperniviku.

Na jego maszcie powiewała gwiaździsta bandera Stanów

Zjednoczonych. Gdy tylko jego kotwica dosięgła dna, opuściło pokład dwudziestu ludzi, którzy pod komendą chorążego marynarki rozłożyli się obozem koło bolidu.

Gdy pan Schnack dowiedział się o zwiększeniu służby porządkowej, doznał dziwnie sprzecznych uczuć. Był zadowolony, że cenny bolid broniony jest z taką gorliwością, lecz wylądowanie uzbrojonych marynarzy amerykańskich na terytorium grenlandzkim napawało go poważnym niepokojem. Chorąży, któremu się zwierzył, nie mógł udzielić mu żadnych wyjaśnień. Słuchał rozkazów swych zwierzchników i o niczym więcej nie wiedział.

Pan Schnack postanowił więc, że zaraz następnego dnia uda się na pokład krążownika i złoży zażalenie. Lecz gdy chciał wykonać swój plan, znalazł się wobec podwójnego zadania.

Przybył bowiem w nocy drugi krążownik, tym razem angielski. Komendant, dowiedziawszy się, że upadek meteoru był faktem dokonanym, wysadził również na ląd — za przykładem amerykańskiego kolegi — dwudziestu marynarzy, którzy pod wodzą drugiego chorążego skierowali się przyśpieszonym krokiem na północny zachód wyspy.

Pan Schnack mocno się zafrasował. Co to wszystko znaczy? A kłopoty rosły z godziny na godzinę. Po południu zasygnalizowano trzeci krążownik pod trójkolorową banderą, a w dwie godziny później dwudziestu marynarzy francuskich pod wodzą podporucznika objęło ze swej strony straż nad bolidem.

Sytuacja komplikowała się niewątpliwie. Ale to jeszcze nie był koniec. W nocy przybył czwarty krążownik —

rosyjski.

Potem dnia dwudziestego drugiego zjawiły się kolejno okręty:

japoński,

włoski

i niemiecki.

Nazajutrz, dwudziestego trzeciego sierpnia, krążowniki

argentyński

i hiszpański

nieznacznie tylko wyprzedziły okręt

chilijski,

za którym podążały jeszcze

portugalski

i holenderski.

Dwudziestego piątego sierpnia szesnaście okrętów wojennych, pomiędzy które wsunął się znowu dyskretnie „Atlantyk”, tworzyło przed Upernivikiem eskadrę międzynarodową, jakiej nigdy nie widziały te dalekie północne brzegi. Każdy z nich wysadził na ląd dwudziestu ludzi i oficera; to znaczy, że trzystu dwudziestu marynarzy i szesnastu

oficerów wszystkich narodowości deptało obecnie ziemię, której, mimo odwagi, nie mogło obronić pięćdziesięciu grenlandzkich żołnierzy.

Każdy okręt przynosił nową porcję wiadomości, które, jeśli sądzić po ich skutkach, nie budziły wcale otuchy. Konferencja Międzynarodowa obradowała wprawdzie nadal w Waszyngtonie, lecz kontynuowała sesje tylko dla zachowania pozorów. W tej chwili głos miała dyplomacja, a szeptano, że może odezwą się i armaty. W gabinetach ministrów dyskutowano zawzięcie, i to w dość ostrym tonie.

W miarę jak przybywały nowe statki, wiadomości stawały się coraz bardziej niepokojące. Nie wiedziano nic pewnego, lecz w sztabach i wśród załogi krążyły głuche wieści, a wzajemne stosunki między oddziałami okupacyjnymi stawały się co dzień bardziej napięte.

Dowódca amerykański zaprosił na początku Kolegę angielskiego, który zapraszając go z kolei do siebie skorzystał z okazji, by wyświadczyć tę samą grzeczność komendantowi krążownika francuskiego. Lecz na tym skończyły się międzynarodowe uprzejmości. Obecnie każdy siedział kamieniem u siebie, czekając, skąd powieje wiatr, którego pierwsze podmuchy zdawały się zapowiadać burzę.

Tymczasem gniew nie opuszczał Zefiryna Xirdala. Pan Lecoeur miał pełne uszy jego nieustannych skarg i na próżno usiłował apelować do jego zdrowego rozsądku.

— Powinieneś zrozumieć — mówił — mój drogi Zefirynie, że pan Schnack ma rację i że nie można pozwolić jednostce na swobodne dysponowanie tak kolosalną sumą. Interwencja delegata była czymś zupełnie naturalnym. Pozwól mi jednak działać. Gdy uspokoi się pierwsze poruszenie, ja z kolei będę interweniował i uważam za niepodobieństwo, by nie liczono się w dużej mierze ze słusznością naszych żądań. Zdobędę coś dla ciebie, nie ma wątpliwości.

— Coś? — zawołał Xirdal. — Gwiżdżę na wuja „coś”! Co wuj chce, żebym robił z tym złotem? Czy ja go potrzebuję?

— Zatem — oponował pan Lecoeur — dlaczego się tak unosisz?

— Ponieważ bolid jest mój! Oburza mnie, że chcą mi go zabrać. Nie zniosę tego.

— Co możesz zrobić przeciw całemu światu, mój biedny Zefirynie?

— Gdybym wiedział, byłbym to już dawno zrobił. Lecz cierpliwości! Kiedy ten jakiś delegat zgłosił pretensję do mego bolidu, to było obrzydliwe. Cóż powiedzieć teraz? Dziś ile krajów, tyle złodziei! Nie mówiąc już o tym, że mają się podobno brać niedługo za łby. Do diabła, źle chyba zrobiłem, żem nie zostawił bolidu na jego dawnym miejscu. Wydawało mi się zabawne zmusić go do upadku. Uważałem, że doświadczenie jest interesujące… Gdybym był wiedział!… Biedacy nie mający grosza w kieszeni będą się teraz bili o miliardy! Niech wuj mówi, co chce, to staje się coraz ohydniejsze!

Xirdal nie przestawał narzekać.

Nie miał w każdym razie racji irytując się na pana Schnacka. Nieszczęsny delegat, żeby użyć popularnego wyrażenia, ledwo zipał. Inwazja cudzoziemców na terytorium grenlandzkie nie wróżyła mu nic dobrego, a wspaniała fortuna republiki zdawała się spoczywać na bardzo kruchych podstawach. Ale co począć? Czy mógł zepchnąć na morze przy pomocy swoich pięćdziesięciu ludzi trzystu dwudziestu marynarzy zagranicznych, ostrzelać, storpedować i zatopić szesnaście opancerzonych potworów, które otaczały port?

Oczywiście, że nie mógł. Lecz mógł, a nawet powinien był protestować w imieniu swego kraju przeciw pogwałceniu terytorium państwowego.

Pewnego dnia, gdy dowódcy angielski i francuski wysiedli na ląd jako zwyczajni śmiertelnicy wiedzeni ciekawością, pan Schnack skorzystał z okazji, by zażądać wyjaśnień i poczynić półurzędowe kroki, których dyplomatyczny umiar nie wykluczał gwałtowności.

Odpowiedział mu dowódca angielski. Pan Schnack — wyjaśnił — niepotrzebnie się denerwuje. Komendanci statków

stojących w porcie stosują się tylko do rozkazów właściwych admiralicji. Nie mogą ani dyskutować, ani interpretować tych rozkazów, mogą je tylko wykonywać. Przypuszczać jednak można, że przyjazd międzynarodowej floty ma jedynie na celu utrzymanie porządku wobec rzeczywiście olbrzymiego napływu ciekawych, który mógł przybrać jeszcze większe rozmiary. Poza tym pan Schnack może być spokojny. Sprawa bolidu jest przedmiotem badań i prawa każdego będą niezaprzeczalnie uszanowane.

— Z całą pewnością — potwierdził komendant francuski.

— Skoro wszystkie prawa będą uszanowane, będę mógł bronić i moich! — wykrzyknął nagle jakiś osobnik wtrącając się bez ceremonii do dyskusji.

— Z kim mam zaszczyt? — zapytał dowódca angielski.

— Dean Forsyth, astronom z Whastonu, prawdziwy ojciec i prawowity właściciel bolidu — odpowiedział z godnością osobnik.

Pan Schnack wzruszył lekko ramionami.

— Ach! Doskonale! — rzekł Anglik. — Znam dobrze pańskie nazwisko, panie Forsyth. Oczywiście, skoro posiada pan prawa do bolidu, dlaczego nie miałby pan z nich korzystać?

— Prawa! — przerwał w tym momencie drugi osobnik. — Cóż więc ja miałbym powiedzieć o moich? Czyż to nie ja, ja sam, doktor Sydney Hudelson, zwróciłem pierwszy uwagę świata na ten bolid?

— Pan?! — zaprotestował Dean Forsyth odwracając się gwałtownie, jak ukąszony przez żmiję.

— Ja.

— Konował z przedmieścia chce pretendować do takiego odkrycia!

— Kownie dobrze jak ignorant w pana rodzaju.

— Samochwał, co nie wie nawet, którą stroną patrzy się przez lunetę!

— Błazen, który nigdy nie widział teleskopu!

— Ja… ignorant?

— Ja… konował?

— Nie taki znów ignorant, żebym nie umiał zdemaskować oszusta!

— Nie taki znów marny konował, żebym nie znalazł lekarstwa na złodziejstwo!

— Tego już za wiele! — zawołał zduszonym głosem, pieniąc się ze złości Dean Forsyth. — Niech pan uważa!

Dwaj rywale z wściekłością w oczach grozili sobie zaciśniętymi pięściami i cała scena byłaby się zapewne źle skończyła, gdyby Francis i Jenny nie rzucili się między zapaśników.

— Wuju! — wołał Francis przytrzymując Deana Forystha silną dłonią.

— Tatusiu! Błagam cię! Tatusiu! — prosiła płacząc Jenny.

— Cóż to za dwaj opętańcy?

Zefiryn Xirdal, przyglądający się z pewnej odległości tej tragikomicznej scenie, zapytał o to Setha Stanforta, obok którego przypadkiem się znalazł.

W podróży przechodzi się łatwo do porządku nad protokołem towarzyskim. Pan Seth Stanfort odpowiedział bez ceremonii na to pytanie, które mu nieznajomy bez ceremonii postawił.

— Czy nie słyszał pan o Deanie Forsycie i doktorze Hudelsonie?

— Dwóch astronomach-amatorach z Whastonu?

— Właśnie.

— Odkrywcach bolidu, który tu niedawno spadł?

— To oni.

— Dlaczego się tak kłócą?

— Nie mogą się pogodzić co do tego, komu przypada pierwszeństwo odkrycia.

Zefiryn Xirdal wzruszył pogardliwie ramionami.

— Mają też o co! — powiedział.

— I obaj uważają się za właścicieli bolidu — rzekł jeszcze Seth Stanfort.

— Pod pretekstem, że przypadkowo ujrzeli go na niebie?

— Tak właśnie.

— Mają tupet — oświadczył Zefiryn. — Ale co robi w tym wszystkim ten młody człowiek i ta dziewczyna?

Pan Seth Stanfort wyjaśnił uprzejmie sytuację. Opowiedział, jaki to zbieg okoliczności zmusił dwoje narzeczonych do wyrzeczenia się projektowanego związku i wskutek jakiej to absurdalnej zazdrości korsykańska nienawiść dzieląca dwie rodziny złamała ich tkliwą i wzruszającą miłość.

Xirdal wydawał się wstrząśnięty. Spoglądał jak na dziwne zjawisko na Deana Forsytha wstrzymywanego przez Francisa Gordona i Jenny Hudelson obejmującą słabymi ramionami rozjątrzonego ojca. Gdy Seth Stanfort skończył opowiadanie, Zefiryn bez najmniejszego podziękowania zawołał donośnie: „Tym razem to już za wiele!” i oddalił się wielkimi krokami. Opowiadający śledził z flegmą odchodzącego oryginała, po czym przestał o nim myśleć i wrócił do Arkadii Walker, którą chwilowo opuścił na czas tego krótkiego dialogu.

Tymczasem Zefiryn Xirdal wychodził z siebie. Brutalnym ruchem otworzył drzwi swego domku.

— Wuju! — zawołał do pana Lecoeur, który podskoczył na tę apostrofę wypowiedzianą jadowitym tonem. — Oświadczam, że to już jest zbyt potworne.

— Cóż się znów stało? — zapytał pan Lecoeur.

— Bolid, do diabła! Ciągle ten przeklęty bolid! — Cóż on znów zbroił?

— Po prostu zaczyna szerzyć zniszczenie na całej powierzchni kuli ziemskiej. Nie można się już doliczyć jego zbrodni. Nie tylko przeobraża wszystkich tych ludzi w złodziei, ale może pogrążyć świat we krwi i pożodze, siejąc wszędzie niezgodę i wojnę. Nie koniec na tym! Pozwala sobie rozdzielać narzeczonych. Proszę zobaczyć, wuju, to dziewczątko… Mogłaby rozczulić do łez słup graniczny. To wszystko, zaiste, jest zbyt obrzydliwe.

— Jacy narzeczeni? O jakim dziewczątku mówisz? Cóż to znów za wariactwo? — zapytał przerażony pan Lecoeur.

Zefiryn Xirdal nie raczył odpowiedzieć.

— Tak, to jest zbyt ohydne — stwierdził gwałtownie. — Ale nie, nie ścierpię tego dłużej. Pogodzę wszystkich ze sobą, i to jak jeszcze!

— Jakie nowe głupstwo chcesz zrobić, Zefirynie?

— Do diabła! Nie trzeba na to czarodzieja. Wrzucę ten ich bolid do wody.

Pan Lecoeur zerwał się na równe nogi. Twarz jego pobladła pod wpływem silnego wzruszenia, które mu tamowało oddech. Ani przez chwilę nie pomyślał, że Xirdal działa pod wpływem gniewu i rzuca pogróżki, których nie będzie mógł zrealizować. Dał przecież dowody swej potęgi. Można się było po nim wszystkiego spodziewać.

— Nie zrobisz tego, Zefirynie! — zawołał pan Lecoeur.

— Przeciwnie, zrobię to. Nic mi nie może przeszkodzić. Mam tego dosyć i zabiorę się natychmiast do dzieła.

— Ale nie myślisz chyba, nieszczęsny…

Pan Lecoeur przerwał nagle. Genialna myśl, olśniewająca i szybka jak błyskawica, zrodziła się w jego mózgu. Kilka sekund wystarczyło wielkiemu wodzowi bitew pieniężnych, by zbadać dobre i złe strony zagadnienia.

— W istocie… — szepnął.

Powtórny wysiłek myślowy utwierdził go w przekonaniu, że projekt jest doskonały. Zwrócił się więc do Zefiryna Xirdala i rzekł bez ogródek, jak człowiek spieszący się, dla którego minuty mają wartość godzin.

— Nie będę ci się dłużej sprzeciwiał. Chcesz wrzucić bolid do morza? Proszę bardzo! Ale czy nie mógłbyś mi udzielić kilku dni zwłoki?

— Muszę nawet! — zawołał Xirdal. — Muszę przerobić maszynę tak, żeby była zdolna do nowej pracy, której od niej żądam. Te przeróbki wymagają pięciu lub sześciu dni.

— A więc wypadłoby to trzeciego września?

— Tak.

— Doskonale — rzekł pan Lecoeur, po czym wyszedł i skierował się szybko w stronę osady, gdy tymczasem jego chrzestniak zabrał się do dzieła.

Nie tracąc czasu pan Lecoeur kazał się zawieźć na pokład „Atlantyku”, którego komin natychmiast zaczął wyrzucać kłęby czarnego dymu. W dwie godziny później właściciel statku wrócił na brzeg, a „Atlantyk” odpłynął pełną parą i znikł na horyzoncie.

Jak wszystko, co genialne, plan pana Lecoeur odznaczał się wspaniałą prostotą.

Były dwa rozwiązania. Albo zdradzić oddziałom międzynarodowym plan chrzestniaka i uniemożliwić mu w ten sposób działanie, albo pozwolić, by sprawy potoczyły się swoją koleją. Pan Lecoeur zdecydował się na to drugie rozwiązanie.

W pierwszym wypadku mógł słusznie liczyć na wdzięczność zainteresowanych rządów. Bez wątpienia przyznano by mu część skarbu ocalonego dzięki jego interwencji. Ale jaką część? Zapewne śmieszny ułamek. Przy tym złoto utraci wartość wobec takiego dopływu tego metalu.

Jeśli, przeciwnie, zachowa milczenie, zapobiegnie wszystkim klęskom, których zarodek nosi w sobie złowroga bryła złota, a których niszczycielska fala rozlałaby się po powierzchni kuli ziemskiej. Poza tym w ten sposób nie tylko uniknie nieprzyjemności osobistych, ale zapewni sobie wielkie zyski. Jako jedyny w ciągu pięciu dni posiadacz tajemnicy z łatwością wyciągnie z niej korzyści. Wystarczy za pośrednictwem „Atlantyku” wysłać na ulicę Drouot nowy telegram takiej treści: „Zbliża się sensacyjne wydarzenie. Kupujcie nieograniczoną ilość kopalni”.

Rozkaz ten mógł być wykonany bez trudu. Ponieważ upadek bolidu był już na pewno znany, akcje kopalni złota musiały spaść niemal do zera. Bez wątpienia oferowano je po cenach najniższych, nie znajdując przy tym nabywców. Przeciwnie, cena ich dojdzie do maksimum, gdy przyjdzie wiadomość o zakończeniu całej przygody! Z jakąż szybkością akcje skoczą mów do wysokości pierwotnego kursu z wielkim zyskiem ich szczęśliwego nabywcy!

Powiedzmy od razu, że pan Lecoeur trafnie ocenił sytuację. Depeszę doręczono w banku przy ulicy Drouot i tego samego

dnia skrupulatnie wypełniono na giełdzie zawarte w niej polecenie. Bank Lecoeura nabył za gotówkę i na kredyt wszystkie akcje kopalni złota, które zostały zaoferowane, a nazajutrz powtórzyło się to samo.

Jakiż obfity plon zebrano w ciągu dwu dni! Akcje kopalni niezbyt zasobnych sprzedawano po kilka centymów, kopalnie niegdyś kwitnące spadły do dwu lub trzech franków, a złoża pierwszej jakości do dziesięciu lub dwunastu. Wszystko to skupywał bez wyboru bank Lecoeura.

Po upływie czterdziestu ośmiu godzin wiadomość o tym zaczęła krążyć po różnych giełdach świata wywołując tam duże wrażenie. Bank Lecoeura, firma poważna, której dobry węch finansowy był powszechnie znany, nie mógł rzucać się na ślepo na specjalny rodzaj papierów wartościowych. Coś się w tym kryło! Takie było ogólne przekonanie i kurs akcji kopalni złota wyraźnie podskoczył.

Ale było już za późno; spekulacja została przeprowadzona. Pan Robert Lecoeur posiadał przeszło połowę złotodajnych obszarów na kuli ziemskiej.

Podczas gdy w Paryżu rozgrywały się wyżej opisane wypadki, Zefiryn Xirdal przerabiał swą maszynę używając do tego celu części, w które zaopatrzył się przed odjazdem. Wewnątrz umieścił rozgałęzione druty, krzyżujące się w zawiłe obwody. Na zewnątrz dodał żarówki szczególnego kształtu, umieszczając je w ognisku dwóch nowych reflektorów. W oznaczonym dniu, trzeciego września, wszystko było ukończone i Zefiryn Xirdal oświadczył, że jest gotów do czynu.

Obecność ojca chrzestnego zapewniała mu tym razem prawdziwe audytorium. Była to jedyna okazja do wykorzystania talentów oratorskich i Xirdal jej nie przeoczył,

— Maszyna moja — rzekł zamykając obwód elektryczny — nie ma w sobie nic tajemniczego ani szatańskiego. Jest to tylko narzędzie transformacji. Odbiera elektryczność w jej zwykłej formie i zwraca ją w formie wyższej, odkrytej przeze mnie. Żarówka, którą widzimy, a która zaczyna się kręcić jak szalona, to ta sama, która mi posłużyła do ściągnięcia na ziemię bolidu.

Z pomocą reflektora, w którego ognisku jest umieszczona, wysyła ona w przestrzeń prąd szczególnego rodzaju, nazwany przeze mnie prądem neutralno-spiralnym. Jak sama nazwa wskazuje, ruch tego prądu przypomina ruch śruby. Z drugiej strony, ma on tę właściwość, że odrzuca gwałtownie wszelkie ciało, które wchodzi *z* nim w kontakt. Wszystkie jego spirale razem wzięte tworzą wydrążony walec, z którego usunięte jest zarówno powietrze, jak i wszelka inna materia, tak że wewnątrz walca nie ma nic. Czy rozumie wuj dobrze sens tego słowa: nic? Niech wuj uprzytomni sobie, że wszędzie w nieskończonej przestrzeni jest coś i że mój niewidzialny walec, który wśrubowuje się w atmosferę, jest przez chwilę jedynym punktem świata, gdzie nie ma nic. Jest to chwila bardzo krótka, krótsza niż trwanie błyskawicy. To jedyne miejsce, gdzie panuje absolutna próżnia, jest ośrodkiem, z którego wydobywa się w zwartych falach niezniszczalna energia, więziona przez kulę ziemską, skondensowana w materii. Moja rola ograniczyła się zatem do usunięcia przeszkody.

Pan Lecoeur, bardzo zainteresowany, skupiał całą uwagę, aby nic nie uronić z ciekawego wykładu.

— Jedyny trudniejszy problem — podjął Xirdal — to uregulowanie długości fal neutralnego prądu spiralnego. Gdy prąd ten dociera do przedmiotu, na który pragniemy wpłynąć, odpycha go zamiast przyciągać. Trzeba więc, aby zanikał w pewnej, możliwie jak najmniejszej odległości od tego przedmiotu, tak by wyzwolona. energia promieniowała w jego bezpośrednim sąsiedztwie.

— Lecz by wrzucić bolid do morza, trzeba go popchnąć, a nie przyciągnąć — zaoponował pan Lecoeur.

— Tak i nie — odpowiedział Xirdal. — Proszę dobrze uważać, wuju. Znam dokładną odległość dzielącą nas od bolidu. Odległość ta wynosi ściśle pięćset jedenaście metrów, czterdzieści osiem centymetrów. Według tego reguluję siłę mego prądu.

Mówiąc to Xirdal manewrował opornikiem włączonym w obwód między źródłem elektryczności a maszyną.

— Zrobione! — podjął. — Teraz prąd zamiera w odległości niecałych trzech centymetrów od bolidu od strony wypukłości północno-wschodniej. Wyzwolona energia otacza go więc z tej strony intensywnym promieniowaniem. Nie wystarczyłoby to może do poruszenia podobnej masy tak ściśle przylegającej do ziemi. Przezorniej więc będzie użyć nadto dwóch dodatkowych sposobów.

Xirdal wsunął rękę do wnętrza swej maszyny. Natychmiast jedna z dwóch nowych żarówek zaczęła wściekle trzeszczeć.

— Wuj może zauważyć — rzekł Zefiryn w formie komentarza — że ta żarówka nie obraca się jak tamta. A to dlatego, że jej działanie jest innej natury. Prądy, które wydziela, są specyficzne. Nazwiemy je, jeśli wuj się zgodzi, prądami neutralnymi prostolinijnymi, aby je odróżnić od poprzednich. Nie trzeba regulować długości tych prądów prostolinijnych. Podążałyby one, niewidzialne, w nieskończoność, gdybym ich nie skierował na południowo-zachodnią wypukłość meteoru, która je zatrzymuje. Nie radzę wujowi umieszczać się na ich drodze. Zrulowałby wuj porządnie, jak mówią ludzie ogarnięci manią sportową. Łącząc to popychanie z przyciąganiem, które działa na bolid z przeciwnej strony, można osiągnąć rezultat zadowalający.

— Mimo to bolid się nie rusza — zauważył pan Lecoeur.

— Ruszy się — zapewnił spokojnie Zefiryn. — Trochę cierpliwości! Ponadto coś jeszcze będzie działało przyśpieszająco: z tego trzeciego reflektora wysyłam inne pociski atomowe, skierowane tym razem nie na sam bolid, lecz na teren, który go dźwiga od strony morza. Zobaczy wuj, że teren ten zacznie się powoli rozpadać i przy współudziale siły ciążenia bolid ześliźnie się po pochyłości.

Zefiryn Xirdal zanurzył powtórnie rękę we wnętrzu maszyny. Trzecia żarówka zatrzeszczała z kolei.

— Proszę popatrzeć, wuju — rzekł Zefiryn. — Myślę, że się dobrze zabawimy!

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

który przeczytacie może z żalem; lecz autor tego opowiadania musiał go napisać przez wzgląd na prawdą historyczną, którą zarejestrują kiedyś roczniki astronomiczne

Na widok pierwszych drgań złotej bryły poszczególne okrzyki zlały się ze sobą, co dało w wyniku jakby jeden straszliwy ryk.

Wszystkie spojrzenia skierowały się w tą samą stronę. Co się dzieje? Czy wszyscy padli ofiarą halucynacji, czy też meteor naprawdę się poruszył? A w takim razie jaka była tego przyczyna? Może ziemia uginała się stopniowo, co mogło spowodować w ostatecznym wyniku stoczenie się skarbu w przepaść.

— Byłoby to szczególnym rozwiązaniem tej sprawy, która poruszyła świat — zauważyła pani Arkadia.

— Rozwiązaniem, które nie byłoby może najgorsze — odpowiedział Seth Stanfort.

— Byłoby najlepsze! — zdystansował go Francis Gordon.

Nie! Pomyłka była wykluczona. Bolid w dalszym ciągu ześlizgiwał się stopniowo w stronę morza. Teren bez wątpienia się obsuwał. Jeśli ten ruch nie zostanie zahamowany, złota kula potoczy się aż do brzegu płaskowzgórza i pogrąży, w morskich głębinach.

Powszechne osłupienie łączyło się z odrobiną pogardy dla tej ziemi niegodnej tak cudownego brzemienia! Jaka szkoda, że bolid spadł na wyspę, a nie na niewzruszoną skałę bazaltową wybrzeża grenlandzkiego; nie byłoby wówczas obawy, że tysiące miliardów zostaną na zawsze strącone dla chciwej ludzkości.

Tak, meteor się zsuwał! Być może, jest to kwestia godzin albo nawet minut, jeśli płasko wzgórze rozpadnie się nagle pod jego ogromnym ciężarem.

Spośród, wszystkich okrzyków wywołanych grożącym nieszczęściem najpotężniejszy był okrzyk przerażenia, który wydał pan Schnack! Żegnaj, jedyna okazjo zasilenia kraju miliardami! Żegnaj, perspektywo wzbogacenia wszystkich obywateli Grenlandii!

Można się było lękać, że pan Forsyth i doktor Hudelson postradają zmysły. Wyciągali rozpaczliwie ręce. Wołali pomocy, jakby ktokolwiek mógł odpowiedzieć na ten apel.

Przy jakimś bardziej zdecydowanym ruchu bolidu stracili do reszty głowę. Nie myśląc o niebezpieczeństwie, na jakie się narażał, doktor Hudelson rzucił się ku złocistej kuli przerywając kordon strażników. Nie uszedł daleko. Dusząc się w rozpalonym powietrzu, zachwiał się po przejściu stu kroków i padł jak kłoda na ziemię.

Pan Forsyth mógł być zadowolony, gdyż usunięcie konkurenta usuwało też radykalnie wszelką konkurencję. Dean Forsyth był jednak nie tylko namiętnym astronomem, lecz także uczciwym człowiekiem, a gwałtowne wzruszenie przywróciło mu jego prawdziwą naturę. Pozorna nienawiść znikła jak zły sen rozwiewający się po przebudzeniu, a w sercu jego zostało jedynie wspomnienie dawnych czasów. Toteż bez chwili zastanowienia, jakby odruchowo, pan Forsyth (niech to będzie zapisane na jego dobro) zamiast cieszyć się ze śmierci przeciwnika pośpieszył odważnie na pomoc staremu przyjacielowi znajdującemu się w niebezpieczeństwie.

Siły jego nie dorównały jednak odwadze. Zaledwie dotarł do doktora Hudelsona, zaledwie udało mu się odciągnąć go o kilka

metrów wstecz, gdy padł koło niego nieprzytomny, gdyż i jemu zatamowało oddech to prawdziwe tchnienie ognistego pieca.

Na szczęście rzucił się za nim Francis Gordon, a pan Stanfort nie zawahał się pójść w jego ślady. Można przypuszczać, że nie było to obojętne dla pani Arkadii.

— Seth! Seth! — zawołała odruchowo, jakby przerażona niebezpieczeństwem, na jakie się narażał jej były małżonek.

Gordon i Stanfort, za którymi poszło kilku odważnych widzów, musieli się czołgać po ziemi, pełzać z chusteczką na ustach. Żar uniemożliwiał oddychanie. Dotarli wreszcie do pana Forsytha i doktora Hudelsona. Podnieśli ich i przeciągnęli poza granicę, której nie wolno było przekraczać pod groźbą spalenia się żywcem.

Na szczęście dwie ofiary własnej nieostrożności zostały w porę ocalone. Dzięki staraniom, których im nie poskąpiono, wrócili do życia, lecz — niestety — tylko po to, by oglądać ruinę swych nadziei.

Bolid nie przestawał zsuwać się powoli, bądź to wskutek swego własnego ruchu na pochyłym brzegu, bądź dlatego, że powierzchnia uginała się stopniowo pod jego ciężarem. Jego środek ciężkości zbliżał się do krawędzi, poza którą skała spadała pionowo w morze.

Krzyki podniosły się ze wszystkich stron, zdradzając poruszenie tłumu. Miotano się to tu, to tam, nie wiedząc, po co. Niektórzy — a między nimi Seth Stanfort i pani Arkadia Walker — pobiegli pędem w stronę morza, by przynajmniej nie stracić żadnego szczegółu katastrofy.

Jednak na chwilę wróciła nadzieja. Złota kula znieruchomiała!

Lecz trwało to tylko chwilę. Nagle usłyszano potworny trzask. Skała pękła pod naciskiem meteoru, który zapadł się w morze.

Jeśli echo nie odbiło od wybrzeża ogromnego krzyku tłumów, to dlatego tylko, że krzyk ten został natychmiast zagłuszony, przez huk eksplozji potężniejszej niż uderzenie piorunu. Równocześnie trąba powietrzna zmiotła powierzchnię wyspy i

wszyscy bez wyjątku widzowie zostali przewróceni na ziemię przez siłę, której nie mogli się oprzeć.

Bolid wybuchł! Woda, wnikając przez porowatą powierzchnię w niezliczone komórki tej złotej gąbki, w zetknięciu z metalem rozpalonym do białości, zamieniała się natychmiast w parę i meteor wybuchł jak przegrzany kocioł. Obecnie grad jego szczątków padał na fale wśród ogłuszających gwizdów.

Gwałtowność wybuchu podniosła poziom morza. Bałwan niezwykłej wielkości uderzył o wybrzeże i opadł na nie z nieodpartą furią. Nieostrożni turyści, którzy zbliżyli się do brzegu, rzucili się teraz do ucieczki usiłując dotrzeć na szczyt pochyłości.

Nie wszyscy jednak dotarli do niego. Haniebnie odepchnięta przez kilku towarzyszy, których strach zamienił w dzikie bestie, pani Arkadia Walker została porwana i przewrócona. Masa wody mogła ją zagarnąć w chwili swego powrotu na piasek nadmorski.

Ale Seth Stanfort czuwał. Prawie bez nadziei ocalenia jej, ryzykując własne życie, rzucił się na ratunek. Zdawało się już, że katastrofa pociągnie za sobą dwie ofiary zamiast jednej.

Ale nie! Sethowi udało się dopaść do miejsca, gdzie znajdowała się młoda kobieta. Opierając się o skałę, zdołał przezwyciężyć potworny wir. Liczni turyści przybiegli natychmiast na pomoc i odciągnęli ich do tyłu. Byli ocaleni.

Seth Stanfort nie stracił przytomności, natomiast pani Arkadia zemdlała. Usilne starania przywróciły ją niebawem do życia. Pierwsze słowa skierowała do byłego małżonka:

— Jeśli miałam się uratować, ty jeden mogłeś być moim wybawcą — rzekła ściskając jego rękę i rzucając mu spojrzenie pełne najczulszej wdzięczności.

Mniej szczęśliwy od pani Arkadii Walker, wspaniały bolid nie uniknął swego złowrogiego losu! Szczątki jego spoczywały teraz poza zasięgiem rąk ludzkich w głębinie morza. Gdyby nawet było rzeczą możliwą wyciągnąć, za cenę niesłychanych wysiłków, taką masę z bezdennych nurtów, należało wyrzec się tej nadziei. Tysiące odłamków rozbitego eksplozją jądra

rozproszyło się na pełnym morzu. Pan Schnack, Dean Forsyth i doktor Hudelson na próżno szukali na wybrzeżu najmniejszej choćby cząsteczki. Znikło aż do ostatniego centyma owe pięć tysięcy siedemset osiemdziesiąt osiem miliardów. Nic nie zostało z nadzwyczajnego meteoru.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

i ostatni, który zawiera epilog tej historii i w którym ostatnie słowo należy do pana Johna Protha, sędziego w Whastonie

Zaspokoiwszy ciekawość tłum turystów nie miał nic lepszego do roboty jak odjechać.

Zaspokoiwszy? Czy na pewno? Czyż takie rozwiązanie warte było trudów i kosztów tak dalekiej podróży? Zobaczyć meteor i nie móc się do niego zbliżyć na odległość mniejszą od czterystu metrów, był to dość mizerny rezultat. Trzeba się nim było jednak zadowolić.

Czy mogli przynajmniej spodziewać się, że kiedyś to sobie powetują? Czy drugi bolid ze złota ukaże się jeszcze na naszym horyzoncie? Nie. Przygoda tego rodzaju nie zdarza się dwa razy. Bez wątpienia mogą istnieć w przestrzeni inne złote gwiazdy, lecz tak słabe są szansę, by znalazły się w kręgu przyciągania ziemskiego, że nie należy na to liczyć.

W gruncie rzeczy tak jest lepiej. Sześć trylionów złota rzuconych w obieg pozbawiłoby wartości ten metal, przeklęty przez tych, co go nie mają, lecz jakże cenny według mniemania wszystkich innych. Nie trzeba więc żałować straty tego boli du, który mógł nie tylko wstrząsnąć światowym rynkiem pieniężnym, lecz także wywołać wojnę na całej kuli ziemskiej.

Jednakże zainteresowani mieli prawo uważać takie rozwiązanie za bolesny zawód. Z jaką przykrością oglądali panowie Forsyth i Hudelson miejsce wybuchu bolidu! Ciężko było wracać nie przywożąc nic z tego niebiańskiego złota. Nie mieli go nawet tyle, żeby sporządzić szpilkę do krawata czy spinkę do mankietu, nawet ziarnka, które by mogli zachować na pamiątkę, oczywiście, gdyby nie zażądał go pan Schnack dla swego kraju.

Jednocząc się we wspólnym cierpieniu dwaj rywale wyzbyli się nawet wspomnień o swej przejściowej rywalizacji. Czyż mogło być inaczej? Czy doktor Hudelson mógł żywić żal do tego, kto tak szlachetnie naraził swe życie, aby go ocalić? A z drugiej strony, czyż nie jest rzeczą ludzką odczuwać przywiązanie do kogoś, za kogo omal się nie zginęło? Zniknięcie bolidu dokończyło dzieła pojednania. Po co kłócić się o nazwę meteoru, który już nie istniał?

Czy dwaj dawni przeciwnicy myśleli o tym przechadzając się pod ramię w pierwszych dniach miodowego miesiąca ich wskrzeszonej przyjaźni? Czy mieli świadomość faktu, że ich spóźniona bezinteresowność wynika po prostu z braku podstaw do rywalizacji?

— Wielkie to nieszczęście — mówił doktor Hudelson — strata bolidu Forsytha!

— Bolidu Hudelsona — poprawił pan Dean Forsyth. — Należał on do ciebie, drogi przyjacielu, na pewno do ciebie.

— Wcale nie — protestował doktor. — Twoja obserwacja, drogi przyjacielu, wyprzedziła moją.

— Była późniejsza, drogi przyjacielu.

— Ależ nie! Dowodem może być w razie potrzeby brak ścisłości w moim liście do obserwatorium w Cincinnati. Zamiast napisać jak ty: od tej do tej godziny — wyraziłem się: między tą a tą godziną. To gruba różnica!

Zacny doktor nie chciał ustąpić, ale i pan Dean się nie cofał. Stąd nowe dyskusje, tym razem na szczęście nieszkodliwe.

Tak daleko posunięta ta wzruszająca zmiana miała też w sobie coś komicznego. Był jednak ktoś, kto nie miał ochoty

śmiać się z niej, mianowicie Francis Gordon, który stał się znów oficjalnym narzeczonym swej drogiej Jenny. Dwoje młodych ludzi wykorzystało w pełni powrót pogody po tylu burzach, nadrabiając starannie stracony czas.

Okręty wojenne i statki pasażerskie stojące w Uperniviku podniosły kotwicę rankiem czwartego września i udały się w drogę na południe. Ze wszystkich ciekawych, którzy w ciągu kilku dni wnosili tyle ożywienia na tę północną wyspę, zostali tylko pan Lecoeur i jego pseudosiostrzeniec, gdyż musieli czekać na powrót „Atlantyku". Jacht wrócił dopiero nazajutrz. Pan Lecoeur i Zefiryn Xirdal wsiedli natychmiast. Dodatkowy całodniowy pobyt na wyspie Upernivik dał im się dobrze we znaki.

Ich chatka z desek została zniszczona przez gwałtowny przypływ, który nastąpił po wybuchu bolidu. Musieli więc spędzić noc pod gołym niebem, w opłakanych warunkach. Morze nie tylko pochłonęło ich dom, lecz ponadto przemoczyło ich do nitki. Źle osuszeni bladym słońcem polarnych okolic, nie mieli już nawet kołdry, by się okryć przed zimnem w ciągu kilku godzin ciemności. Wszystko przepadło w katastrofie aż do najdrobniejszego szczegółu obozowiska, aż do walizki i instrumentów Xirdala. Zeszła z tego świata wierna luneta, przez którą tyle razy obserwował meteor. Zginęła także i maszyna, która ściągnęła meteor na ziemię, a potem strąciła go na dno morza.

Pan Lecoeur był niepocieszony z powodu zniszczenia cudownego aparatur Xirdal, przeciwnie, śmiał się tylko z tego. Skoro to on zbudował maszynę, nic mu nie przeszkodzi zbudować drugiej, jeszcze potężniejszej i doskonalszej.

Na pewno mógłby, to nie ulegało wątpliwości. Na nieszczęście nie pomyślał o tym już nigdy. Na próżno ojciec chrzestny nakłaniał go, by się zabrał do tej pracy: odkładał ją stale na później. Doszedłszy wreszcie do sędziwego Wieku zabrał ze sobą tajemnicę do grobu.

Trzeba się więc z tym pogodzić, że cudowna maszyna jest na zawsze stracona dla ludzkości, a jej zasada pozostanie

nieznana, póki nie zjawi się na ziemi nowy Zefiryn Xirdal.

Ostatecznie Zefiryn wracał z Grenlandii uboższy niż w dniu wyjazdu. Nie licząc instrumentów i bogatej garderoby zostawił tam rozległy teren, tym trudniejszy do sprzedania, że większa jego część leżała pod wodą.

Natomiast wiele milionów zebrał w czasie tej podróży jego ojciec chrzestny. Odnalazł je po powrocie na ulicę Drouot i taki był początek bajecznej fortuny, która miała pozwolić bankowi Lecoeura na dorównanie najpotężniejszym instytucjom finansowym świata.

To prawda, że Zefiryn Xirdal przyczynił się do wzrostu tej kolosalnej potęgi. Pan Lecoeur, który wiedział obecnie, do czego zdolny jest jego chrzestniak, ciągnął z niego wielkie zyski. Wszystkie wynalazki tego genialnego mózgu eksploatował bank z praktycznego punktu widzenia. Nie można było się skarżyć! W braku złota spadającego z nieba bank skupił w swym skarbcu poważną część złota ziemskiego.

Zapewne, pan Lecoeur nie był Shylockiem. Część majątku zgromadzonego dzięki Xirdalowi, nawet większa część, mogła należeć do młodego uczonego, gdyby sobie tego życzył. Lecz gdy poruszano ten temat, Zefiryn patrzył w sposób tak bezmyślny, że lepiej było nie nalegać. Pieniądze? Złoto? Cóż by on z tym robił? Odpowiadało mu doskonale podejmowanie w regularnych odstępach czasu niewielkich sum, wystarczających na skromne potrzeby. Aż do śmierci przychodził w tym celu pieszo do swego wuja bankiera i nie zgodził się ani na opuszczenie swego szóstego piętra przy ulicy Cassette, ani na rozstanie z gadatliwą wdową Thibaut, byłą rzeźniczką, która aż do końca pozostała jego służącą.

W siedem dni po zawiadomieniu przesłanym przez pana Lecoeur jego sekretarzowi w Paryżu ostateczna strata bolidu była już znana na całym świecie. Krążownik francuski wracając z Uperniviku przekazał tę wiadomość pierwszej stacji telegraficznej, skąd rozeszła, się ona na cały świat z szybkością niesłychaną.

Wzburzenie było, jak łatwo się domyślić, ogromne, lecz uspokoiło się samo przez się dość szybko. Ludzkość znalazła się wobec faktu dokonanego i najlepiej było więcej o tym nie myśleć.

Wkrótce mieszkańcy kuli ziemskiej zajęli się z powrotem swymi osobistymi troskami i przestali mówić o niebieskim wysłańcu, którego koniec był tak opłakany, by nie powiedzieć trochę śmieszny.

Nie wspominano już o meteorze, gdy „Mozik” osiemnastego września rzucił kotwicę w porcie Charleston.

Prócz swych dawnych pasażerów „Mozik” zabrał w powrotną drogę damę, która nie płynęła na nim na Grenlandię. Była to pani Arkadia, która chciała mieć więcej czasu na okazanie wdzięczności swemu byłemu mężowi i w tym celu zajęła kabinę opuszczoną przez pana Schnacka.

Z Południowej Karoliny do Wirginii nie jest daleko, a zresztą w Stanach Zjednoczonych nie brak linii kolejowych. Toteż już dziewiętnastego września pan Forsyth, Francis i Omikron byli na wieży przy ulicy św. Elżbiety, a pan Hudelson i jego córka — na baszcie przy ulicy Morissa.

Oczekiwano ich niecierpliwie. Pani Hudelson i jej córka Loo, podobnie jak czcigodna Mitz, znajdowały się na dworcu w Whastonie, gdy wjechał tam pociąg z Charlestonu. Pasażerowie jego mogli być wzruszeni zgotowanym im przyjęciem. Francis ucałował przyszłą teściową, a pan Forsyth uścisnął serdecznie, jakby nic nie zaszło, jej rękę. Nie padłaby nawet żadna aluzja do przykrych chwil, gdyby nie to, że Loo, wciąż jeszcze niespokojna, chciała ostatecznie pozbyć się wszelkich wątpliwości.

— No, nareszcie skończone, prawda?! — zawołała rzucając się panu Forsythowi na szyję.

Tak, wszystko było skończone, zupełnie skończone. Na dowód tego w ostatnim dniu września dzwony u Świętego Andrzeja rozbrzmiały pełnym głosem nad miastem. Wobec wytwornego zgromadzenia krewnych i przyjaciół obydwu rodzin oraz miejscowych dostojników wielebny O'Garth udzielił ślubu

Francisowi Gordonowi i Jenny Hudelson, którzy po tylu burzach i przeciwnościach szczęśliwie dotarli do portu. Jak się zapewne domyślacie, miss Loo była druhną i prześlicznie wyglądała w pięknej sukni, gotowej już od czterech miesięcy. Nie zabrakło też Mitz, która śmiała się i płakała na przemian, widząc szczęście swego „synusia". Nigdy jeszcze nie była tak wzruszona — oświadczała każdemu po kolei.

Niemal o tej samej godzinie, ale z mniejszą pompą zawierano inne małżeństwo. Tym razem pan Seth Stanfort i pani Arkadia Walker nie udali się do pana Protha ani konno, ani pieszo, ani balonem.

Pojechali tam wygodnym powozem i trzymając się pod ramię weszli po raz pierwszy do domu sędziego, by przedstawić mu swe papiery w warunkach mniej fantastycznych niż poprzednio.

Urzędnik spełnił swą powinność kojarząc na powrót dwoje byłych małżonków, rozdzielonych od kilku tygodni rozwodem. Potem skłonił im się z galanterią.

— Dziękujemy, panie sędzio — rzekła pani Stanfort.

— I żegnamy — dorzucił pan Stanfort.

— Żegnam państwa — odpowiedział pan Proth, który wrócił nie zwlekając do ogrodu, by zająć się swymi kwiatami. Lecz pewien skrupuł nękał zacnego filozofa. Po dwukrotnym podlaniu klombów ręka jego nagle znieruchomiała i przestała spuszczać dobroczynny deszcz na spragnione geranium.

— „Żegnajcie"? — szepnął zatrzymując się w zamyśleniu na środku alejki. — Powinienem był raczej powiedzieć im: „Do widzenia!"